www.tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 19 (1061)
4-10.05.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Jarosław Makowski
Powściągliwość biskupów, szaleństwo władzy

Aleksander Doba
Na oceanie śpiewam, ryby nie protestują

Czesi oceniają Polaków – miażdżące opinie

USA – zdalna szkoła to wielki chaos

ZWYCIĘZCY WYMAZANI Z PODRĘCZNIKÓW

BERLIN 1945

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 19 >
9 771509 311003

egrasa.pl 2564728ced

SKLEP TYGODNIKA
ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI

Przegląd

WIOSNA Z NAMI PACHNIE NAJLEPIEJ

Zobacz wszystkie książki na

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Zamów online z darmową wysyłką do domu!

E-BOOKI
już od 14,90 zł

E-WYDANIA
tylko 2,99 zł

eprasa.pl 2364728ccd

CYTATY

JACEK SUTRYK,
prezydent Wrocławia
PiS robi sobie jaja z wyborców.
Spotkanie online z mieszkańcami

ANDRZEJ SOŚNIERZ,
były szef NFZ, poseł Porozumienia
Testów powinniśmy przeprowadzać 80-100 tys. dziennie, a nie jak teraz 10-14 tys.
„Rzeczpospolita"

GEN. BRONI MIROSŁAW RÓŻAŃSKI,
były dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych
Nie uważam, że przed 1989 r. wszystko było złe, a po – wszystko jest dobre.
„Dziennik Gazeta Prawna"

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI,
pisarz
Jesteśmy Polakami dzięki kulturze. Tradycja, do której odwołuje się prawicowy rząd, została stworzona przez artystów poprzednich epok.
„Polska The Times"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Nie ma polityków odpornych na ciosy

Dziwny to kraj, w którym cały naród decyzją władzy siedzi w domach, a władza, która to zarządziła, patrząc nam prosto w oczy, mówi, że nie ma powodu, by ogłosić stan klęski żywiołowej. Dla PiS epidemia koronawirusa nie jest wydarzeniem aż tak ważnym, by odkładać wybory prezydenckie. Nie, bo nie. Taka jest odpowiedź Kaczyńskiego na każde wezwanie opozycji i ekspertów, by wrócił na ziemię. Do tych milionów ludzi, którzy siedzą, jak im kazano, w domach. I którzy coraz częściej myślą, że już czas, by tę załganą ekipę oszustów wysłać na bezrobocie. Dla wielu odrzucających tę władzę to może być niezapomniany widok. Na rynek pracy trafią ludzie, którzy dzięki PiS jako pierwszą pracę wpisali sobie do CV posadę wiceministra, prezesa czy dyrektora. Teraz będą mogli się sprawdzić w realnym życiu. Ale zanim tak się stanie, będą zażarcie bronili swoich posad. Bo dużo prawdy jest w powiedzeniu, że jak nie będą rządzić, to będą siedzieć. I z pewnością nie będą to procesy polityczne.

Do tej pory było tak, że za każdą zmianą władzy nowi, poza okrzykami i pogróżkami, żadnej krzywdy poprzednikom nie robili. Skutkuje to coraz większym złodziejstwem i nepotyzmem. Wiedzą o tym również liderzy PiS. Prezes Kaczyński zawsze dbał o to, by mieć takie informacje. Prawdą jest, że zdarzało mu się eliminowanie z polityki tych najbardziej zdegenerowanych. Do czasu. Bo teraz liczy się każda, nawet najbardziej splamiona szabelka.

Hulaj, każda duszyczko, piekła nie ma.

Zobaczymy, czy mimo tak wielkiej desperacji, z jaką prawica chce przeprowadzić wybory, Kaczyński nie przewróci się o własne nogi. To, co teraz robi, przypomina zachowanie piłkarza, który, choć dobry technicznie, zakiwał się na śmierć.

Bo przecież także do polityki odnosi się sławna maksyma papy Stamma, że nie ma bokserów odpornych na ciosy, są tylko źle trafieni.

A że na Kaczyńskiego poluje wielu polityków także z jego własnego obozu, któremuś może się udać. Nawet przez przypadek. I ku radości tych, którzy za rozmaite frukta i dla kariery w pokorze znosili jego zachowania. Przewrócić się w walce o Dudę – to będzie prawdziwy chichot historii. Tej pisanej małą literą. Bo prawdziwie wielka, heroiczna, mająca olbrzymi wpływ na losy polskiego państwa i gwarantująca nasze obecne granice, miała miejsce 75 lat temu. Wojsko Polskie u boku Armii Czerwonej wyzwoliło ojczyznę od najstraszniejszej w naszej historii okupacji. Chwała bohaterom! Hańba politykom prawicy i ich narzędziu, czyli Instytutowi Pamięci Narodowej! Kłamaliście i kłamiecie. Ale ta hucpa się kończy.

Spotkaj się z PRZEGLĄDEM online!

Zapraszamy na wirtualne spotkania z dziennikarzami PRZEGLĄDU na naszym profilu na Facebooku.

W tym tygodniu w TELEWIZJI PRZEGLĄD wystąpią: Jerzy Domański, Robert Walenciak i Paweł Dybicz.

Czekamy na Was i na Wasze pytania w komentarzach!

Śledź nas na Facebooku, a nie ominie Cię żadna transmisja.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 2364728ccd

W NUMERZE

HISTORIA

8 **Największy front w dziejach świata**
II wojna światowa rozstrzygnęła się na froncie wschodnim

PUBLICYSTYKA

14 **Robert Walenciak**
Na razie mamy bunt

24 **Jarosław Makowski**
Powściągliwość biskupów, szaleństwo władzy

KRAJ

17 **Uprzejmie donoszę...**
Ludzie w maseczkach mniej kontrolują emocje

20 **37 dni kwarantanny**
Zapasy z sanepidem

48 **Na oceanie śpiewam, ryby nie protestują**
– rozmowa z Aleksandrem Dobą

51 **Z czym dzwonią ludzie na 112**
Porno problem i karetka z lokówką

ZAGRANICA

28 **Koronawirus i wielkie pranie wizerunku**
Cyfrowi giganci wykorzystują pandemię

31 **Ukraina – maski włóż!**
Chcesz przeżyć – musisz być VIP-em

34 **Amerykańska szkoła w chaosie**
Korespondencja z USA

37 **Austria wolna od węgla**
Historyczny moment w energetyce

38 **Jak Czesi widzą Polaków**
Wizerunek do poprawy

PSYCHOLOGIA

42 **Szwecja dopasowała się do sytuacji**
– rozmowa z dr n. med. Anną Baran

KULTURA

44 **Baryton na balkonie**
Kiedy nie ma koncertów

46 **Qulturalia**

66 **MoMA online**

OBSERWACJE

54 **Argentyna zmienia język**
Żeńskie końcówki a prawa kobiet

56 **Minimalizm – filozofia na XXI wiek**
Sztuka rezygnacji

58 **Kwarantanna po francusku**
Konflikty i pieczenie chleba

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Nie ma polityków odpornych na ciosy

13 **Andrzej Romanowski**
Bojkotować, ale myśleć

23 **Jan Widacki**
A poza tym nic na działkach się nie dzieje

27 **Roman Kurkiewicz**
Rozwibrowanie rozkalibrowaniem

41 **Tomasz Jastrun**
Czy leci z nami pilot?

47 **Wojciech Kuczok**
Polisa na zużycie

34
ZAGRANICA

AMERYKAŃSKA SZKOŁA W CHAOSIE
Korespondencja z USA

48
WYWIAD

NA OCEANIE ŚPIEWAM, RYBY NIE PROTESTUJĄ
– rozmowa z Aleksandrem Dobą

54
OBSERWACJE

ARGENTYNA ZMIENIA JĘZYK
Żeńskie końcówki a prawa kobiet

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 2364728ccd

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Prof. Paweł Kulesza, chemik
Wodór – najbardziej ekologiczny, ale czy bezpieczny

Ewa Jarczewska-Gerc, psycholog
W trudnej sytuacji szukamy kozłów ofiarnych

Brazylia: wyrok śmierci na fawele

Wszyscy jesteśmy z PiS

Wszyscy daliśmy się oszukać!

Działając w Szwecji na rzecz Solidarności, organizując pomoc szwedzkich związków zawodowych i zbiórki pieniędzy, wspierając więzionych działaczy związku, nigdy nie przypuszczałem, że pomagam w budowie przyszłego państwa kapitalistycznego.

Nie mogłem też przypuszczać, że buduję potęgę Kościoła katolickiego, że powstanie IPN, że znów będzie można otwarcie głosić hasła antysemickie i nacjonalistyczne, że polski premier będzie honorował „żołnierzy wyklętych" i akowców kolaborujących z hitlerowskimi Niemcami.

Czuję się oszukany, a winą obarczam Wałęsę i innych eksdziałaczy Solidarności, a także wszystkie ekipy rządowe po 1989 r. Wałęsa mógł temu wszystkiemu się przeciwstawić, ale nie zrobił tego, podobnie jak Kwaśniewski i Komorowski. O braciach Kaczyńskich nie wspominam, bo nie bardzo pamiętam tych działaczy Solidarności.

Jacek Nadzin

Jakie sprawy są dziś najważniejsze dla świata pracy?

Analiza pojęcia PRACA, która podkreśliłaby, że praca ma wymiar społeczny, nie może być tylko kategorią ekonomiczną i łączyć się z niewolniczym wyzyskiem. Walczmy więc nie tylko o dobry klimat dla środowiska naturalnego, lecz także o DOBRY KLIMAT DLA PRACY, jej właściwe ukierunkowanie. Bazą do wyciągania wniosków mogłaby być dobrze napisana historia idei pracy. Osobna kwestia to tzw. wolontariat i bezpłatne staże, czyli problem wdrażania ludzi do pracy. Nie może ono być dla nich bezpłatne, ograniczać się do „podawania kawy", utrzymywać stażystów w stanie wiecznej adolescencji. Wolontariat nie może zastępować systematycznej pracy.

PYTANIE TYGODNIA | Jakie sprawy są dziś najważniejsze dla świata pracy?

Dorota Kaczmarek

Kapitalizm jaki jest, nie każdy widzi

Kapitalizm jaki jest, nie każdy widzi

Piękny artykuł o rynkowych fundamentalistach! Za samo zdanie o „radosnym dziamborzeniu o cudach wolnego rynku i błogosławionych przedsiębiorcach tworzących miejsca pracy, co prawda często dla księgowego na Malcie" należy się prof. Tadeuszowi Klementewiczowi podwójna wierszówka i duża wódeczka! Po taki PRZEGLĄD żonę w maseczce do kiosku wysyłam!

Zdzisław Nowak

ZDJĘCIE TYGODNIA

Mimo zagrożenia epidemicznego 26 kwietnia w Legnickim Polu odbyły się wybory uzupełniające do rady gminy.

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI/POLSKA PRESS GRUPA/EAST NEWS

eprasa.pl 2364728ccd

Prokurator Ewa Wrzosek z Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów **wszczęła śledztwo w sprawie sprowadzenia niebezpieczeństwa dla życia i zdrowia wielu osób w związku z organizacją wyborów w czasie epidemii.** Po trzech godzinach śledztwo zostało umorzone przez jej przełożoną.

Bogdan Białek, psycholog, pomysłodawca i redaktor naczelny miesięcznika „Charaktery", po 23 latach wydawania tego prestiżowego tytułu w Kielcach zakończył swoją misję. Nowym wydawcą i właścicielem pisma jest Forum Media Polska.

Wojskowy Instytut Medyczny wysłał dziewięciu lekarzy do Chicago z misją pomocy w walce z COVID-19. A Polskie Centrum Pomocy skierowało zespół medyczny do Kirgistanu.

Polska jest liderem na liście unijnych eksporterów pieczarek. Z 650 mln euro unijnego eksportu aż 326 mln przypada na Polskę. Statystyczny Polak zjada w ciągu roku prawie 2,5 kg pieczarek.

Ewa Pajor, najlepsza piłkarka w lidze niemieckiej, **jest najwyżej wycenianą piłkarką na świecie. Grająca w VfL Wolfsburg Polka ma w kontrakcie wpisaną kwotę odstępnego w wysokości 1 mln euro.**

8 kg warzyw rocznie zjada przeciętny mieszkaniec Polski. Szału jeszcze nie ma, ale spożycie rośnie.

Mateusz Morawiecki, premier geograf. Z epidemią radzi sobie słabo. A na pewno gorzej niż z robieniem kariery w irlandzkim banku. **Zamiast powiedzieć, dlaczego mamy tak mało testów na COVID-19, ciągle wymienia kraje, gdzie jest więcej ludzi zarażonych.** Prawda, ale oni są zbadani. A my?

Ogólnopolski Związek Zawodowy Pielęgniarek i Położnych podał, że 487 pielęgniarek jest zakażonych koronawirusem, a 1655 jest w kwarantannie.

Edyta Dudzińska, wiceszefowa Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów, przejęła i w ciągu trzech godzin umorzyła postępowanie w sprawie organizacji wyborów w czasie epidemii koronawirusa.

Tomasz Zdzikot, nowiutki prezes Poczty Polskiej, ma mocno stęchłe poglądy. Kilka lat temu na swoim blogu reklamował się jako „zoologiczny nacjonalista". A jako prezes **najbardziej dba, by nie było jego podpisu na pismach Poczty w sprawie wyborów.** Myśli, że wtedy trudniej będzie go oskarżyć o łamanie prawa.

5280 ha łąk i trzcinowisk, czyli 9% obszaru Biebrzańskiego Parku Narodowego, spłonęło w pożarze.

Na 15 zł dziennie zasiłku ZUS mogą liczyć rolnicy, jeśli zachorują na koronawirusa. Do niedawna było to 10 zł. Takie jest ***dolce vita*** **polskiego rolnika za rządów PiS.**

PRZEBŁYSKI

Solidarność w dobie zarazy

„Sieci" się nie podzieli

Najtwardsi redaktorzy, weterani zawodu, płakali, czytając wynurzenia Konrada Kołodziejskiego w tygodniku „Sieci". Piękne słowa o solidarności w dobie zarazy.
Od razu pomyśleliśmy o licznych bezrobotnych dziennikarzach i o tysiącach zatrudnionych na głodowych śmieciówkach. Może jest dla nich szansa? Oto najbardziej wypasione pismo w Polsce, które skasowało od dojnej zmiany KILKADZIESIĄT MILIONÓW ZŁOTYCH, podzieli się z nimi. Ulży w biedzie. Nadzieja jednak prysła, gdy doczytaliśmy komentarz Kołodziejskiego do końca. A koniec jest taki: „Niestety, koronawirus jest zbyt słaby, aby zmusił nas do solidarności".

Morawiecki nie dopieścił Kolumbijczyków

Cwani propagandyści rządowi spuścili z tonu. Może jeszcze świętują wielki sukces – piękne powitanie ukraińskiego samolotu z chińskimi maseczkami pokazał cały świat. Premier Morawiecki i wicepremier Sasin witający maseczki chlebem i solą. Bezcenny widok.
Tym większy żal, że premierzy nie poszli za ciosem. A mogli się wybrać do portu i równie uroczyście powitać wielki transport węgla z Kolumbii. Premier, jako poseł ze Śląska, mógł tam zabrać orkiestrę górniczą w strojach galowych. A TVPiS straciła okazję, by tę fetę pokazać ze sto razy. Na zmianę z hałdami, gdzie leżą tysiące ton polskiego węgla.

Wirus w Polsat News

Był sobie poważny program publicystyczny. „Cztery strony prasy" w Polsat News. Kompetentna prowadząca, Joanna Wrześniewska-Sieger, i dziennikarze mający coś do powiedzenia. Ale nie po to dojna zmiana złapała prezesa Solorza za delikatną część ciała, by nie zamieniać kolejnych programów w propagandową szczekaczkę.

Jaki jest najnowszy szczyt bezczelności? Grzegorz Jankowski, wieloletni szef „Faktu", obrzydliwego brukowca, rozmawiający ze Sławomirem Jastrzębowskim, swoim *alter ego* z „Super Expressu". Prymitywne badziewie wcisnęło się do salonu. I puszcza bąki.

Świrski walczy. Śpij spokojnie

Czeka nas niestety wzrost bezrobocia. Sporo młodych ludzi rozgląda się za nowym zajęciem. Chętnie dobrze płatnym. Mamy dla nich pewną propozycję. Idźcie śladem Macieja Świrskiego. Nie znacie? Wystarczy kliknąć w Redutę Dobrego Imienia. Zobaczycie, że od ośmiu lat Świrski jako prezes Reduty żyje sobie niebiednie. Dostaje dużą kasę na obronę ojczyzny. Ma efekty. Widzicie przecież, że nasza ojczyzna gnębiona przez licznych wrogów ma się pod płaszczem Świrskiego znacznie lepiej. Wrogów Polski i Polaków Świrski trzyma krótko. A jak kto chlapie jęzorem, że to picer i megaloman, może trafić przed sąd. Przecież też tak potraficie. Zakładajcie więc nowe reduty, okopy czy szańce! Rzeczpospolita zapłaci.

FOT. ARCHIWUM, YOUTUBE (2)

eprasa.pl 2364728ccd

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak skutecznie hamować marnotrawstwo wody?

DR INŻ. KRYSTIAN SZCZEPAŃSKI,
Instytut Ochrony Środowiska

Wśród znanych sposobów warto wymienić m.in. uszczelnianie kranów i spłuczek, stosowanie spłuczek z opcją mniejszego spłukiwania, używanie zmywarek, pranie przy całkowicie wypełnionej pralce, unikanie zmywania pod bieżącą wodą, stosowanie baterii wyposażonych w perlatory czy przyciski ograniczające ciśnienie wody. Wszyscy powinniśmy kupować tylko to, co jest nam rzeczywiście potrzebne. Statystyczny Polak wytwarza ok. 300 kg odpadów rocznie, tymczasem do produkcji wyrzucanej żywności i innych artykułów wykorzystywane są znaczne ilości wody. Do wyprodukowania 1 kg chleba potrzeba ok. 1,6 tys. litrów wody. Gdyby większość osób postępowała zgodnie z zaleceniami, oszczędności w skali kraju byłyby zauważalne. Ważne jest również dbanie o odpowiednie wykorzystanie zasobów wodnych. Niezbędny jest rozwój retencji, szczególnie małej, zwanej naturalną.

GRZEGORZ PIETRUCZUK,
burmistrz warszawskich Bielan

Warto zacząć od podstawowych czynności, np. podczas porannej toalety napełnijmy kubeczek wodą, zamiast myć zęby przy odkręconym kranie. Jeśli zamiast kąpieli w wannie wybierzemy szybki prysznic, zużyjemy nawet pięć razy mniej wody. Jeśli jednak zdecydujemy się na kąpiel, wodę możemy później zużyć np. do mycia podłóg. Twórzmy małe zbiorniki w ogrodzie, a do podlewania używajmy deszczówki. Samochód umyjmy w myjni z zamkniętym obiegiem wody. Wszystkie produkty i każdą działalność człowieka można przeliczyć na zużycie wody, dlatego z wielu rzeczy korzystajmy z rozwagą, aby jak najdłużej nam służyły.

ROBERT WAWRĘTY,
Towarzystwo na rzecz Ziemi

70% całkowitego poboru wód w Polsce przypada na węglowy przemysł energetyczny – np. elektrownia w Kozienicach w latach 2018-2019 pobrała z Wisły wodę odpowiadającą objętości sześciu Jezior Solińskich. Dlatego w celu ochrony zasobów wodnych należy przebudowywać energetykę w kierunku rozwiązań opartych na wietrze i słońcu. Przyczyną utraty wód jest również regulacja rzek, a pod koniec 2016 r. mieliśmy uregulowanych już ok. 60% cieków. Kolejne miliony metrów sześciennych wody utraciliśmy, niszcząc jej naturalne rezerwuary. W drugiej połowie XX w. zniknęło w Polsce 58% powierzchni obszarów podmokłych, a każdego roku kolejne zbiorniki są zasypywane odpadami z kopalń. Od lat dokonuje się masowego odstrzału bobrów oraz niszczenia ich tam i żeremi, mimo że dzięki nim powstają rozlewiska, z których każde magazynuje od 100 m sześc. do 200 tys. m sześc. wody. Czas skończyć z szaleństwem dewastacji ekosystemów wodnych. Od lat obserwujemy również dramatyczny przyrost utwardzonych powierzchni, powodujący zwiększony odpływ wód. W latach 1990-2012 uszczelniono ok. 20% powierzchni miejskich zlewni rzek Raduni i Serafy, a mimo wybudowania zbiorników retencyjnych te straty nie zostały wyrównane. Wszelkie straty retencyjne należy kompensować, m.in. rozbudową przydomowych cystern i oczek wodnych oraz zazielenianiem dachów.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

PAWEŁ JELEŃ
Sadzić drzewa, zamiast wylewać beton.

RYSZARD JĘDRZEJEWSKI
Tworzyć zastawki na rowach odwadniających.

TOMASZ MŁODOJEWSKI
Zakładać ogrody wodne. Jak w Gdańsku.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 2364728ccd

Bohdan Piętka

Największy front w dziejach świata

II wojna światowa została rozstrzygnięta na froncie wschodnim

„Z czteroletnich zmagań z III Rzeszą Związek Sowiecki wyszedł zwycięsko. Złożyło się na to, rzecz jasna, wiele przyczyn. Niewątpliwie dużą rolę odegrała ogromna przestrzeń i zasoby ludzkie, potężny przemysł, co najmniej 15 lat nieprzerwanych zbrojeń, zdeterminowany i bezwzględny reżim. Należy też podkreślić wytrwałość żołnierza rosyjskiego i jego znikome potrzeby. Poza tym Rosji dopomagali prawie wszyscy, jak kto mógł. (…) Tak więc błędy Hitlera i dostawy amerykańsko-brytyjskie były głównymi przyczynami klęski niemieckiej na Wschodzie", napisał gen. Władysław Anders w zakończeniu książki „Klęska Hitlera w Rosji", wydanej po raz pierwszy w 1952 r. w Londynie[1]. Myślą przewodnią tego dzieła – opublikowanego w szczytowej fazie pierwszego okresu zimnej wojny – jest teza, że ZSRR pokonał Niemcy hitlerowskie tylko dzięki amerykańskim i brytyjskim dostawom wojennym oraz bombardowaniu III Rzeszy przez aliantów zachodnich. W podtekście autor – znany z antykomunizmu i antysowietyzmu – sugeruje, że ZSRR można pokonać, jeśli będzie on izolowany politycznie. Nie jest bez znaczenia, że Anders pisał to w okresie wojny koreańskiej (1950-1953) – pierwszego znaczącego konfliktu zimnej wojny.

Ta zimnowojenna optyka – umniejszająca rolę ZSRR w pokonaniu Niemiec hitlerowskich i w ogóle znaczenie frontu wschodniego II wojny światowej – stała się dominującą w polskiej prawicowej publicystyce historycznej po 1989 r. Wspomniana książka Andersa może jeszcze uchodzić za poważne źródło, na którym bazuje przekaz tej publicystyki. Gorzej, że środowiska skrajnie prawicowe budują narrację na temat frontu wschodniego i całej II wojny na podstawie takich autorytetów jak przywódca walońskich faszystów i kolaborant hitlerowski Léon Degrelle. Jego książki – „Front wschodni 1941-1945. Wspomnienia", „Płonące dusze" czy „Wiek Hitlera" – zajmują poczesne miejsce w polityce wydawniczej tych środowisk. Studiując te publikacje, można odnieść wrażenie, że cofnęliśmy się do okresu zimnej wojny, by walczyć propagandowo z nieistniejącym ZSRR.

Współczesna polska polityka historyczna ignoruje znaczenie frontu wschodniego dla pokonania Niemiec hitlerowskich, a więc także dla biologicznego istnienia narodu polskiego. Przejawem tego jest chociażby likwidacja po 2015 r. pod hasłem „dekomunizacji" tych pomników żołnierzy radzieckich, których nie usunięto od 1989 r. Ci żołnierze byli żołnierzami koalicji antyhitlerowskiej, w której walczyła także Polska. Wypada zatem zadać pytanie, po której ze stron walczących w II wojnie światowej staje obecna polska polityka historyczna.

W 1943 r. po stronie Niemiec i ich satelitów walczyło 3,9 mln żołnierzy, po stronie radzieckiej 6,8 mln.

Poważni historycy i autorzy nie mają wątpliwości co do tego, jakie znaczenie miał front wschodni. Na przykład Norman Davies już we wstępie do książki „Europa walczy" stwierdził: „Krótko mówiąc, o wynikach wojny w znacznej mierze przesądziły wydarzenia na froncie wschodnim i takie bitwy jak Stalingrad czy Kursk"[2].

Plan Barbarossa

Front wschodni był nie tylko największym frontem II wojny światowej, ale i największym frontem wojennym w dziejach, zarówno pod względem wielkości teatru działań, jak i zaangażowanych na nim sił. Obejmował obszary ZSRR od Morza Barentsa na północy po Morze Czarne i Kaukaz na południu. W dalszej części zmagań front wschodni objął tereny Polski, Słowacji, Rumunii, Węgier, Czech, wschodniej Austrii i Niemiec po Łabę. W inwazji państw Osi pod przewodnictwem III Rzeszy na ZSRR 22 czerwca 1941 r., będącej realizacją hitlerowskiego planu Barbarossa, wzięło udział 3,8 mln żołnierzy, w tym 3 mln niemieckich. Strona radziecka przeciwstawiła im wtedy na pierwszej linii 2,68 mln żołnierzy. Najwyższe stany liczebne siły walczące na froncie wschodnim osiągnęły w 1943 r. Po stronie Niemiec i państw satelickich walczyło wtedy 3,9 mln żołnierzy, a po radzieckiej – 6,8 mln. W 1945 r. siły niemieckie na froncie wschodnim stopniały do ok. 2 mln żołnierzy, z kolei siły walczące po stronie radzieckiej dysponowały 6,4 mln żołnierzy. W tym 334 tys. żołnierzy polskich i 60 tys. czechosłowackich, a po zmianie frontu przez Rumunię i Bułgarię w 1944 r. także 538 tys. rumuńskich i 290 tys. bułgarskich. Była to największa konfrontacja militarna w historii.

Inwazja państw Osi doprowadziła do zajęcia znacznych obszarów europejskiej części ZSRR i ogromnych strat po stronie radzieckiej. Początkowe klęski Armii Czerwonej (czerwiec-październik 1941 r.) wynikały z zastosowanej przez agresorów strategii wojny błyskawicznej (*Blitzkrieg*), braku doświadczenia nowej kadry dowódczej, która zastąpiła 70% dowódców wojskowych wymordowanych na polecenie Stalina w latach 1937-1938, braku planów obrony kraju oraz z tego, że Stalin nie wierzył w możliwość agresji hitlerowskiej. *Blitzkrieg* został zniweczony podczas bitwy o Moskwę (od 2 października 1941 r. do 7 stycznia 1942 r.). Odtąd Niemcy i ich sojusznicy nie byli już w stanie prowadzić ofensywy na całej długości frontu. Latem 1942 r. ruszyli tylko w kierunku Kaukazu i Stalingradu, co zakończyło się druzgocącą klęską pod Stalingradem w lutym

eprasa.pl 2364728ccd

Żołnierze 1. Armii WP swój szlak bojowy rozpoczęli pod Lenino, zakończyli zwycięsko w Berlinie.

1943 r., uważaną za punkt zwrotny w II wojnie światowej. Faktycznym punktem zwrotnym była jednak dopiero bitwa na Łuku Kurskim (5 lipca-23 sierpnia 1943 r.) – największa bitwa lądowa w historii.

Po jej zwycięskim rozstrzygnięciu Armia Czerwona przejęła inicjatywę na froncie wschodnim i utrzymała ją do końca wojny. Olbrzymie sukcesy stronie radzieckiej przyniósł rok 1944. Armia Czerwona odblokowała wtedy Leningrad i wyparła Niemców z państw bałtyckich, Białorusi, zachodniej Ukrainy, wschodniej Polski, wschodnich Węgier, Rumunii, Bułgarii i wschodniej Jugosławii. W 1945 r. kontynuowała zwycięski pochód, zajmując Prusy Wschodnie, wyzwalając zachodnią Polskę, Czechosłowację, zachodnie Węgry, wschodnią Austrię, zdobywając Berlin i dochodząc do Łaby. Podczas wielkich operacji strategicznych na froncie wschodnim ujawnił się talent takich dowódców radzieckich jak Gieorgij Żukow, Iwan Koniew, Konstanty Rokossowski, Nikołaj Watutin, Aleksander Wasilewski, Kirił Mierieckow, Wasilij Czujkow, Pawieł Rotmistrow i inni.

Skoncentrowanie głównych zmagań II wojny światowej na froncie wschodnim odciążyło aliantów zachodnich, którzy w tym czasie prowadzili działania na nieporównywalnie mniejszą skalę w Afryce Północnej (1941-1943) i we Włoszech (1943-1945), a drugi front we Francji otworzyli 6 czerwca 1944 r.

Uderzenie Niemiec hitlerowskich i ich satelitów na ZSRR okazało się z późniejszej perspektywy decydującym momentem II wojny światowej. *Blitzkrieg* na Wschodzie zamienił się w pułapkę, z której Hitler już się nie wydostał. Znaczenie tego, co się stało 22 czerwca 1941 r., natychmiast zrozumiano w Londynie i Waszyngtonie. Atak Hitlera na ZSRR spowodował przewrót geopolityczny, w wyniku którego Józef Stalin i zdecydowany antykomunista Winston Churchill znaleźli się po jednej stronie.

Wielka Koalicja

Już 22 czerwca 1941 r. o godz. 21 Churchill na antenie BBC wyraził solidarność z zaatakowanym Związkiem Radzieckim. 12 lipca 1941 r. Wielka Brytania i ZSRR podpisały akt o wzajemnej współpracy, zastąpiony 26 maja 1942 r. dwustronną umową o pomocy. 31 sierpnia 1941 r. dotarł do ZSRR pierwszy konwój brytyjski z zaopatrzeniem. 14 sierpnia 1941 r. przywódcy Wielkiej Brytanii i USA podpisali Kartę atlantycką, a 7 października 1941 r. zostało zawarte porozumienie amerykańsko-radzieckie o dopuszczeniu ZSRR do dostaw wojennych w ramach Lend-Lease Act. 24 września 1941 r. Kartę atlantycką podpisały ZSRR, dziewięć rządów emigracyjnych krajów okupowanych przez III Rzeszę, Australia i dominia brytyjskie (Indie, Kanada, Związek Południowej Afryki). Tak narodziła się Wielka Koalicja antyhitlerowska. Ostatnim aktem jej powstania było przystąpienie USA do wojny po ataku Japonii na Pearl Harbor 7 grudnia 1941 r. i wypowiedzeniu wojny Ameryce przez Niemcy i Włochy cztery dni później. Utworzenie Wielkiej Koalicji stało się początkiem końca Niemiec hitlerowskich.

II wojna światowa została rozstrzygnięta na froncie wschodnim. Pomoc aliantów zachodnich była ważnym czynnikiem wzmacniającym potencjał ZSRR. Jednakże otrzymał on tylko jedną piątą dostaw w ramach Lend-Lease Act, podczas gdy Wielka Brytania trzy piąte. Według szacunków historyków rosyjskich alianci zachodni wysłali do ZSRR 427 tys. samochodów, 13 tys. czołgów, 22 tys. samolotów, 9 tys. traktorów, 2 tys. lokomotyw, 11 tys. wagonów, 3 mln ton benzyny lotniczej, 350 tys. ton materiałów wybuchowych, 15 mln par butów, 70 mln m kw. tkanin ubraniowych, 4 mln opon oraz 200 tys. km drutu telefonicznego. Dla porównania: w latach 1941-1945 produkcja radziecka wyniosła ok. 265,6 tys. samochodów, 1087 wagonów towarowych i ok. 800 parowozów.

eprasa.pl 2364728ccd

Zatknięcie flagi radzieckiej na budynku Reichstagu.

O klęsce Niemiec w II wojnie światowej zadecydowały jednak nie dostawy dla ZSRR w ramach Lend-Lease Act, ale ofiary poniesione przez narody tego państwa. Te zaś liczby są porażające. Związek Radziecki stracił w wojnie z Niemcami hitlerowskimi 26,6 mln swoich obywateli, co stanowiło 13,7% populacji. Z tego 10,6 mln poległo w walkach na froncie, 10 mln zginęło w wyniku działań wojennych i niemieckich zbrodni przeciw ludzkości, a 6 mln zmarło w wyniku chorób i głodu spowodowanych wojną.

Największe straty poniosły: Rosyjska FSRR – 14 mln (7 mln poległych na froncie, 4 mln zabitych w wyniku działań wojennych i zbrodni niemieckich, 3 mln zmarłych z głodu i chorób), Ukraińska SRR – prawie 6,9 mln (1,7 mln poległych, 3,7 mln zabitych w wyniku działań wojennych i zbrodni niemieckich, 1,5 mln zmarłych z głodu i chorób), Białoruska SRR – 2,2 mln (620 tys. poległych, 1,3 zabitych w wyniku działań wojennych i zbrodni niemieckich, 310 tys. zmarłych z głodu i chorób) i Kazachska SRR – 660 tys. (310 tys. poległych i 350 tys. zmarłych z głodu i chorób). Sama blokada Leningradu (od 8 września 1941 r. do 27 stycznia 1944 r.) pochłonęła życie 877 tys. żołnierzy Armii Czerwonej i 1 mln cywilów, w tym 632 tys. zmarłych z głodu. Straty aliantów zachodnich podczas II wojny światowej były nieporównywalne z radzieckimi. W wypadku amerykańskich sił zbrojnych wyniosły 407 tys. poległych, natomiast brytyjskich – 384 tys. (wliczając straty wojsk dominiów i kolonii brytyjskich – 580 tys.).

Ogromne straty po stronie radzieckiej spowodowane były terrorem hitlerowskim i ludobójczą polityką niemiecką na okupowanych terenach ZSRR. Tylko na zajętych ziemiach Polski i ZSRR niemiecka polityka okupacyjna miała charakter ludobójczy i zmierzała do stworzenia na Wschodzie „przestrzeni życiowej" (*Lebensraum*) dla Niemców. Za wojskami niemieckimi i satelickimi, które 22 czerwca 1941 r. zaatakowały ZSRR, podążały grupy operacyjne niemieckiej Policji Bezpieczeństwa (*Einsatzgruppen*), które mordowały Żydów i funkcjonariuszy aparatu partyjno-państwowego ZSRR. Do największej masakry na Żydach doszło w Babim Jarze koło Kijowa (29 września-3 października 1941 r., 33,7 tys. ofiar). Inne duże masakry dokonane przez *Einsatzgruppen* na Żydach w pierwszych miesiącach wojny niemiecko-radzieckiej miały miejsce w Odessie (35 tys. ofiar), w lesie Rumbula pod Rygą (25 tys.), w Równem (15 tys.), w Charkowie (14 tys.) i w Kownie (9,2 tys.). Łącznie *Einsatzgruppen* zamordowały ok. 2 mln obywateli ZSRR, w tym 900 tys. Żydów. Ich eksterminacja była kontynuowana w gettach i obozach zagłady. Także w obozach zagłady istniejących na okupowanych terenach ZSRR, takich jak Mały Trościeniec koło Mińska i Vaivara w Estonii.

Masowe zbrodnie

Ludobójcza polityka hitlerowska najbardziej dotknęła Białoruś i Ukrainę, a pretekstem do popełnionych tam masowych zbrodni stało się dla okupanta niemieckiego zwalczanie radzieckiej partyzantki. Opracowany w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy tzw. Generalny Plan Wschodni przewidywał wyniszczenie w drodze wysiedlenia lub eksterminacji bezpośredniej 51 mln Słowian, w tym 80-85% Polaków, 50-75% Czechów, 75% Rosjan i po 65% Białorusinów i Ukraińców. Oskar Dirlewanger – zanim został katem Woli, Starego Miasta i Powiśla podczas powstania warszawskiego – przekształcał ze swoją brygadą SS obszar okupowanej Białorusi w *Wüstezone* (teren pustynny). Podczas ekspedycji karnych Niemcy zniszczyli 5295 białoruskich wsi, w tym 628 wraz z całą ludnością lub jej częścią. Na Ukrainie taki los spotkał 671 wsi.

Osobny rozdział stanowiły niemieckie zbrodnie na jeńcach radzieckich. Na podstawie tzw. *Kommissarbefehl* (rozkaz o komisarzach) – wydanego 6 czerwca 1941 r. w imieniu Hitlera przez feldmarszałka Wilhelma Keitla – natychmiast po wzięciu do niewoli rozstrzeliwano oficerów politycznych Armii Czerwonej. Szacunkowe liczby czerwonoarmistów, którzy dostali się do niewoli niemieckiej, wahają się od 4,6 mln do 5,7 mln. Spośród nich zginęło w egzekucjach oraz w obozach koncentracyjnych i jenieckich – według ustaleń

eprasa.pl 2364728ccd

historyka Grigorija F. Kriwoszejewa – ok. 3,4 mln, czyli 64,5%. Jeńcy radzieccy stanowili zatem największy procent zarówno wziętych do niewoli, jak i ofiar ze wszystkich państw walczących w II wojnie światowej. Wojna, której celem było zdobycie „przestrzeni życiowej" dla Niemców na Wschodzie, miała być w zamyśle Hitlera wojną totalną, prowadzoną z największą bezwzględnością i bez jakiegokolwiek poszanowania prawa wojennego. I taką była.

Straty niemieckie na froncie wschodnim wyniosły 4,1 mln zabitych na ogólną liczbę 5,3 mln poległych. W liczbie tej zawierają się też straty jednostek kolaboracyjnych, głównie Waffen SS, złożonych z obywateli państw Europy Zachodniej, faszystów chorwackich i nacjonalistów ukraińskich. Czterech na pięciu żołnierzy niemieckich sił zbrojnych zginęło na froncie wschodnim. Do niewoli radzieckiej dostało się od 2,7 do 3 mln żołnierzy niemieckich, z których zginęło ok. 500 tys. Straty wojsk węgierskich wyniosły 300 tys. zabitych, rumuńskich 281 tys., włoskich 82 tys., słowackich 2,5 tys., a fińskich 63 tys. Zginęło też 215 tys. obywateli ZSRR, którzy walczyli po stronie Niemiec w różnych formacjach kolaboracyjnych oraz 5 tys. żołnierzy hiszpańskiej Błękitnej Dywizji. Ogółem straty wojsk Osi na froncie wschodnim wyniosły ok. 5,1 mln poległych.

Mówiąc o froncie wschodnim, nie można pominąć polskiego udziału w zmaganiach wojennych. Obecna polityka historyczna nie chce dostrzegać tego, że najliczniejsze polskie formacje wojskowe, które walczyły w II wojnie światowej poza kampanią wrześniową, powstały na froncie wschodnim. Było to Wojsko Polskie sformowane w ZSRR w latach 1943-1944, a później walczące na terenie kraju. Najpierw dywizja kościuszkowska, potem 1. Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, następnie 1. i 2. Armia Wojska Polskiego. 1 maja 1945 r. w szeregach tego wojska służyło 334,8 tys. żołnierzy, w tym: w 1. Armii WP – 74,5 tys., w 2. Armii WP – 70 tys., w siłach powietrznych – 14,3 tys., a w pozostałych jednostkach i instytucjach MON – 176 tys. Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie liczyły wtedy ok. 200 tys. żołnierzy.

Faktycznym punktem zwrotnym II wojny była bitwa na Łuku Kurskim – największa bitwa lądowa w historii.

Faktem jest, że z Armii Czerwonej pochodziło 72% oficerów dywizji kościuszkowskiej i 19 tys. oficerów służących w Wojsku Polskim w 1945 r. Jednak ponad połowa z nich deklarowała narodowość polską. Historycy Henryk Stańczyk i Stefan Zwoliński scharakteryzowali polskie siły zbrojne utworzone w ZSRR następująco: „Życie wewnętrzne w 1. Dywizji Piechoty, a później w 1. Korpusie i 1. Armii Polskiej oparte zostało na wzorach wojska II Rzeczypospolitej. Dowódcą dywizji został zasłużony żołnierz Legionów Piłsudskiego, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. – Zygmunt Berling. Polskie umundurowanie, piastowski orzeł, obecność kapelanów, polski ceremoniał wojskowy, a także śpiewane pieśni wojskowe »My, Pierwsza Brygada« i »Rota« nadawały obozowi, w którym powstawała jako pierwsza 1. DP, narodowy charakter. (…) Żołnierze tego wojska wywodzili się w większości z obszarów wschodnich II Rzeczypospolitej i mieli świadomość, że po wojnie ich ojcowizna pozostanie poza granicami odrodzonego państwa, mimo to bili się mężnie o niepodległy byt narodu. Byli symbolem polskiej obecności na froncie wschodnim; otworzyli drogę do rodzinnego kraju swoim rodakom z posiołków Kazachstanu, syberyjskiej tajgi, lodowatej północy, Dalekiego Wschodu"[3].

W tym wojsku służyli nie tylko ci, którzy „nie zdążyli do Andersa". Po wejściu frontu na ziemie polskie nie zabrakło w szeregach 1. i 2. Armii żołnierzy z Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej. Dlatego bardzo uproszczone i nieuczciwe jest nazywanie dzisiaj tego wojska przez niektórych przedstawicieli prawicy komunistycznym albo polskojęzycznym i wykreślanie go z tradycji polskiego oręża, co oficjalnie zrobił Sławomir Cenckiewicz.

Polski wkład w zwycięstwo

Najważniejszymi walkami 1. Armii WP były forsowanie Wisły pod Dęblinem i Puławami oraz walki na przyczółku warecko-magnuszewskim (sierpień-wrzesień 1944 r.), udział w bitwie o Pragę (wrzesień 1944 r.) i pomoc dla powstania warszawskiego, która kosztowała utratę 3,8 tys. żołnierzy (w tym 2,3 tys. poległych), udział w bitwie o Warszawę w styczniu 1945 r., następnie walki o przełamanie Wału Pomorskiego, udział w bitwie o Kołobrzeg i w ope-

DOKUMENTY KOMISJI POWOŁANEJ PRZEZ GEN. SIKORSKIEGO

Najpierw „góra" zaczęła uciekać, nie tylko w wojsku, ale i w administracji. Nic dziwnego, mieli przecież czym uciekać i za co.

45 zł

E-BOOK 19,90 zł

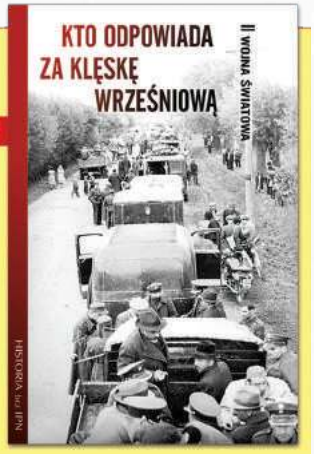

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Wpłat 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 2364728ccd

Symbol zwycięstwa nad III Rzeszą. Radziecki żołnierz z popiersiem Hitlera, Berlin 2 maja 1945 r.

racji berlińskiej (16 kwietnia-8 maja 1945 r.). 2. Armia WP – składająca się w większości z byłych żołnierzy AK – zapisała się tragicznym udziałem w operacji łużyckiej (16 kwietnia-4 maja 1945 r.), w której straciła 22% stanu, a następnie w operacji praskiej (5-11 maja 1945 r.).

Na szlaku bojowym od Lenino do Berlina i Łaby dywizja kościuszkowska, 1. Korpus PSZ i 1. Armia WP straciły 66,9 tys. żołnierzy: ponad 17,5 tys. poległych, 9770 zaginionych, 39 tys. rannych i 260 wziętych do niewoli niemieckiej. Natomiast 2. Armia WP straciła 18,2 tys. żołnierzy, która to liczba obejmowała ok. 5 tys. poległych, 2,8 tys. zaginionych i 10,5 tys. rannych. Natomiast Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie straciły podczas wojny 43,5 tys. żołnierzy, w tym 7,6 tys. poległych. Olbrzymi wysiłek organizacyjny i bojowy oraz ofiary poniesione przez Wojsko Polskie na froncie wschodnim stanowiły zatem znaczną część polskiego wkładu w zwycięstwo koalicji antyhitlerowskiej nad Niemcami. To spowodowało, że Polska znalazła się w czołówce państw tej koalicji. Bez tego nie byłyby możliwe powrót Polski nad Odrę, Nysę Łużycką i Bałtyk ani zachowanie przez powojenną Polskę odrębności państwowej (chociaż nie ustrojowej) od ZSRR. Niech więc polityka historyczna III RP nie wypisuje Polski z koalicji antyhitlerowskiej w imię antykomunizmu i antysowietyzmu.

Polski wysiłek militarny na froncie wschodnim to nie tylko Wojsko Polskie sformowane w ZSRR i w wyzwalanym kraju, ale także Polacy walczący w Armii Czerwonej. Trafili do niej z poboru na Kresach Wschodnich w latach 1939-1941 i 1944-1945 oraz z poboru w miejscach zesłania na terenie ZSRR. Nie jest znana ich dokładna liczba. Mogło ich być ok. 250 tys. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Polacy byli największą walczącą w szeregach Armii Czerwonej grupą narodowościową, która przed 1939 r. posiadała własne państwo poza granicami Związku Radzieckiego[4].

Przemilczanie, niedocenianie lub znieważanie polskiego wysiłku na froncie wschodnim podczas II wojny światowej – co z zaciekłością robi od 30 lat prawicowa polityka historyczna – jest nie tylko krzywdzące i niesprawiedliwe. Jest również działaniem antypolskim, ponieważ obniża, wręcz neguje, rzeczywisty wkład narodu polskiego w zwycięstwo nad niemieckim nazizmem. Żadne inne państwo nie prowadzi w tej mierze tak samobójczej polityki historycznej jak obecne państwo polskie.

Jakże inaczej patrzy na historię sekretarz obrony USA, który 25 kwietnia 2020 r. – w 75. rocznicę spotkania wojsk radzieckich i amerykańskich w Torgau nad Łabą – zamieścił na FB następujący wpis: „Dziś mija 75. rocznica spotkania amerykańskich i radzieckich armii nad rzeką Łabą, wydarzenia, które zakończyło nazistowską agresję w Europie. Musimy na zawsze być czujni, aby bronić praw człowieka, wolności i praworządności". Dedykuję ten wpis Marka Espera tym wszystkim, którzy ignorują znaczenie frontu wschodniego II wojny światowej i rolę ZSRR w pokonaniu niemieckiego nazizmu.

Bohdan Piętka

[1] Cyt. za pierwszym wydaniem polskim, W. Anders, *Klęska Hitlera w Rosji 1941-1945*, Bellona, Warszawa 2014, s. 234.

[2] N. Davies, *Europa walczy 1939-1945. Nie takie proste zwycięstwo*, Znak, Kraków 2008, s. 7.

[3] H. Stańczyk, S. Zwoliński, *Wojsko Berlinga i Żymierskiego 1943-1945*, Warszawa 2015, s. 349, 352.

[4] M. Więckowski, *Narody nierosyjskie w Armii Czerwonej podczas II wojny światowej*, „Poliarchia" 2016, nr 1 (6), s. 100.

PROGRAM „PAMIĘĆ"

Odchodzą, często w zapomnieniu, ludzie wybitni. Twórcy i świadkowie historii. Politycy, naukowcy, literaci, społecznicy, artyści.

Czytelnicy apelują: Póki czas nagrywajcie rozmowy z nimi. Filmujcie i zapisujcie. Rejestrujcie je ku pamięci.

Zrobimy to!

Ale sami nie damy rady. Potrzebujemy Waszej pomocy. Musimy kupić sprzęt do filmowania i nagrywania.

Apelujemy o wsparcie i wpłaty na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3, lok. 7,
z dopiskiem „Pamięć".

FOT. EAST NEWS, JEWGIENIJ CHAŁDIEJ, ALAMY/BEW

eprasa.pl 2364728ccd

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Bojkotować, ale myśleć

Kolega, komentując zapowiedziane „wybory po trupach", wykrzyknął: „Żyjemy w stanie wyjątkowym! To zamach stanu!". „Naprawdę? – odkrzyknąłem – niemożliwe!".

Taki żarcik sobie zrobiłem. Bo że żyjemy w faktycznym stanie wyjątkowym – to wiem od prawie ćwierćwiecza. Wszak Trzecia Rzeczpospolita, niewątpliwie najlepsze państwo w polskich dziejach, naruszała jednak zasady demokracji. Działo się tak w związku z ustawą lustracyjną z roku 1997, dzielącą obywateli na tych, którzy bierne prawo wyborcze mają bezwarunkowo (roczniki młodsze), oraz tych, dla których jest ono uwarunkowane złożeniem oświadczenia o współpracy z SB (roczniki starsze). Ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej z roku 1998 dzieliła zaś obywateli na „pokrzywdzonych" i „niepokrzywdzonych", a w konsekwencji nadawała szersze prawa tylko tym pierwszym. Ustawa dezubekizacyjna z roku 2009 łamała z kolei zasady *lex retro non agit* (prawo nie działa wstecz) i *pacta sunt servanda* (układy zawarte obowiązują). Po wejściu w życie ustawy lustracyjnej obiecałem sobie nawet, że gdybym znów otrzymał propozycję kandydowania do Sejmu, nie przyjąłbym jej. Bo nie będę składał upokarzających oświadczeń. Postanowiłem, choćby tylko intencjonalnie, być obywatelem drugiej kategorii.

Od prawie ćwierćwiecza żyjemy w faktycznym stanie wyjątkowym.

Oczywiście w działaniach niedemokratycznych PiS stworzyło nową jakość. Andrzej Duda dokonał zamachu stanu już w nocy z 2 na 3 grudnia 2015 r., gdy zaprzysiągł sędziów dublerów Trybunału Konstytucyjnego (przy okazji delegitymizując swoją prezydenturę). Gdy w marcu 2016 r. François d'Alançon z dziennika „La Croix" robił ze mną wywiad, termin *coup d'état* wracał w naszej rozmowie wielokrotnie. I bynajmniej nie świadczy to o mojej przenikliwości, bo w wolne wybory jeszcze wtedy wierzyłem. Dopiero gdy parę dni później jeden z przyjaciół roześmiał się: „To będą jeszcze jakieś wybory?", ujrzałem grozę sytuacji.

Od tamtego czasu przeżyliśmy szereg zamachów stanu. I nawet do nich trochę się przyzwyczailiśmy. I trochę się uodporniliśmy. Przecież wybory jakoś się odbywały. Lecz dziś? Mamy zaaprobować kolejny zamach stanu? Odpowiedź jest dla mnie oczywista. Skoro bojkotowałem wybory w PRL, nie mogę przyjąć „usługi pocztowej" PiS. Opowiadał mi swego czasu gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, jak kiedyś, na oczach gen. Karola Świerczewskiego, głosował w sposób tajny, za kotarą. Wprawdzie został za to wyrzucony z wojska, lecz dziś nie mamy już nawet kotary.

W takich więc warunkach kandydaci na prezydenta mieliby „walczyć do końca"?! Rozumiem Dudę, ale pozostali? Wyobraźmy sobie, że jednak wygrywa ktoś z opozycji. I wyobraźmy sobie, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego wybór taki nawet zatwierdza. Gdyby ten scenariusz – czysto przecież teoretyczny – się ziścił, to co wtedy? Czy jeśli dziś ubolewamy, że mandat Dudy będzie słaby – to czy mandat innego zwycięzcy będzie silny? Czy skoro wygrał „nasz" – to wybory, urągające wszelkiej przyzwoitości, będą już automatycznie w porządku? Zostawmy teorie, „przy zasadach stójmy". Ale za bojkotem przemawiają nie same zasady, lecz i pragmatyka.

Tylko co dalej? Czy trzeba się upierać przy pomysłach nierealnych, na które dzisiejszy władca Polski i tak się nie zgodzi? Wszak zgodzi się on na to jedynie, co będzie zgodne z jego interesem. To prawda, odwleczenie wyborów o dwa lata, o czym mówią Jarosław Gowin i Łukasz Szumowski, stanie się dla prezesa prezentem. Przez ten czas władzę sądowniczą można będzie do końca spacyfikować, z samorządami się rozprawić, system władzy ostatecznie domknąć. Można też będzie – kto wie? – wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej. A potem i tak rozpocząć kolejną siedmioletnią prezydenturę Dudy – wszak zasada *pacta sunt servanda* PiS nie obowiązuje.

Tyle że wszystko to można zrobić w każdym wariancie. A w sytuacji stanu wyjątkowego nawet szybciej. I na dłużej. Oba scenariusze – wybory za dwa lata oraz stan wyjątkowy dziś – są dla Kaczyńskiego korzystne, a to on, i tylko on, rozdaje karty. I wątpię, by się cofnął. Tymczasem jednak pootwierał sobie wszystkie możliwe fronty, wewnętrzne i zewnętrzne, wierne mu są (obok podległych ogniw władzy) właściwie wyłącznie rzesze żelaznego elektoratu, zawodzi nawet Trump (konkretnie pani ambasador Mosbacher). Nie ma wątpliwości, że fronty te prędzej czy później PiS zaduszą. A w systemie, wziętym w kleszcze kryzysu ekonomicznego, rozpocznie się proces gnicia. Tym bardziej że na monolicie Zjednoczonej Prawicy pojawiły się rysy, może nawet szczeliny, i z wolna się poszerzają. I jeszcze mamy przyczółek wolności – Senat. Owszem, gmeranie dla doraźnych celów przy konstytucji stanowi groźny precedens, rodzi ryzyko zarówno trwałej „orbanizacji" Polski, jak i późniejszego wystawienia kontrahentów do wiatru. Ale właśnie: późniejszego. To znaczy za dwa lata. Czyli kupujemy sobie czas. „Kraj, w którym każdy czyn za wcześnie wschodzi", pisał o swojej ojczyźnie Norwid.

Polityka jest sztuką możliwości. Za dwa lata Kaczyński być może znów nas ogra. Rzecz w tym, że – przyparty do ściany – ogra nas teraz prawie na pewno.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2364728ccd

Robert Walenciak

Na razie mamy bunt

I to taki, że projekt państwa PiS drży w posadach

Im bliżej terminu majowych wyborów, tym bardziej widać, jak szalony jest to pomysł.

O tym, że wyborów pocztowych, których chciałoby Prawo i Sprawiedliwość, nie da się przeprowadzić, mówią wszyscy, poza politykami PiS. Nie da się ich przeprowadzić z kilku powodów. Po pierwsze, sposób wymyślony przez PiS nie gwarantuje ochrony przed koronawirusem. Po drugie, narusza wszelkie zasady państwa prawa, państwa demokratycznego. Wybory pocztowe nie będą bowiem ani powszechne, ani tajne, ani równe. Prawomocność odbiera im fakt, że ma je organizować nie Państwowa Komisja Wyborcza, tylko wicepremier Jacek Sasin z prezesem poczty Tomaszem Zdzikotem. Sam przewodniczący PKW, Sylwester Marciniak, przyznał, że nie ma szans, by były wolne. Po trzecie, szanse, by poczta była zdolna sprawnie je przeprowadzić, są iluzoryczne.

Takie wybory byłyby też wielką kompromitacją Polski w świecie. Jest już zresztą miażdżąca dla PiS opinia w tej sprawie Biura Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka OBWE. Legalność prezydenta wybranego w ten sposób łatwo byłoby podważyć. Zarówno na świecie, jak i w Polsce. Skutków tego lepiej nawet nie przewidywać.

Po co więc Jarosław Kaczyński w to wszystko się pcha? Odpowiedź jest jasna. Żeby władzy raz zdobytej nie oddać nigdy. Kaczyński, obserwując rozlewający się kryzys, jest przekonany, że to ostatnie tygodnie, kiedy Andrzej Duda może wybory wygrać. Stąd bierze się jego determinacja, by odbyły się w maju.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego Kaczyński przy majowych wyborach tak bardzo się upiera. Ten powód to Jarosław Gowin.

Pisanie o Gowinie, że na coś się zdecydował i będzie w tej decyzji konsekwentny, to wielkie ryzyko. Bo to polityk, który nawyczyniał w karierze całą masę wolt, a jego słowa „głosowałem, ale się nie cieszyłem" przeszły do historii polskiej polityki. Tym razem jednak zaryzykowałbym tezę, że jego obecny zwrot, sprzeciw wobec majowych wyborów i zapowiedź, że będzie przeciwko nim głosował w Sejmie, to mocne postanowienie, oparte na zimnej kalkulacji. Uznałbym, że Gowin się zbuntował i wie, czego chce. I dlatego Kaczyński próbuje pokazać, że jest mocny. Żeby utrzymać jedność swojego obozu. Bo od jej utrzymania zależy, czy PiS ma jeszcze w Sejmie większość. Przypomnijmy – Zjednoczona Prawica, czyli PiS i przystawki, ma w Sejmie 235 posłów, czyli ledwie pięciu ponad wymaganą większość. A jedna z tych przystawek, Porozumienie Jarosława Gowina, to 18 posłów. Ilu z nich pójdzie za Gowinem? Tego jeszcze nie wiemy, ale wystarczy, że pójdzie pięciu, i mamy zupełnie inną sytuację. O to toczy się gra. Wielka gra.

Szeregowy poseł numer 2

O tym, że bunt Gowina wprawił kierownictwo PiS w panikę, świadczą rozmaite drobne wydarzenia. Na przykład krótka wymiana zdań na Twitterze między posłem Janem Filipem Libickim a wicemarszałkiem Sejmu Ryszardem Terleckim.

„Hej członkowie i fani PiS! Chyba jednak jest w Sejmie nowa większość. Do obronienia rezultatu procedowania »ustawy pocztowej« przez Senat i do wyboru nowego marszałka niższej izby parlamentu", napisał Libicki. Na co odpowiedział Terlecki: „Elżbieta Witek jest marszałkiem Sejmu, a Jarosław Gowin aktualnie szeregowym posłem. Jeżeli ktoś w tzw. Porozumieniu uważa, że dla czyichś chorych ambicji Prawo i Sprawiedliwość zgodzi się na jakiekolwiek zmiany, to się myli". Tak oto Gowin awansował na „szeregowego posła". Czyli mamy ich już w Polsce dwóch.

Innym wartym odnotowania wydarzeniem była inicjatywa Andrzeja Dudy, który zaprosił do Pałacu Prezydenckiego, na przeszło trzygodzinną rozmowę, posłów Porozumienia. O czym rozmawiali? Podobno o kolejnym pakiecie tarczy antykryzysowej.

Gowina poparli biskupi. Rada Stała Konferencji Episkopatu Polski wydała komunikat, w którym czytamy m.in.: „Apelujemy do sumień ludzi odpowiedzialnych za dobro wspólne naszej Ojczyzny, zarówno do ludzi sprawujących władzę, jak i do opozycji, aby w tej nadzwyczajnej sytuacji wypracowali wspólne stanowisko, dotyczące wyborów prezydenckich. Zachęcamy, aby w dialogu między stronami poszukiwać takich rozwiązań, które nie budziłyby wątpliwości

eprasa.pl 2364728ccd

Jarosław Gowin wybrał rolę samodzielnego gracza. Jak mu pójdzie?

prawnych i podejrzenia nie tylko o naruszenie obowiązującego ładu konstytucyjnego, ale i przyjętych w demokratycznym społeczeństwie zasad wolnych i uczciwych wyborów".

Dodajmy do tego relacje prasowe o wielkim nasileniu tzw. działań kaperowniczych. Piszą gazety, że ludzie PiS próbują namawiać posłów Gowina, a także Konfederacji, PSL i PO, by przeszli na ich stronę. Możemy tylko podejrzewać, jakie argumenty znajdują się na stole.

W polskiej polityce mają więc miejsce dwa równoległe wydarzenia. Pierwsze to bój o termin wyborów prezydenckich i o to, jak zostaną przeprowadzone. Na ten temat jest głośno, o tym wszyscy mówią. Drugie rozgrywa się na zapleczu, jest ukryte przed oczami osób postronnych. To werbowanie i liczenie szabel.

Zdusić bunt w zarodku?

Z jednej więc strony, padają gromkie zapowiedzi, że PiS do wyborów korespondencyjnych szykuje się pełną parą, wicepremier Sasin drukuje karty do głosowania, na zasadzie: ani kroku do tyłu. Nie wiadomo, ile w tym blefu, ile poważnych zamiarów. A z drugiej, krążą po PiS różne listy z ludźmi od Gowina, którzy pracują w ministerstwach, spółkach skarbu państwa… Z przesłaniem: Gowin to zdrajca, a jego ludzi należy natychmiast wyciąć itd. On sam zresztą potwierdza, że jego środowisko jest świadome konsekwencji nieposłuszeństwa.

Po co Kaczyński to robi? Manifestuje bezwzględność? Raczej po to, żeby zdusić bunt w zarodku. Podzielić Porozumienie na tych, co z Gowinem, i tych, co z PiS. Jest to również rodzaj presji psychicznej wywieranej na posłów PiS. Żeby bali się nawet odpowiedzieć Gowinowi na dzień dobry. Żeby między nim a resztą ludzi obozu rządzącego wyrosła ściana.

Na ile to to pozyskiwanie glosów będzie skuteczne? Przekonamy się już wkrótce. Na początek – w Senacie.

Ile Gowin ma szabel?

Tam teoretycznie opozycja ma przewagę jednego głosu. Ale sytuacja jest płynna. Po pierwsze, w Senacie dwóch swoich przedstawicieli ma też Gowin: Tadeusza Kopcia i Józefa Zająca. Nie są twardymi pisowcami, to doświadczeni parlamentarzyści, pierwszy był w Unii Wolności i PO, drugi w PSL. Jak tym razem się zachowają? Jeszcze nie wiemy. Po drugie, wśród senatorów opozycji kłusuje PiS. Czy przeciągnie kogoś na swoją stronę? A ma przecież środki rozmaite, i marchewkę, i kij. Tak naprawdę więc dopiero podczas głosowania nad ustawą pocztową dowiemy się, jaki jest w Senacie układ sił.

Załóżmy, że opozycja utrzyma w nim większość. Wtedy rozpocznie się drugi etap rozgrywki – w Sejmie. Decydujący, bo na dwa-trzy dni przed oficjalnym terminem wyborów prezydenckich Sejm będzie głosował, czy będą one korespondencyjne, czy w ogóle 10 maja ich nie będzie. Przekonamy się wówczas, jaka jest siła Jarosława Gowina, kto z posłów Porozumienia jest przy nim, a kto nie. I czy Jarosław Kaczyński ma w Sejmie większość. Bo wyraźnie widać, że tej większości nie jest pewien. Inaczej jego różni wysłannicy nie namawialiby posłów opozycji, by się przyłączyli do rządzącej ekipy.

Wybory pocztowe nie będą ani powszechne, ani tajne, ani równe. Byłyby wielką kompromitacją Polski w świecie.

Jeżeli więc Senat odrzuci ustawę pocztową, będziemy mieli w Sejmie pasjonujące głosowanie. Jeden albo dwa głosy mogą zadecydować nie tylko o losach tych nieszczęsnych wyborów, ale również o pozycji Kaczyńskiego. I o przyszłości Polski.

Z drugiej strony powinniśmy mieć świadomość, że to dopiero wstęp do kolejnych bitew.

Jak przejąć lejce władzy?

Przyjmijmy, że Jarosław Gowin nie zmieni zdania, będzie przeciwny majowym wyborom, a do tego zdoła utrzymać przy sobie wystarczającą grupę posłów. W efekcie Sejm weta Senatu nie odrzuci. Czyli PiS straci w nim większość.

Będzie to czas na kolejny krok – na wymianę marszałka Sejmu. O tym też sporo się mówi, pisałem zresztą na ten temat w ubiegłym tygodniu – jeżeli opozycja, razem z gowinowcami, będzie miała w Sejmie większość, kolejnym logicznym krokiem będzie zastąpienie Elżbiety Witek Jarosławem Gowinem. Ale pamiętajmy, nie będzie to ani szybkie, ani proste – bo głosowanie w tej sprawie może się odbyć najszybciej siedem dni od zgłoszenia wniosku (ale nie później niż 45 dni). Można więc się spodziewać, że Elżbieta Witek wyznaczy to głosowanie na ostatnie możliwe dni.

Dodam do tego jeszcze jeden element. Stan wyjątkowy albo stan klęski żywiołowej można w Polsce wprowadzić na wniosek – odpowiednio – prezydenta lub rządu, ale tylko za zgodą Sejmu. Tracąc większość w Sejmie, PiS straci także możliwość wprowadzenia stanu nadzwyczajnego, kiedy będzie mu wygodnie.

Załóżmy (to kolejne założenie, ale tak wygląda dziś polityka), że opozycja i ludzie Gowina nie ulegną namowom PiS i że on sam zostanie marszałkiem Sejmu. Będzie to wówczas absolutna zmiana. Zmieni się pozycja Gowina i zmieni się polska polityka.

Zacznijmy od Gowina. A w zasadzie od Elżbiety Witek. Jest ona marszałkiem Sejmu posłusznym Kaczyńskiemu, robi wszystko, by go zadowolić. Sama nie ma znaczenia politycznego. Jarosław Gowin byłby innym marszałkiem. Po pierwsze, niezależnym. Po drugie, kimś pomiędzy opozycją a PiS. Nie języczkiem, ale jęzorem u wagi. Jego głos byłby decydujący – raz w jedną stronę, raz w drugą. Z nim Kaczyński musiałby się dogadywać, z góry wiedząc, że jeśli się nie dogada, to albo projekty PiS trafią do sejmowej zamrażarki, albo będą przegłosowywane, przerabiane w komisjach, nic z nich nie zostanie. W ten sposób lejce władzy zostaną Kaczyńskiemu z rąk wyjęte.

Dlatego nie dziwmy się, że Gowin mówi, że nie jest zainteresowany fotelem premiera ani koalicją opozycji od Konfederacji, poprzez Porozumienie, po Razem. Wie doskonale, że taki twór nie przetrwałby nawet dwóch miesięcy. Gowin zdaje sobie sprawę, że w obecnym Sejmie nie ma szans na inną większość niż z udziałem Zjednoczonej Prawicy. Dobrze to świadczy o jego realizmie. I pokazuje, że gra wyżej.

eprasa.pl 2364728ccd

Czy Jarosław Gowin zbierze wystarczająco dużo szabel, by pokonać Kaczyńskiego?

W tej grze wybory prezydenckie schodzą na plan dalszy. Łatwo zresztą teraz zrozumieć zamysł, by odbyły się one za dwa lata i by Andrzej Duda już nie mógł wziąć w nich udziału. Można wręcz pokusić się o tezę, że Jarosław Kaczyński, walcząc o prezydenturę dla Dudy, tak się zagalopował, że oddał za nią sejmową większość i stanowisko marszałka Sejmu. Goniąc za laufrem, stracił hetmana.

Czy Kaczyński domknie zamach stanu?

A jeżeli będziemy świadkami innego rozwoju wypadków – że Kaczyńskiemu uda się spacyfikować Gowina? Że mało kto za Gowinem pójdzie i PiS odrzuci weto Senatu do ustawy o głosowaniu korespondencyjnym?

Oczywiście będzie to oznaczało, że tę bitwę wygrał Kaczyński, a przegrał Gowin. Ale nie będzie to jeszcze koniec wojny. Zwycięstwo Kaczyńskiego będzie oznaczało jedynie, że zyska on parę miesięcy. Na domknięcie zamachu stanu.

Dlaczego? Dlatego, że w Sejmie za miesiąc albo za dwa, po wakacjach, będą kolejne głosowania. Jeżeli więc Gowin teraz przegra, jeżeli nie zostanie marszałkiem Sejmu, tak czy inaczej wciąż będzie symbolem sprzeciwu wobec Kaczyńskiego. Siłą rzeczy na niego orientować się będą niezadowoleni. Jeżeli nie da się złamać, jeżeli przeżyje kontratak Kaczyńskiego, czas będzie pracował na jego korzyść. Przypomnijmy, że PiS ma w Sejmie przewagę tylko pięciu posłów! Załóżmy, że Gowina w najbliższych głosowaniach poprze dwóch-trzech. Tym samym większość sejmowa stopnieje do dwóch szabel. Kolejnego buntu PiS już nie przeżyje. A on przyjdzie. Wymusi to pukający do bram kryzys. Przyjdzie za parę miesięcy, za rok…

Kaczyński to wie – że Gowin podłożył pod jego władzę bombę, tylko nie wiadomo, kiedy ona wybuchnie. Dlatego będzie chciał uciec do przodu. Jeśli wygra głosowanie w Sejmie, będzie chciał szybko przeprowadzić wybory prezydenckie, przepchnąć Dudę, a potem rozpocznie działania pacyfikujące opozycję. Ich elementem będą ataki na niezależne od PiS media. Równocześnie będzie wzmacniał jedność w swoim obozie. Żeby nie było kolejnego Gowina. Czy to się uda?

Gdy patrzy się na PiS, widać, że wiara w Kaczyńskiego jest tam olbrzymia, czołobitność, manifestowanie oddania, to wszystko budzi wręcz zażenowanie. Z drugiej strony mamy tam różne rokosze. Marian Banaś, prezes NIK, nie posłuchał Kaczyńskiego i nie złożył rezygnacji. Tym samym pokazał, że można sprzeciwić się prezesowi partii i życie toczy się dalej. Kaczyńskiemu sprzeciwił się też Andrzej Duda, kiedy zażądał dymisji prezesa TVP Jacka Kurskiego. I ją dostał... po czym Kurski wrócił do TVP jako doradca nowego prezesa. Udało się Dudę okiwać, ale… To wszystko pokazuje, że władza Jarosława Kaczyńskiego nad całą prawicową formacją ma swoje granice. I że jego „generałowie" toczą między sobą boje – o wpływy, o dobre miejsce w wyścigu o sukcesję itp. Teraz mamy czas Gowina.

Krążą po PiS listy z ludźmi od Gowina, którzy pracują w ministerstwach, spółkach skarbu państwa… Z przesłaniem: natychmiast ich wyciąć.

Gowin uprzedził Kaczyńskiego?

Jak więc skończy się jego bunt? Przed nim wielu było podobnie odważnych, ale albo wylądowali w szeregach PO, albo wrócili w pokorze, albo słuch po nich zaginął.

Gowin wybrał czwarte rozwiązanie – samodzielnego gracza. Jak mu pójdzie?

Ma o tyle szansę, że jego bunt jest chyba dobrze skalkulowany. Tydzień temu zastanawiałem się, jakie mogą być powody jego odejścia, czy był to nacisk środowisk konserwatywnych, bardzo PiS rozczarowanych, czy konflikt osobisty. W ostatnich dniach pojawiła się kolejna hipoteza – Gowin zorientował się, że Kaczyński zamierza ograniczyć rolę ugrupowań sojuszniczych, że ma ochotę zjednoczyć je z PiS. A to by oznaczało jego polityczny koniec. Uprzedził więc ten ruch, znajdując znakomity moment i pretekst.

Czy tak było? Czy nie tylko pomysł wyborów pocztowych i szaleństwa Kaczyńskiego wpłynęły na decyzję Gowina? I nie tylko zbliżające się ciężkie czasy?

To możliwe. Zwłaszcza że w jego działaniach można dostrzec dalszy zamysł. Uspokojenie polskiej polityki (ale musiałby wpierw zostać marszałkiem Sejmu), no i próbę budowania porozumienia między częścią opozycji, tą prawicową, czyli PSL, kukizowcami, Konfederacją, częścią PO, a częścią PiS. W dalszej perspektywie – tworzenie nowej większości.

Ale nie wybiegajmy za daleko… Na razie mamy bunt. I to taki, że projekt państwa PiS w posadach drży.

Robert Walenciak

29 kwietnia 2020 r.

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 2364728ccd

Kampania społeczna #wspierajmedyka przygotowana przez personel SOR Szpitala Uniwersyteckiego w Zielonej Górze wspólnie z Polskim Radiem Zachód zwraca uwagę na sposób traktowania pracowników służby zdrowia.

Beata Igielska

Uprzejmie donoszę...

Ludzie w maseczkach mniej kontrolują emocje, stają się bardziej impulsywni i agresywni

Pod informacją o otwarciu parków na jednym z popularnych portali w komentarzach wylewa się nienawiść. Jedna trzecia czytelników marzy o zamordyzmie i karaniu za najdrobniejszą niesubordynację wobec kolejnych rozporządzeń i obostrzeń. Z cyklu tęsknota za policją: „Policja do roboty", „Zwiększyć ilość policji". Z cyklu wysokie mandaty: „Po kilka tysi za brak maski", „Mandaty za brak masek i gromadzenie się młodzieży", „Mandaty dla rowerzystów", „Brak maski – 2000 zł", „Kary za brak masek powinny być od 1000 zł, niech wreszcie ludziska się opamiętają". Z cyklu wujek dobra rada: „Nie chce chodzić w masce, to niech siedzi przed tvp!!!" i „Zabronić 13+ łazić po dworze, a starym babom po trzy razy dziennie do sklepu!".

Tylko od czasu do czasu nieśmiałe głosy tonują wypowiedzi albo przemyka fachowa podpowiedź, na który zapis rozporządzenia można się powołać, by wyjść bez maseczki. Pojawiają się też polemiki na zasadzie: maseczki są bez sensu – i tu następuje odesłanie do badań naukowych. W kilku postach czytamy, że osoby starsze i otyłe już mdleją, a przecież jeszcze nie ma upałów. Głosy ironiczne: „Dobrze wytresowane społeczeństwo. Aport. Siad. Oddychać. Nie oddychać", „To dobrze, że policja nie bije i nie aresztuje już Polaków za jazdę na rowerze, tankowanie benzyny czy wymianę opon". Wkurzone: „To są kpiny, pośmiewisko z Polaków, z wydumanej epidemii zrobić dyktaturę".

Prof. Michał Bilewicz, psycholog społeczny z Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW, zauważa, że już samo noszenie maseczek może wpłynąć negatywnie na zachowania społeczne. – Wiadomo, że wszelkich ludobójstw i zbrodni dokonywali ludzie umundurowani, zunifikowani przez ubiór, który daje poczucie anonimowości. Badania eksperymentalne pokazują jednoznacznie, że ludzie w maseczkach mniej kontrolują emocje, stają się bardziej impulsywni i agresywni. Niby proste założenie maseczki, a jednak daje poczucie niezniszczalności – oto mam pancerz. Musimy być świadomi, że zamaskowane społeczeństwo może zacząć funkcjonować inaczej niż zazwyczaj. Może być używany mocny i obraźliwy język, bo następuje wewnętrzne „rozhamowanie".

Pielęgniarka gliwickiego szpitala, wychodząc rano do pracy, znalazła swój samochód z przebitymi oponami i cały obsmarowany farbą.

Tęsknota za autorytaryzmem

– Gdy ludzie tracą kontrolę nad swoim życiem, zwracają się ku autorytaryzmowi. Nie w sensie politycznym, że potrzebują silnego wodza, choć to też da się zaobserwować. Bardziej oczekują silnych norm, twardych zasad, nawet ograniczenie wolności jest odbierane pozytywnie – tłumaczy Michał Bilewicz. – Sami obywatele dążą do kontrolowania innych i zakazywania. Nasze centrum od początku pandemii przygląda się postawom społecznym w tym trudnym czasie. Okazuje się, że grupy, które zazwyczaj były atakowane, a więc Żydzi, Azjaci, Niemcy czy politycy, nie przodują już w rankingu niechęci. Dziś Polacy bardziej nie lubią tych, którzy łamią zasa-

FOT. SCREEN/YOUTUBE

eprasa.pl 2364728ccd

dy kwarantanny, domagają się za omijanie obostrzeń coraz większych kar. Obserwujemy również, że skoro zewsząd słychać: „zostań w domu", pojawiła się agresja nawet wobec osób spacerujących po zupełnie pustej ulicy, mimo że nie zagrażają nikomu ani nikt im nie zagraża. To nie jest polska specyfika, tak działa ludzka psychika w sytuacji zagrożenia.

Może rzeczywiście pod koniec kwietnia jest nieco mniej ataków fizycznych na mniejszości narodowe, ale w początkach pandemii różowo nie było. „Wirus rasizmu i nienawiści jest równie groźny jak koronawirus!", pisali w apelu z 21 marca przedstawiciele Stowarzyszenia Nigdy Więcej, zajmującego się monitoringiem zachowań ksenofobicznych czy faszystowskich. Odnotowują je w „Brunatnej księdze". Przeczytać tam można m.in. o agresywnym zachowaniu wobec studentów z Chin polskich studentów Akademii Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku, o brutalnym pobiciu pochodzącego z Chin kucharza, który od 25 lat mieszka we Wrocławiu, czy o przedstawionym dyrekcji jednego z międzynarodowych przedszkoli żądaniu rodziców, by usunąć z pracy nauczycieli azjatyckiego pochodzenia. W centrum Warszawy grupa młodych kobiet i mężczyzn wykrzykiwała szyderczo „Koronawirus!" w stronę trzech studentek Collegium Civitas pochodzących z Wietnamu. W Łukowie trzech nastolatków zaatakowało mieszkankę miasta narodowości wietnamskiej. Krzyczeli do niej, że „jest z Chin", „ma koronawirusa" oraz „K… won!", obrzucili ją śmieciami, pluli w jej stronę, a gdy próbowała odejść, szli za nią. W marcu wiele hosteli, powołując się na nowe rozporządzenia, domagało się, by osoby niepolskiego pochodzenia, głównie z Ukrainy, natychmiast opuściły wynajmowane pokoje.

Pojawiła się agresja nawet wobec osób spacerujących po zupełnie pustej ulicy.

– Na początku kwietnia „Wiadomości" TVP wyemitowały materiał będący przykładem klasycznej mowy nienawiści, w którym oskarżano uchodźców w greckich obozach o roznoszenie epidemii. Montaż przypadkowych zdjęć i manipulacje posłużyły do tego, by utożsamić uchodźców z zagrożeniem. W materiale nie pada za to ani słowo o tym, że ryzyko epidemii wzrasta z powodu skrajnie złych warunków w obozach – mówi dr Anna Tatar ze Stowarzyszenia Nigdy Więcej. – Ks. Leonard Wilczyński we Wrocławiu głosił, że koronawirus to kara za homoseksualizm, a Chińczycy to brudasy jedzący nietoperze. Do tego koktajlu nienawiści dołączyło Radio Maryja. W internecie zaroiło się od teorii spiskowych: Chiny, Ameryka, Żydzi i Bill Gates wynaleźli koronawirusa dla własnych celów, by podbić światową gospodarkę. „A może to żółtki chciały zdominować świat?".

Jeden klik, jedna bańka

Skąd się biorą takie ataki na ludzi bez maseczek i umieszczanie ich zdjęć na Facebooku? Co prawda, wcześniej również zdarzały się zdjęcia osób idących na skróty po trawniku lub źle zaparkowanych samochodów z widocznym numerem rejestracyjnym. Ale teraz, z powodu koronawirusa, „komanda obywatelskie" mają pełne ręce roboty. Jak w początkach hitleryzmu, tylko współczesność dała media społecznościowe. Przy czym doskonale widać, jak cienka jest granica między obywatelską odpowiedzialnością a chęcią uprzykrzenia komuś życia.

– Jeśli w dobie epidemii spotykamy się z łamaniem obowiązującego prawa, powinniśmy reagować, bo stawka jest wysoka: czyjeś zdrowie i życie. Jeśli jednak w ślad za taką obywatelskością podąża ochota dołożenia komuś, a brak maseczki jest do tego pretekstem – to nie świadczy najlepiej o naszej kulturze obywatelskiej – komentuje dr Tomasz Kozłowski, socjolog pasjonujący się wpływem mediów na człowieka, redaktor czasopisma „Slow". – Mam wrażenie, że wielu ludzi będzie czerpać radość nie tyle z faktu, że ktoś nałoży maseczkę, ile z tego, że zapłaci on mandat. Donosicielstwo w służbie społecznego reagowania to mimo wszystko dość ryzykowny eksperyment.

Dlaczego wiele osób zaczyna fotografować, by donieść na sąsiada, przechodnia, klienta, kierowcę? Stoi za tym, po pierwsze, możliwość technologiczna, która sprawia, że łatwo za pomocą jednego urządzenia zrobić zdjęcie i szybko je rozesłać. Gdyby trzeba było zrobić zdjęcie na kliszy, zanieść do wywołania, zeskanować odbitkę, zjawisko nie byłoby tak powszechne. W takich wypadkach prawo zawsze pozostaje w tyle za technologią.

Po drugie, jak tłumaczy prof. Krzysztof Pietrowicz z UMK, socjolog zajmujący się m.in. badaniem mediów

KOMANDA OBYWATELSKIE

Dr Łukasz Polowczyk, filozof, etyk: „Obywatelskie komanda" czy donosicielstwo to tylko część układanki, która może, choć nie musi, złożyć się na wzór zbliżony do swastyki lub innego symbolu autorytarnego. W czasie pandemii warto w ten sposób spojrzeć również na postawy ksenofobiczne i agresywne, połączone ze zwiększoną i nierefleksyjną uległością wobec władzy oraz donosicielstwem strojącym się w piórka czystości moralnej. Według CBOS w 2018 r. 21% Polaków akceptowało autorytaryzm w polityce. Tymczasem do zainicjowania zmian społecznych na dużą skalę wystarczy ok. 10%. Niemal cały świat skręcił w prawo, w Polsce sprzyja temu konserwatyzm światopoglądowy, wzmacniany przez Kościół katolicki i narcyzm grupowy pompowany przez prawicowe media, mit wyższości moralnej oraz niewinności Polski, Chrystusa Narodów, który umył ręce od Jedwabnego.

Działaniom „komand obywatelskich" sprzyjały akcje policji, mandaty za jazdę na rowerze czy mycie auta, zmuszanie obywateli do gęstego tłumaczenia się, dlaczego wyszli na spacer. Choć nie wszyscy policjanci to popierają – są tacy, którzy nawet wstydzą się tego – dla części, podobnie jak dla niektórych obywateli, ideałem staje się państwo policyjne. Dla rządów pandemie są świetną okazją do zaciśnięcia pętli władzy ponad konieczne środki zabezpieczające zdrowie i życie, co dzieje się również na naszym podwórku.

Jesteśmy w grupie 30 państw idących drogą autorytaryzmu. Ale możemy do tego nie dopuścić, pamiętając, że bierność nie jest cnotą.

eprasa.pl 2364728ccd

społecznościowych, działa strach przed zarażeniem się koronawirusem. – Duży poziom niepewności legitymizuje przekonanie, że oto fotografując kogoś bez maseczki, wypłaszczam krzywą zachorowań, a tym samym przyczyniam się do wyjścia z pandemii. To nie jest zjawisko typowo polskie. Na całym świecie w mediach społecznościowych obserwujemy podobne zachowania. Do ich masowości przyczyniają się siedzenie w domu, praca zdalna, dzieci na głowie, a jednocześnie pozostawanie przez cały czas w sieci.

Innym ciekawym zjawiskiem, na które zwraca uwagę prof. Pietrowicz, jest tzw. bańka filtrująca. – Można powiedzieć, że ile sieci społecznych, tyle obrazów pandemii. Tak jakby obok siebie istniało wiele różnych światów – tłumaczy. – Jedni mogą wierzyć, że za COVID-19 stoi technologia 5G, i popierać podpalanie masztów telefonii komórkowych. Drudzy będą z przekonaniem rozprzestrzeniać informację, że to zagrożenie na poziomie zwyczajnej grypy i na zawały umiera więcej ludzi. Jeszcze inni chętnie powielą informację, że to spisek elit, w którym chodzi o upadek gospodarki, depopulację itp. Te różne widzenia rzeczywistości powiązane są często ze statusem społeczno-ekonomicznym danej grupy.

Kto ja jestem? Polak mały

Donosicielstwo było obecne wśród Polaków zawsze. Książka prof. Barbary Engelking „Szanowny panie gistapo" jest mocna. To opis teczki zawierającej 250 listów z czasów II wojny światowej – donosów Polaków na Żydów. „Zawiadamiam, że dało mi się wykryć jednego pana który rozwozi broszurki tajnych radiostacji z Warszawy jest nim niejakiś agient portretowy który pracuje w firmie Foto-Styl. (…) Zawsze jeździ w kierunku Grójca z teczką skurzaną i inne pakunki. Proszę o skuteczne załatwienie tej sprawy. Proszę go przycisnąć do ściany to on wyśpiewa wszystko, bo on dużo szkodzi wielkiemu państwo Niemieckiemu".

Po wojnie wszyscy bali się wszystkich, nie wiadomo, kto kapuś, kto swój. Po przemianach ustrojowych urzędy skarbowe nie mogły się opędzić od anonimowych donosów podpisanych „Życzliwy". A najlepszą ilustracją z rozkwitu tzw. wolnej Polski pozostaje „Modlitwa Polaka" z „Dnia Świra" w reżyserii Marka Koterskiego: „Dla siebie o nic nie wnoszę, tylko mu [sąsiadowi] dosrajcie, proszę! Kto ja jestem? Polak mały! Mały, zawistny i podły!"

COVID-19 dopisuje kolejne strofy do tej modlitwy. „Dziś moja mama, pielęgniarka gliwickiego szpitala, została ofiarą wandalizmu. A może też nudy sąsiadów po 1,5 miesiąca przymusowego siedzenia w domu. Wychodząc jak co dzień o szóstej rano do pracy, znalazła swój samochód z przebitymi oponami. Cały obsmarowany farbą", pisze na Facebooku córka pielęgniarki. Do Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie spływają informacje o oblanych farbą drzwiach mieszkania lekarzy, nazywaniu personelu szpitalnego zarazą, wyzwiskach ze strony sąsiadów. Ataki na przedstawicieli zawodów medycznych stały się plagą. Zjawisku przygląda się już rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar.

Co ciekawe, polskiej – anonimowej zazwyczaj – chęci donosicielstwa brakuje wrażliwości na naruszanie dobra wspólnego. W Diagnozie Społecznej prof. Janusza Czapińskiego zaledwie 40% Polaków deklarowało, że obchodzi ich to, że sąsiad niesłusznie pobiera zasiłek dla bezrobotnych, choć pracuje na czarno, lub że ktoś jeździ na gapę. Tylko czy rzeczywiście obchodzi? Co innego teraz, w sytuacji zagrożenia – ten gość bez maseczki to obiekt w sam raz do ataku i dania upustu frustracji.

Czas COVID-19 stanie się ciekawym polem do badań socjologicznych i antropologicznych. Jeżeli okazałoby się, że donosy przybrały wielką skalę, źle by to świadczyło o naszym społeczeństwie. Trudno w tym kontekście nie myśleć o samozwańczych szeryfach wyrzucających lekarkę ze sklepu, bo „pozaraża wszystkich", lub strzelających fotkę nieznajomemu bez maseczki na ulicy. Te zjawiska bolą.

Na uniwersalne mechanizmy kierujące ludźmi pod każdą szerokością geograficzną w czasach niepewności jutra, takie jak pragnienie silnego przywództwa, nałożyły się cechy typowo polskie. Niestety, część Polaków – miejmy nadzieję, że niewielka – musi się dowartościować niskimi zachowaniami. Mocniej niż zazwyczaj wychodzą z nich zawiść, małość, szczurowatość. Najważniejsze jednak, że po czasach koronawirusa pozostaną obrazy emerytek szyjących maseczki czy działania Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Człowiek człowiekowi pomaga i to jest piękne.

Wielu będzie czerpać radość nie tyle z faktu, że ktoś założy maseczkę, ile z tego, że zapłaci mandat.

Beata Igielska

Pełni dobrych wspomnień i z wielkim żalem żegnamy

IZĘ DANIS z d. DUBIEJKO

Pracowitością i serdecznością wspierała nas we wspólnej działalności. Cieszyliśmy się z Jej osiągnięć zawodowych w odzyskiwaniu dzieł polskiej kultury oraz szacunku i sympatii środowiska. Zostawiła wartościowy ślad w życiu wielu ludzi. Długa, ciężka choroba przerwała Jej zawodową i społeczną aktywność.

Stasiowi

– wspaniałemu mężowi składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Komitet Wykonawczy Rady Naczelnej SZSP z lat 1980-1982
oraz przyjaciele z ruchu studenckiego

eprasa.pl 2364728ccd

37 dni kwarantanny

Tyle dni spędziła w izolacji Agnieszka z powodu bałaganu w bydgoskim sanepidzie

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

To były fantastyczne snowboardowe wakacje 32-letniej bydgoszczanki Agnieszki we francuskich Alpach. Wraz z pięciorgiem przyjaciół z Bydgoszczy bawiła się świetnie. 14 marca wracali we wspaniałych humorach. Wieczorem na polsko-niemieckiej granicy okazało się, że mieli szczęście, bo gdyby do Polski wjechali kilka godzin później, musieliby się poddać obowiązkowej kwarantannie. A tak zmierzono im tylko temperaturę i zalecono samoobserwację. Niepokój budziło tylko jedno – cała szóstka miała dokładnie 36,5 st. C.

Pani Agnieszka: – Bałam się, że jednak mogliśmy przywlec koronawirusa. A ponieważ pracuję jako psycholog w szpitalu, nie chciałam narażać pacjentów i współpracowników, postanowiłam wziąć dwutygodniowy urlop i poddać się dobrowolnej kwarantannie. Decyzja nie była taka łatwa, bo pracuję na kontrakcie; gdy nie pracuję, nie zarabiam.

Zawirusowany tarnowianin

Trzeciego dnia odosobnienia, 17 marca, dowiedziała się, że mężczyzna z Tarnowa, z którym wypoczywali w Alpach, ma koronawirusa. – Ponieważ sama czułam się coraz gorzej, bardzo się zaniepokoiłam. To, co dotąd brałam za przeziębienie – katar, kaszel, ból gardła – mogło być koronawirusem. W dodatku inni z sześcioosobowej bydgoskiej paczki też zaczęli narzekać na zdrowie. A ponieważ wszyscy mieliśmy kontakt z tą zawirusowaną osobą z Tarnowa, postanowiliśmy poszukać pomocy – tak jak nakazują instrukcje – w bydgoskiej powiatowej stacji sanitarno-epidemiologicznej – relacjonuje bydgoszczanka. – Tam się dowiedziałam, że ponieważ mam temperaturę 37,4 st. C, to nie może być koronawirus i testu nie przeprowadzą. Nie ma znaczenia, że mój kaszel mocno już się nasilił i miałam duszności. Nawet nie zalecili kwarantanny, choć informowałam o wycieczce do Francji i kontakcie z osobą chorą na COVID-19.

Dopiero cztery dni później, 21 marca, dostała telefon z sanepidu, że jednak objęto ją kwarantanną. Bo w końcu dopatrzyli się w papierach, że miała kontakt z zainfekowanym tarnowianinem. Dzwoniąca urzędniczka nie potrafiła powiedzieć, do kiedy ma trwać ta kwarantanna. 14 dni, licząc od 15 marca? Czy od 21 marca? – Miałam tylko powiedzieć, że to panią obowiązuje – oznajmiła i znów uznała, że nasilony kaszel i duszności są bez znaczenia, jeśli nie ma bardzo wysokiej temperatury. Ponownie odmówiła Agnieszce przeprowadzenia testu. Bo to na pewno nie jest koronawirus.

Aż wymiotowałam

– A ja już tak mocno kaszlałam, że aż wymiotowałam – wspomina bydgoszczanka. – Bolało mnie całe ciało, a najbardziej klatka piersiowa. Do tego czułam się bardzo osłabiona. Moja koleżanka z wyprawy do Francji, Michalina, która miała podobne objawy, w końcu straciła cierpliwość i sama pojechała do bydgoskiego szpitala zakaźnego. Tam 22 marca zdiagnozowano u niej koronawirusa. Jeszcze tego samego dnia ja też pojechałam do tego szpitala, gdzie od razu wykonali mi test. Dwa dni później dowiedziałam się, że wynik jest wątpliwy i wymaz trzeba pobrać ponownie.

25 marca dostała telefon z bydgoskiego sanepidu, że jednak przyjadą pobrać próbkę do badania. Nic nie wiedzieli o teście w szpitalu zakaźnym. Co gorsza, chcieli przetestować również Michalinę. Nie mieli pojęcia, że już dawno zdiagnozowano u niej koronawirusa i dlatego leży

KŁAMSTWO I OBŁUDA

Nie tylko pani Agnieszka i jej przyjaciele zderzyli się z brakiem kompetencji i obojętnością sanepidu wobec ludzi zakażonych koronawirusem.

Jędrzej Majka, podróżnik z Krakowa, opisał na portalu społecznościowym swoją walkę ze znieczulicą służb, które zrobiły wszystko, żeby nie pomóc choremu:

„(…) Nie wiem, gdzie i kiedy złapałem to śmiertelne świństwo. Najpierw 10 dni chorowałem w domu, w ostatnich było już bardzo źle. Gorączka 40 st. Telefon w ręce i szukanie pomocy.

W takich sytuacjach człowiek doświadcza, w jakim kraju żyje. Do tej pory minister zdrowia z podkrążonymi oczkami wzbudzał mój podziw i szacunek. Kiedy zachorowałem, zrozumiałem, co to za kraina kłamstwa i obłudy. Telefon do NFZ – kpina. Sanepid, kontakt z którym należy zaliczyć do cudu, odmówił zrobienia testu na koronawirusa. Fakty są takie, że przez długi czas testy wykonywane były tylko w ustach polityków podczas konferencji prasowych i w orędziach do narodu. Niewiele brakowało, a dołączyłbym do grona tych, którzy nie doczekali się na zrobienie testu, którym w karcie zgonu wpisano: niewydolność oddechowa.

Kiedy w nocy zadzwoniłem na pogotowie, informując, że już dłużej nie wytrzymam z tak wysoką gorączką i duszącym kaszlem, odmówiono wysłania karetki, bo stanowiłem zagrożenie. Moja lekarka rodzinna (jej przede wszystkim zawdzięczam, że żyję), lecząc mnie przez telefon, od początku podejrzewała, z jakim wirusem mamy do czynienia. Przez kolejne dni usiłowała załatwić wykonanie testów – bezskutecznie. W końcu, jako szczęściarz, trafiłem do Szpitala Specjalistycznego im. Stefana Żeromskiego (oddział zakaźny). Tu zrobiono mi testy i kolejnego dnia usłyszałem, że wynik jest dodatni. Stamtąd przewieziono mnie do Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie (oddział pulmonologii przekształcony w COVID-19). (…) Po czterech tygodniach w szpitalu, gdzie mnie naprawiano, wygląda na to, że pokonałem COVID-19. Dwa testy ujemne pozwalają mi dziś opuścić szpitalne łóżko (…)”.

eprasa.pl 2364728ccd

Władze Łodzi kupiły pięć specjalnych ambulansów dla ekip pobierających próbki do badań. Może tu czeka się krócej niż w Bydgoszczy?

w szpitalu zakaźnym. – To najlepiej świadczy, jaki chaos jest w powiatowym sanepidzie – podsumowuje z goryczą 32-latka.

Pani Agnieszka uznała, że to dobrze się składa, że sanepid zrobi jej drugie badanie w domu, bo nie będzie przerywała kwarantanny, żeby pojechać do szpitala zakaźnego. – Urzędniczka z sanepidu też tak uważała. Odwołałam badanie szpitalne i czekałam na ekipę z sanepidu… kolejne trzy dni. Czekałabym pewnie dłużej, gdyby nie moja telefoniczna interwencja. To tak łatwo się mówi:

Problemem jest nie sama izolacja, ale dezinformacja i lekceważące traktowanie.

„telefoniczna interwencja" czy „zadzwoniłam do sanepidu". Żeby tam się dodzwonić, trzeba zmarnować kilka godzin, czasem pół dnia.

29 marca wieczorem dowiedziała się, że wynik jest pozytywny. Ma koronawirusa! Błyskawicznie, specjalnym transportem, odwieziono ją do szpitala zakaźnego. – Lekarz mnie osłuchał, wysłuchał i ocenił, że najgorsze mam już za sobą. Że już zdrowieję i lepiej mi będzie teraz w domu. Miał rację. Nadal miałam katar i kaszlałam, ale to było nic w stosunku do tego, jak czułam się tydzień wcześniej. To wtedy potrzebowałam pomocy, nie teraz – podkreśla bydgoszczanka.

Przeszkadzam im w pracy

Wróciła więc do domu. I nazajutrz znów wisiała na telefonie wiele godzin, żeby się dowiedzieć, do kiedy ma trwać jej kwarantanna, i doprosić się o jakiekolwiek dokumenty. O kawałek papieru czy mejl, w którym jest napisane, że w ogóle ma kwarantannę. To dla niej istotne, bo przecież musi coś zanieść pracodawcy. A potem do ZUS. Dotąd wszystko między nią a sanepidem odbywało się ustnie. W końcu dowiedziała się – odsyłana od jednej osoby do drugiej – że jej kwarantanna trwała od 21 do 27 marca. A teraz jest w izolacji od 29 marca do 6 kwietnia. Zapytała, co z 28 marca, gdzie zgubili 28 marca. Obiecali skorygować. W zamieszaniu nie zdążyła spytać, czym się różni kwarantanna od izolacji.

Po tygodniu czekała na kolejny wymaz, tym razem mający potwierdzić wyzdrowienie. Mieli przyjechać 7, najpóźniej 8 kwietnia. – Nikt nie przyjechał ani 7, ani 9, ani 11 kwietnia. Mimo że wydzwaniałam, przypominałam. Jednego dnia mówili, że jestem na liście do badania. Potem okazywało się, że nie jestem. Potem znów byłam. I ponownie

BŁAGANIE O TEST

Agnieszka Szafran-Albińska, rzeczniczka prasowa klubu żużlowego Orzeł Łódź, o tym, co ją spotkało, opowiedziała na portalu WP Sportowe Fakty: „Objawy nie były typowe. Nie miałam kaszlu ani kataru czy duszności. Okropnie bolały mnie kości i stawy. Poza tym nie miałam na nic siły. Pierwsze dwa dni były dramatem. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje i co będzie dalej. Z czasem straciłam węch i smak. Wtedy byłam już bardzo zaniepokojona, bo wiedziałam, że to coś charakterystycznego dla koronawirusa. Do tego czasu myślałam, że to zwykła grypa. (…)

Objawy były dla mnie sygnałem, żeby zadzwonić na infolinię do NFZ. Zostałam przekierowana do sanepidu, a stamtąd na pogotowie. Wtedy pewien pan przekazał mi, że pojawi się u mnie zespół, który robi wymazy. Zostałam poproszona o dane, podałam je, ale nikt nie przyjechał. Zadzwoniłam ponownie na pogotowie i dowiedziałam się, że nic o takim zleceniu nie wiedzą. Zostałam odesłana do sanepidu z informacją, że tylko oni mogą coś takiego zarządzić. Nie było łatwo się połączyć, ale w końcu się udało. Pomógł mi bardzo miły pan, który zrozumiał, że mam dwóch synów, że jeden ma dziewięć miesięcy i konkretne objawy. Dane zostały spisane. Od początku prosiłam, żeby zrobić test obu synom. (…)

Padła prośba, żeby nie jeść i nie pić nic od 15.00 przez dwie godziny. Czekaliśmy. Nikogo nie było i robił się problem. Ja mogłam poczekać. Starszy syn też, ale dziewięciomiesięczne dziecko, które ma w dodatku gorączkę, już nie za bardzo. Zadzwoniłam znowu i powiedziałam, że muszę dać dziecku jeść. Powiedzieli, że mam to zrobić i że ktoś podjedzie za kolejne dwie godziny. W końcu tak się stało, około godz. 21.30 pojawiły się odpowiednie służby. Wymazy zostały zrobione. Wynik u mnie i młodszego syna okazał się pozytywny, u tego starszego był ujemny. (…) Wiele rzeczy potrafię zrozumieć. Nie mam nawet do nikogo pretensji, ale najgorsze było proszenie się o test".

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

eprasa.pl 2364728ccd

znikałam z listy. 11 kwietnia zadzwonił policjant z pytaniem, czy ja jestem na kwarantannie, czy nie. Bo on ma pismo, że jestem od 29 marca do 19 kwietnia. A przecież nikt nie przebywa na kwarantannie tak długo – relacjonuje młoda kobieta rozmowę ze stróżem prawa. – 14 kwietnia skończyła mi się cierpliwość. Nadal nie miałam żadnego pisma, które określałoby, co się dzieje ze mną od połowy marca. Zgodnie z tym, co ostatnio usłyszałam przez telefon, izolacja miała się skończyć 6 kwietnia. A ja nie mogłam się doprosić o badania, które kończą odosobnienie. Zadzwoniłam do wojewódzkiej stacji sanitarno-epidemiologicznej (bo już wiedziałam, że to oni wysyłają ekipę na wymazy) z prośbą o pomoc. Dowiedziałam się, że przeszkadzam im w pracy. Nie wytrzymałam, rozpłakałam się przy telefonie. Zadzwoniłam jeszcze raz. I tym razem – po raz pierwszy! – trafiłam (może dlatego, że znów płakałam) na panią, która chciała mi pomóc. Okazało się, że powiatowy sanepid przesłał im listę z moim nazwiskiem dopiero 11 kwietnia. A jeszcze nie przyjechali do mnie, bo mają tak dużo wyjazdów, że się nie wyrabiają. Poza tym według procedury po stwierdzeniu koronawirusa następny wymaz powinien zostać pobrany dopiero po 14 dniach. Czyli wielokrotnie byłam wprowadzana w błąd przez pracowników PSSE – denerwuje się 32-latka.

Ulga bez radości

Nazajutrz przyjechała ekipa i pobrała wymaz. A potem – zgodnie z procedurą – kolejny. Oba wyniki negatywne. O ostatnim wyniku poinformowano ją telefonicznie 20 kwietnia – to był 37. dzień jej kwarantanny. Czuła wielką ulgę, ale bez radości. Pani Agnieszce trudno było się cieszyć, że pokonała COVID-19, bo chorowanie kosztowało ją zbyt wiele nerwów. – Brak rzetelnej informacji na każdym etapie, przez cały miesiąc choroby.

W powiatowym sanepidzie dowiedziałam się, że ponieważ mam temperaturę 37,4 st. C, to nie może być koronawirus i testu nie przeprowadzą.

Zbywanie mnie, okłamywanie, podawanie sprzecznych informacji. I ja sama w domu, odizolowana, bijąca się z myślami, pełna obaw o zdrowie. To było prawdziwe piekło. Chcę mocno podkreślić, że problemem jest nie sama izolacja, ale dezinformacja i lekceważące traktowanie – podsumowuje 37 trudnych dni.

Dopiero po nagłośnieniu jej zmagań w lokalnej prasie pani Agnieszka otrzymała na piśmie decyzje bydgoskiej PSSE dotyczące terminów kwarantanny. Oraz kolejną, że została objęta ponowną izolacją od 17 do 26 kwietnia. Bydgoski sanepid nie zauważył, że wyzdrowiała? Na wniosek bydgoszczanki termin zakończenia izolacji już skorygowano.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Od autorki: Mimo wielu prób nie udało mi się porozmawiać z szefostwem PSSE w Bydgoszczy. Milczy też telefon rzecznika bydgoskiej WSSE.

eprasa.pl 2364728ccd

Z Galicji

Jan Widacki

A poza tym nic na działkach się nie dzieje

Już od ponad miesiąca siedzę z dala od miasta. Tęsknym okiem spoglądam na zamknięte na czas pandemii Tatry. Swoją drogą, nie bardzo wiem, czemu to zamknięcie pustych poza sezonem Tatr ma służyć. Chyba mimo wszystko o tej porze łatwiej byłoby w Tatrach spotkać niedźwiedzia niż koronawirusa. Ale ktoś tak to wymyślił i tak jest. Jako zdyscyplinowany obywatel podporządkowuję się zarządzeniom władz, choć tego akurat zarządzenia nie rozumiem. Pogoda wciąż piękna, codziennie odnotowuję, jak w Tatrach ubywa śniegu. Tu, na Podtatrzu, sucho, roślinność wypatruje deszczu tak jak ludzie końca pandemii.

Tęsknie zatem spoglądam na zamknięte, wciąż białe, ale, jak wspomniałem, już coraz mniej, Tatry, studentom na platformie e-learningowej wykładam, z magistrantami wymieniam mejle, jakieś fragmenty prac moich doktorantów poprawiam, ze swoją kancelarią kontakt też mam tylko telefoniczny i przez Skype'a. Książek i rozmaitych materiałów nawiozłem cały bagażnik i co jakiś czas ktoś z rodziny w swojej łaskawości jeszcze mi tu potrzebne książki dowozi, tak więc nawet coś pisać mogę. Koresponduję przy tym z Archiwum, które do niedawna nazywało się Państwowe, ale że aktualnie brzmiało to nie dość patriotycznie, teraz nazywa się Narodowe. Przy kolejnym patriotycznym wzmożeniu pewnie jeszcze nazwę ulepszy i nazwie się np. Archiwum Narodowe Rzeczypospolitej Polskiej. Nazwę zmieniło, na lepszą, w każdym razie słuszniejszą, ale działania nie usprawniło. Dokumentów i zdjęć, które przed laty, jeszcze w PRL, Archiwum Państwowe mi znajdowało, teraz Archiwum Narodowe za cholerę znaleźć nie może. Nie bardzo wiem czemu. Może dlatego, że przed laty tylko przed molami i myszami chronić musiało zbiory, a teraz jeszcze archiwistów przed koronawirusem.

Sądy i prokuratury także przed koronawirusem się zamknęły, rozpraw przez ostatni miesiąc nie wyznaczano, więc moja obecność poza (pięknym zresztą) miejscem odosobnienia nie była konieczna. Telewizji nie oglądam, bo już nie mogę. Z prasą kłopotów nie mam, „Wyborczej" u nas na wsi nie ma, a żeby czytać dostępne „Gazetę Polską", „Nasz Dziennik" czy bodaj najczęściej tu czytany „Fakt" – i tak bym się nie przełamał. Czasem tylko jednym okiem zerknę na wiadomości na Onecie, ale wkrótce i tego zaniecham. Bo tam, jak w telewizji, tylko dwa tematy: koronawirus i wybory prezydenckie. Obawiam się, że ta zbitka pojęciowa się utrwali i jeszcze przez długie lata mimo wysiłków rządowej propagandy prezydent z koronawirusem kojarzyć się będzie.

Nie wiem, czy dane statystyczne dotyczące epidemii są rzetelne, czy nie, ale właściwie wszystko mi jedno. Chciałbym jedynie wiedzieć, czy w Polsce w okresie epidemii zmarło więcej osób niż w tym samym okresie ubiegłego roku, czy tyle samo. Z danych z lat ubiegłych publikowanych w Rocznikach Statystycznych („Rocznik Statystyczny? A co to takiego", zapytał mnie kiedyś student IV roku prawa) wynika, że w ostatnich latach w Polsce, dziennie, bez żadnej epidemii, umierało ok. 1,2 tys. osób. Teraz zmarło więcej? O ile?

W drugim temacie, wyborów prezydenckich, też od tygodni nic się nie zmienia. Koronawirus utwardził postawy. Jarosław Kaczyński dąży do wyborów za wszelką cenę, bo wie, że jego pupil (ten kandydat wymarzony, którego największym osiągnięciem są żona i córka) za parę miesięcy, jak się rozkręci kryzys wywołany ograniczeniami stanu epidemii, szans na reelekcję nie będzie miał żadnych. Sam pupil kandydat swoją pocieszną mimikę skrył pod maseczką i minami z narodem już się nie kontaktuje. A szkoda. Ta mimika jest przecież niepowtarzalna, tak w pół drogi między Maliniakiem z „Czterdziestolatka" a Duce. Tak czy owak, nic nowego ani mądrego na temat wyborów prezydent Duda nie powiedział. A swoją drogą, pamięta ktoś, aby on kiedyś coś mądrego powiedział?

Swoją drogą, pamięta ktoś, aby prezydent Duda kiedyś coś mądrego powiedział?

Opozycja wyborów nie chce, ale jej kandydaci zupełnie się pogubili i w ślad za Kidawą-Błońską wzywają do bojkotu, lecz z udziału nie rezygnują. To niby kto ma na nich głosować?

Nad tym wszystkim krąży – to również nic nowego – wykolegowany przez własną partię Gowin, z miną zatroskaną (ta troska nawet przez maseczkę przebija), który chciałby jakąś historyczną rolę odegrać, tak jakby na chwilę zapomniał, że od rozdzielania ról na prawicy, a niestety chyba także na całej scenie politycznej, jest Jarosław Kaczyński.

Obawiam się, że jak za tydzień włączę telewizor, to będzie dokładnie to samo.

Chyba że wydarzy się jakiś cud. Ale wtedy proszę mi tu na wieś dać znać (telefonicznie albo mejlowo), że się wydarzył.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2364728ccd

Powściągliwość biskupów, szaleństwo władzy

Biskupi powinni wezwać rządzących – Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego i Andrzeja Dudę – aby przełożyli wybory

Jarosław Makowski

1.

Można odnieść wrażenie, że Kościół pierwszy raz od dawna nie bierze udziału w kampanii wyborczej. Plakaty kandydata Prawa i Sprawiedliwości, Andrzeja Dudy, nie wiszą na kościelnych murach i płotach. Ambony nie zamieniają się w mównice polityczne okupowane przez działaczy PiS, jak to bywało choćby podczas ostatnich wyborów do Sejmu i Senatu. Ale to wszystko wyłącznie dlatego, że Kościołowi, podobnie jak całemu społeczeństwu, sen z powiek spędza COVID-19, który wywrócił nasze życie do góry nogami.

Ludzie martwią się więc o to, czy za miesiąc będą jeszcze mieli pracę. Przedsiębiorcy – czy nie zostaną zmuszeni do zamknięcia firm. Kościół z kolei o to, czy brak publicznych mszy, ale także komunii, ślubów i pogrzebów z dużą liczbą uczestników nie przełoży się na zapaść finansową parafii. Instytucje państwa, szczególnie związane ze służbą zdrowia, martwią się, czy przetrwają atak koronawirusa, gdy brakuje środków na podstawowy sprzęt medyczny. Jedynie partia władzy i sam kandydat PiS Andrzej Duda są zainteresowani tym, aby wybory prezydenckie odbywały się w cieniu zarazy. Czy zatem powinniśmy się cieszyć, że Kościół – na czele z episkopatem – jakby nabrał wody w usta i odpuścił sobie te quasi-wybory? Czy też przeciwnie, właśnie teraz, gdy na szali leży zdrowie i życie milionów Polek i Polaków, akurat głos episkopatu wzywający do zaprzestania tego politycznego szaleństwa powinien wybrzmieć jasno i donośnie?

2.

Pojawią się zaraz opinie, że lepiej, by Kościół jednak milczał, a hierarchowie zajęli się szukaniem sposobu, jak utrzymać swoje arcybiskupie pałace w dobie kryzysu. Zgoda, ale tylko częściowo. Kościół i, szerzej, religia to zbyt ważny element kształtujący życie społeczne w Polsce, by można było sobie pozwolić na luksus pomijania tej siły. W takiej czy innej formie chrześcijaństwo będzie kształtować wybory, postawy i światopogląd dużej części naszego społeczeństwa. Dobrze istotę tego sporu pokazał niemiecki filozof Georg Wilhelm Hegel, który w jednym z wykładów mówił: „Naród, który ma fałszywe pojęcie Boga, ma złe państwo, złe rządy, złe prawo". Dlatego nasze życie publiczne przypomina dziś karykaturę przyzwoitego społeczeństwa i państwa. Jeśli nawet zepchniemy, w co wątpię, kościelne instytucje do kruchty, problem nie zniknie. Bo nad nami, nad naszym życiem, nad naszymi relacjami będzie się unosiło fałszywe pojęcie i wyobrażenie Boga, które będzie jak jad, sączący się i zatruwający nasze życie publiczne oraz nasze instytucje. Dlatego musimy wykonać pracę – edukacyjną i pedagogiczną – która pozwoli przywrócić do społecznego krwiobiegu prawdziwy obraz Boga: miłosiernego, troskliwego, współczującego, solidarnego. Odwracając stwierdzenie Hegla, trzeba powiedzieć: naród, który ma prawdziwe pojęcie Boga, ma dobre państwo, dobre rządy, dobre prawo.

Z tego nie wynika oczywiście, że jestem zwolennikiem zniesienia autonomii państwa i Kościoła. Zawsze gdy biskupi po cichu dogadywali się z politykami – zarówno lewicy, jak i prawicy – krytykowałem taki sposób działania. Negatywnie też oceniałem zaangażowanie duchownych w kampanie polityczne – od pozwoleń na występowanie działaczy partyjnych podczas mszy po wieszanie plakatów wyborczych na ogrodzeniach świątyń. A to dlatego, że pamiętam starą mądrość: Kościół, który bierze ślub z jakąś partią, najczęściej po wyborach zostaje wdową.

Kościół ma jednak prawo mówić o zasadach ważnych dla katolików jako obywateli: że udział w wyborach to powinność, że należy się kierować katolicką nauką Kościoła i dobrem wspólnym oraz głosować zgodnie z własnym sumieniem. Kościół więc nie kwestionuje demokracji, ale ją – na tym poziomie – wspiera.

Zdarzały się oczywiście takie wypowiedzi jak abp. Józefa Michalika, byłego szefa episkopatu: „Katolik ma obowiązek głosować na katolika, chrześcijanin na chrześcijanina, muzułmanin na muzułmanina, żyd na żyda, mason na masona, komunista na komunistę". Ale, umówmy się, dziś takie postawienie sprawy to powód do wstydu, a nie dumy.

> Dziś Rada Stała KEP wybiera postawę: „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek".

I rzecz ostatnia – znaki czasu. Od Soboru Watykańskiego II Kościół mówi, że jednym z jego kluczowych zadań jest odczytywanie tzw. znaków czasu, poprzez które Bóg mówi do swojego ludu. Dziś takim znakiem czasu jest pandemia koronawirusa. I dlatego biskupi nie mogą milczeć. Tym bardziej że w przestrzeni publicznej pojawiają się teorie, że zaraza to kara boska za homoseksualizm czy LGBT. Głoszone nie tylko przez przedstawicieli katolickiej prawicy, ale także przez niektórych księży. Znakiem czasu jest również to, że gdy ludzie walczą o życie, gdy grunt usuwa się im spod nóg, politycy partii władzy, dla których Kościół jest jedynym bodaj autorytetem, za wszelką cenę prą do wyborów, które narażają ludzkie życie i zdrowie. A to już nie jest polityka.

eprasa.pl 2364728ccd

Na abp. Marka Jędraszewskiego i abp. Stanisława Gądeckiego partia rządząca może liczyć.

To sfera moralności i przyzwoitości. I z tego testu na czytanie znaków czasu, z reakcji na nie bądź jej braku, Kościół będzie musiał przed Polakami się wytłumaczyć.

3.

Oczekiwanie, że Kościół zajmie jasne stanowisko w sprawie wyborów, jest duże. Tym bardziej że przy poprzednich wyborach, choćby do Sejmu i Senatu w 2019 r., biskupi nie mieli z tym problemu. Przypomnijmy więc apel, jaki w „Słowie przed wyborami" wygłosił abp Stanisław Gądecki. Raz, apelował o udział w wyborach: „Z moralnego punktu widzenia miłość ojczyzny i odpowiedzialność za dobro wspólne wymagają od wszystkich korzystania z prawa wyborczego". Dwa, wskazał kryteria, którymi ma się kierować katolik przy wyborze: „Katolicy powinni popierać programy broniące prawa do życia od poczęcia do naturalnej śmierci, gwarantujące prawną definicję małżeństwa jako trwałego związku jednego mężczyzny i jednej kobiety, promujące politykę rodzinną, wspierające dzietność, gwarantujące prawo rodziców do wychowania własnego potomstwa zgodnie z wyznawaną wiarą i moralnymi przekonaniami. W związku z tym katolicy nie mogą wspierać programów, które promują aborcję, starają się przedefiniować instytucję małżeństwa, usiłują ograniczyć prawa rodziców w zakresie odpowiedzialności za wychowanie ich dzieci, propagują demoralizację dzieci i młodzieży. Nie mogą się decydować na wybór kandydata, który wyraża poglądy budzące zastrzeżenia z punktu widzenia moralnego oraz ryzykowne z punktu widzenia politycznego".

I teraz, na ostatniej prostej tej niby-kampanii, również doczekaliśmy się komunikatu Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski. Biskupi zaznaczają, że Kościół nie ma mandatu, by uczestniczyć w czysto politycznych sporach na temat formy czy terminu wyborów, a tym bardziej, by opowiadać się za takim lub innym rozwiązaniem. Sęk w tym, że cały spór – wywołany przez koronawirusa – dotyczy właśnie przywołanych przez hierarchów spraw. Ta powściągliwość i niechęć wyrażenia bardziej stanowczych opinii w tak dramatycznej sytuacji jest bardzo zastanawiająca. Szczególnie że dalej hierarchowie piszą o kryteriach demokratycznych wyborów, które z obecnymi nie mają wiele wspólnego. Potwierdza to choćby komunikat Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. „Wybory prezydenckie w Polsce w obecnej formie nie spełniają wymogów Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, by zostać uznane za demokratyczne", oceniło Biuro Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka OBWE. Także polski Sąd Najwyższy w opinii dla Senatu nie zostawia suchej nitki na sposobie przygotowania przez PiS wyborów i ustawy kopertowej. Czytamy: „Ustawa sprowadza zagrożenie dla bezpieczeństwa i prywatności wyborców w ogromnej skali. Zagrożenie to ma charakter całkowicie nieproporcjonalny, ponieważ nie istnieje dobro chronione – nie jest nim przecież doręczenie pakietów wyborczych, a dobro poświęcane to bezpieczeństwo obywateli, ich prawo do prywatności, prawo do nieujawniania informacji o sobie". Czytając choćby te opinie, biskupi nie widzą, że obecny proces wyborczy nijak się ma do zasad, które sami formułują?

Kościół, który bierze ślub z jakąś partią, najczęściej po wyborach zostaje wdową.

Niemniej jednak biskupi proszą odpowiedzialnych za Polskę, „aby w dialogu między stronami poszukiwać takich rozwiązań, które nie budziłyby wątpliwości prawnych i podejrzenia nie tylko o naruszenie obowiązującego ładu konstytucyjnego, ale i przyjętych w demokratycznym społeczeństwie zasad wolnych i uczciwych wyborów. Prosimy, aby kierując się najlepszą wolą, w swoich działaniach szukali dobra wspólnego, którego wyrazem jest dziś zarówno życie, zdrowie oraz społeczny byt Polaków, jak i szerokie społeczne zaufanie do wspólnie wypracowanych przez lata procedur wyborczych demokratycznego państwa". I dodają: „W tej trudnej sytuacji, jaką przeżywamy, powinniśmy dbać o kultywowanie dojrzałej demokracji, ochronę państwa prawa, budowanie – mimo różnic – kultury solidarności, także w sferze polityki".

Choć komunikat Rady Stałej Episkopatu jest słuszny i znajduje się w nim wiele oczywistych i potrzebnych stwierdzeń, to zarazem napisany został w taki sposób, że zadowoli i rządzących, i opozycję, tylko nie zwykłych członków Kościoła. Pożywkę w nim znajdzie dla siebie i partia władzy, która chce nas zaciągnąć do wyborów, i opozycja, która chce ich odłożenia. Partia władzy, bo biskupi mówią, że nie są od wyznaczania ▸

FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

eprasa.pl 2364728ccd

terminu wyborów, choć wiemy, że te, które mają się odbyć 10 maja, narażają życie i zdrowie ludzi. A ochrona życia człowieka jest przecież najważniejsza. Dlatego hierarchowie nie powinni bawić się tu w niuanse i sofistykę. Opozycja też będzie rada, bo będzie przywoływać te słowa z komunikatu, w których mowa o szanowaniu „przyjętych w demokratycznym społeczeństwie zasad wolnych i uczciwych wyborów", a obecne nie są uczciwe, gdyż nie było „normalnej" kampanii wyborczej. Postronni czy kościelni komentatorzy mogą teraz powiedzieć: „Chcieliście głosu Kościoła, to go macie. Przestańcie się czepiać". Trudno mi sobie wyobrazić taką powściągliwość bp. Tadeusza Pieronka lub abp. Józefa Życińskiego, gdyby dziś z nami znosili trudy związane z koronawirusem. Ich mowa, choć można było z nimi się nie zgadzać, raczej zawsze brzmiała zgodnie z ewangeliczną zasadą: „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie". Dziś Rada Stała KEP wybiera inną postawę: „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek".

4.

To dziwi, gdyż biskupi zdają sobie przecież sprawę ze skali zagrożenia życia i zdrowia ludzi. Dlatego sami zamknęli świątynie – robili to niechętnie, ale wiedzieli, że w innym przypadku kościoły stałyby się miejscami rozprzestrzeniania się wirusa na jeszcze większą skalę. Jest więc oczywiste, że powinni wprost wezwać rządzących – prezesa Jarosława Kaczyńskiego, premiera Mateusza Morawieckiego i prezydenta Andrzeja Dudę – aby przełożyli wybory. Aby, mając na uwadze troskę o dobro wspólne, w tym przypadku najwyższe, jakim jest życie ludzkie, przełożyć wybory i zająć się walką z negatywnymi konsekwencjami koronawirusa. Jeśli nie naciskają w porę i nie w porę, jak mówi Ewangelia, jak to się ma do nieustannego powtarzania frazy, że Kościół popiera tzw. cywilizację życia? Jak to przekonanie ma się do faktu, że wybory w czasach zarazy, co pokazują choćby doświadczenia z Bawarii czy Francji, wiążą się zawsze z większą liczbą zakażonych COVID-19?

Taki apel wprost skierowany do wspomnianych polityków byłby tym bardziej zrozumiały, że rząd PiS i kandydat Duda nie chowają swojej wiary pod korcem. Przeciwnie, uważają, że Kościół z głoszonymi przez siebie wartościami jest dla państwa, które oni budują, tym, czym dusza dla ciała. A prezes Kaczyński przy każdej okazji przypomina: „Ręka podniesiona na Kościół jest ręką podniesioną na państwo". Dziś biskupi, trzymając się tej poetyki, mogliby powiedzieć mocno: „Wybory w dobie zarazy to ręka podniesiona na polskie społeczeństwo. A ręka podniesiona na polskie społeczeństwo to ręka podniesiona na Kościół". Zwłaszcza że rację miał amerykański pastor Martin L. King, gdy mówił: „Nasze życie zaczyna się kończyć w dniu, w którym zaczynamy przemilczać ważne tematy".

Jarosław Makowski

eprasa.pl 2364728ccd

Lewomyślniej Roman Kurkiewicz

Rozwibrowanie rozkalibrowaniem

Drapię się w łysy łeb – dawno, niemal odkąd sięgam pamięcią, nie wiedziałem tak mało o czymś, czym tak dużo się interesuję, zajmuję, co mnie angażuje od kilku dekad – skutecznie, ostatecznie, nieodwołalnie. A dzisiaj czuję się od tego zainteresowania jakby odwołany. Mówię o polityce. Pierwszy raz w świadomym życiu, w świecie bez wojny na terenie mojego kraju, nie mam pojęcia, czy mamy jeszcze jakiś system polityczny, czy jest on jeszcze nazywany demokracją, czy będą i w jakiej formie wybory na urząd prezydenta, którego żenująca kadencja dobiega końca mocą wyznaczonego czasu. Ale czy na pewno ta kadencja mija? Może dostanie jakąś przedłużkę, może wypustkę dwuletnią w przyszłość poza regułami, które dotąd obowiązywały? Ale jak i kto o tym zadecyduje? Niby wiemy, że szeregowy poseł Jarosław Kaczyński. Ale czy on sam jeszcze nad tym panuje? Czy musimy teraz jako społeczeństwo zapłacić gorzki rachunek za to, że w ostatnich dekadach Kaczyński nie odgrywał roli, jaką dla siebie wymarzył, wyśnił, jakiej oczekiwał? Czy to także cena za osobisty dramat po śmierci brata i bratowej w katastrofie smoleńskiej urosłej do mitycznego zamachu?

Czym jest ten twór, nowoczesne, wydawałoby się europejskie, 40-milionowe państwo, jeśli można go bez jednego wystrzału i *de facto* jednego aresztowania obrócić w perzynę? I do tego zgarniać gwarantującą reelekcję parlamentarną większość i poparcie społeczne? Jak bezradny okazał się cały ten nasz przetransformowany z PRL stwór, zwany Polską demokratyczną! Po niecałych pięciu latach nie wiemy, jaki mamy ustrój polityczny, nie istnieje Trybunał Konstytucyjny, właśnie znika ostatni bastion niezależności sądowniczej – Sąd Najwyższy, poganiany jeszcze na koniec bezprecedensowymi zachowaniami wiceprokuratora generalnego, tempo umorzeń postępowań prokuratorskich pojedynczych prokuratorów (prokuratorki) bije na głowę rekordy Guinnessa, a synekurowe pieniądze płyną niepowstrzymanym nurtem do zasłużonych choć przez chwilę dla „dobrej zmiany".

Maseczki, nieskuteczne wobec wirusa, obrazują skuteczność wzięcia nas wszystkich za twarz.

Rozmontowane zostały wszystkie formalne i nieformalne bezpieczniki systemowe, opór społeczny okazał się symboliczny, wybiórczy, niekonsekwentny i pozbawiony wizji. Noszone dzisiaj maseczki, nieskuteczne wobec wirusa, obrazują skuteczność wzięcia nas wszystkich za twarz. Tak jak cała ta jaskrawa bezkarność władzy znoszącej obecny system konstytucyjnego państwa prawami powielaczowymi i filozofią „nie wydrukuję wyroku i co mi zrobicie?". Ile można oglądać tę niekończącą się PR-ową improwizację, jeden wielki spektakl kłamstw, konfabulacji, zaprzeczeń, ściemniania, odwracania kota ogonem?! Wszystko to w obliczu nadchodzącej suszy, skromnej emanacji prawdziwej potęgi – katastrofy klimatycznej, wszystko to w ślepej uliczce energetyki opartej na węglu i w obliczu katastrofy hydrologicznej.

Podstawą tego wszystkiego jest wizja, nakreślona onegdaj przez intelektualny mózg z zaplecza Kaczyńskiego, dzisiaj już profesora (bo, jak pisali recenzenci mianowania, bardzo chciał nim być), Andrzeja Zybertowicza, żeby rozwibrować system. Bo w rozwibrowaniu można przejąć władzę, co się realnie stało. Problem w tym, że oprócz starych pralek nic na nieustannym rozwibrowaniu nie działa. A w szczególności nie działa taki twór jak państwo – pozbawione dzisiaj realnego przywództwa, z rozmytą odpowiedzialnością za demolkę, ze słabą służbą zdrowia w czasie pandemii, z brakiem zaufania do instytucji, do czegoś, co funkcjonuje wyłącznie według reguł kija i marchewki.

Nieokiełznane wibracje muszą doprowadzić do eksplozji. Nieuchronnie, a efekt pozostaje nieprzewidywalny. Wciąż nie wiem, dlaczego nic nie wiem. Chyba też zostałem rozkalibrowany.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2364728ccd

Jakub Dymek

Koronawirus i wielkie pranie wizerunku

Giganci branży cyfrowej wykorzystują pandemię do zdobycia większej władzy i wpływu na politykę

Wyobraźmy sobie dwie przecinające się pod ostrym kątem – jak litera x – krzywe: na jednej mamy idące w górę zyski, na drugiej reputację. Mniej więcej tak (choć pewnie wykorzystując nieskończenie więcej danych i skomplikowane algorytmy) wizualizują sobie swoją sytuację miliarderzy z Doliny Krzemowej. Ostatnie kilka lat przyniosło bowiem korporacjom cyfrowym i największym platformom społecznościowym, takim jak Facebook i Twitter, bezprecedensowe zyski, ale i permanentny kryzys wizerunkowy.

Od kilku już lat wytykanie grzechów i nadużyć cyfrowym gigantom przestało być hobby upartych dziennikarzy śledczych, przedmiotem badań akademików i ostrzeżeń sygnalistów – krytyka korporacji, zwanych czasem GAFA (od: Google, Apple, Facebook, Amazon), „weszła na salony". Mark Zuckerberg, założyciel Facebooka, zeznawał w 2018 r. przed komisją amerykańskiego Senatu, a także przed Parlamentem Europejskim. Chodziło o aferę Cambridge Analytica, niesławnej firmy doradczej, która pozyskała dane wrażliwe użytkowników Facebooka i na ich podstawie kreowała – być może nielegalne, a z całą pewnością niejawne i kontrowersyjne – kampanie polityczne w wielu krajach świata.

Google, Facebook i Twitter doszły do wniosku, że pandemia pomoże im odwrócić negatywny trend wizerunkowy.

Zuckerberg i Sheryl Sandberg, jedna z dyrektorek Facebooka i najwyżej postawionych w branży cyfrowej kobiet, odbywali wtedy coś, co dziennikarze nazwali *apology tour*, trasę przeprosinową. Cała branża cyfrowa dołączyła się do tych gestów, przekonując, że od teraz będzie dbać o przejrzystość i rzetelność ze zdwojonym wysiłkiem. Zapewniała polityków, media i społeczeństwo, że kolejne błędy już się nie zdarzą. Oczywiście zdarzyły się, a najwięksi dostawcy treści w dzisiejszym internecie – Twitter, Facebook czy należący do Google'a YouTube – raz po raz musieli się tłumaczyć, dlaczego na ich platformach kwitną nienawiść i szowinizm, dezinformacja i antynaukowa propaganda. Dlaczego ich media są wykorzystywane do ataków na wybory i wręcz zagrażają całej zachodniej demokracji.

Trend był jednoznaczny, ale nic tak nie sprzyja korporacyjnej kreatywności jak poważna katastrofa. Borykający się z problemami wizerunkowymi prezesi cyfrowych gigantów dostali od rzeczywistości wielki prezent. Na scenę wkroczył nowy koronawirus.

Ramię w ramię z ekspertami

Gdy w lutym dyrektor generalny Światowej Organizacji Zdrowia, dr Tedros Adhanom Ghebreyesus, ogłosił, że mamy do czynienia z „infodemią" – towarzyszącą pandemii zarazą fałszywych informacji – niemal natychmiast w sieci można było przeczytać, że korporacje cyfrowe pomagają ją zwalczać. Co uważniejsi obserwatorzy zwrócili uwagę na koordynację komunikatów i prawie identycznie brzmiące doniesienia w światowych mediach – znak, że była to w istocie kampania informacyjna ze strony i firm cyfrowych, i samej WHO, których cele wizerunkowe były tożsame. WHO też wielokrotnie musiała odpierać ataki krytyków, należało odbudować prestiż słabnącej organizacji w epoce triumfu różnych nacjonalizmów i retoryki głoszącej, że tylko państwa narodowe radzą sobie dziś z fundamentalnymi zagrożeniami.

Na stronach Światowej Organizacji Zdrowia, ale i w dziesiątkach tytułów prasowych oraz oczywiście w samych mediach społecznościowych mogliśmy przeczytać, że od teraz pojawiające się np. na Facebooku niesprawdzone lub zdementowane przez medyków informacje będą blokowane. Użytkowników narażonych na zetknięcie z dezinformacją będzie się zaś kierować na strony WHO, a wszystkim korzystającym z mediów społecznościowych – czyli kilku miliardom osób – zostaną udostępnione wygodne i czytelnie oznakowane zakładki, zawierające fakty na temat wirusa oraz rekomendacje lekarzy i specjalistów zdrowia publicznego. Doniesienia o pozytywnej roli mediów społecznościowych w walce z infodemią przyćmiły, przynajmniej na początku, oczywisty przecież fakt, że to za sprawą mediów społecznościowych owa infodemia się rozprzestrzenia.

Google, Facebook i Twitter doszły do wniosku, że pandemia pomoże im odwrócić negatywny trend wizerunkowy. I to odwrócić o 180 stopni, a nie tylko dokonać pewnej korekty czy punktowo naprawić popsute relacje. Gdy dotychczas oskarżano te firmy o czerpanie zysków i generowanie ruchu dzięki dezinformacji, propagandzie, antynaukowej szarlatanerii i teoriom spiskowym, teraz cyfrowi giganci postanowili pokazać, że właśnie zwalczanie tych zjawisk jest ich głównym celem. Jest to operacja naprawdę imponująca rozmachem i ambicją. Bo media społecznościowe, które dziś – po ponad 10 latach demontażu wiedzy eksperckiej i podkopywania całego tradycyjnego obiegu informacji – chcą wystąpić w roli ostatniej reduty

eprasa.pl 2364728ccd

Mark Zuckerberg promuje gubernatora Kalifornii Gavina Newsoma, który bezpośrednio wpływa na losy jego firmy.

nauki, rzetelnej wiedzy i faktów, są jak producenci ropy i kopalnie węgla promujący ekologię albo jak koncerny zbrojeniowe organizujące konferencje na rzecz globalnego pokoju.

Prof. Jon-Patrick Allem z Uniwersytetu Południowej Kalifornii zwracał uwagę na stronach „The Conversation" na kilka problemów związanych z tym podejściem. Po pierwsze, na razie walka z dezinformacją w wykonaniu cyfrowych gigantów przynosi połowiczny skutek – wiele fałszywek wciąż ma się dobrze. Po drugie, przyczyny popularności fake newsów – strach, oburzenie albo ciekawość – pozostają niezmienne. Po trzecie, media społecznościowe, gdy są używane np. do piętnowania osób niestosujących się do reguł dystansu społecznego lub zachowujących się nieodpowiedzialnie, mogą się przyczynić do powstawania atmosfery nagonki, szukania kozła ofiarnego lub szczucia – czy to na łamiących kwarantannę, czy przeciwnie, na policję i służby, które zbyt ostro egzekwują przepisy. A także do rasistowskich ataków na „obcych", którzy rzekomo wirusa roznoszą.

Do przerwy 1:0

Na razie jednak strategia ta daje efekty. Dziś, w kolejnych raportach – także tym najnowszym, unijnej agendy StratCom – w rolach głównych odpowiedzialnych za dezinformację występują Rosja i Chiny, zaskakująco mało jest zaś o tym, że wciąż, mimo nowych środków zapobiegawczych, to na amerykańskich platformach kwitnie nakierowana na społeczeństwa Zachodu propaganda.

Front „informacyjny" to tylko jeden z obszarów, w których cyfrowi giganci prowadzą swój biały PR. Od kilku tygodni Facebook reklamuje się ogłoszeniem z wizerunkiem pani dyrektor Sandberg, które zapowiada kolejne tysiące miejsc pracy, m.in. w fact-checkingu, czyli weryfikacji informacji o koronawirusie.

Media społecznościowe po latach demontażu wiedzy eksperckiej i tradycyjnego obiegu informacji chcą być ostatnią redutą nauki i faktów.

Przekaz jest taki: gdy gospodarka „analogowa" znalazła się w kryzysie, platformy internetowe rozwijają działalność. Amazon, gigant handlowy, również prowadzi ekspansję – kupuje nowe magazyny i zwiększa obroty. To także skutek pandemii, a nowe środki bezpieczeństwa i realizacji dostaw, którymi chwali się firma, są odpowiedzią na oskarżenia – pojawiające się prawie wszędzie, gdzie Amazon ma swoje magazyny, choćby w Polsce – że dotychczas warunki pracy narażały zatrudnionych na niebezpieczeństwo i stwarzały zagrożenie epidemiczne (pisaliśmy o tym w poprzednim numerze PRZEGLĄDU).

Kolejnym obszarem białego PR, narzucania „miękkiej" narracji o pozytywnej roli korporacji technologicznych, jest budowanie przekonania, że teraz, dzięki usługom online, wszystkim w trakcie pandemii żyje się i pracuje wygodniej. Pole jest ogromne – internetowe zakupy, premiery kinowe przeniesione na platformy VOD (wideo na życzenie), zasoby edukacyjne w cyfrowych repozytoriach i bibliotekach. Google i Facebook oferują nauczycielom swoje usługi w prowadzeniu e-learningu – dając z pewnością pożyteczną wiedzę i technologię pracownikom oświaty, ale i wprost walcząc o dominującą pozycję na rozwijającym się rynku. Kryzys – jak pokazują statystyki – powiększył ich zasięg i przyciągnął setki milionów nowych klientów. Netflix, największy serwis z filmami i serialami, jest wręcz przeciążony liczbą zainteresowanych. Także Facebook i należące do niego komunikatory Whatsapp i Instagram przeżywają bum.

„Problemy, które mieliśmy z korporacjami technologicznymi wcześniej, wcale nie zmalały – mówiła niedawno Kara Swisher, jedna z najważniejszych współczesnych komentatorek biznesu cyfrowego. – Amazon robi świetne rzeczy, ale spójrzmy, co się dzieje w jego magazynach. Zoom, aplikacja do telekonferencji, również, ale mam dzieci w wieku szkolnym i nie podoba mi się, jakie standardy bezpieczeństwa i prywatności oferuje ta usługa. Facebook też się poprawia. Nie mam jednak zamiaru nagradzać ich teraz owacją na stojąco". Kara Swisher dodaje, że korporacje technologiczne, owszem, mówią, że walczą z pandemią, ale tak naprawdę walczy dziś kto inny – „analogowi" lekarze i służba zdrowia. Co więcej, już od prawie roku mówi się, że to obszar służby zdrowia będzie kolejnym polem ekspansji internetowych usługodawców, którzy dzięki sprawnej logistyce i zasobom cyfrowym będą chcieli prywatyzować obsługę medyczną na wielką skalę i oferować tam swoje produkty oraz rozwiązania.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2364728ccd

Napiwek i plaster

Na całą warstwę realnych i pozorowanych działań w walce z dezinformacją i we wspieraniu medyków – które, dodajmy, przynoszą też pozytywne skutki – nakładany jest jeszcze filantropijny lukier. W ostatnich tygodniach bardzo głośna była deklaracja Jacka Dorseya, założyciela Twittera, o wpłaceniu miliarda dolarów (jednej czwartej jego majątku) na walkę z koronawirusem. Dorsey jest powszechnie chwalony ze względu na hojność tej jednorazowej wpłaty – nawet cytowana powyżej Kara Swisher nie deprecjonuje tego gestu. Ale obok Dorseya czy Billa i Melindy Gatesów, którzy walką z chorobami zakaźnymi zajmują się poprzez swoją fundację od lat, wielu innych miliarderów angażuje się w działania pozorne lub w filantropijny PR.

Wielokrotnie już zwracano uwagę, że część miliarderów szumnie ogłasza programy wsparcia służby zdrowia czy badań medycznych, które w porównaniu do ich zysków są symboliczne. Scott Galloway, autor głośnej książki o grupie GAFA „Wielka czwórka", policzył, że biorąc pod uwagę niewyobrażalny majątek Jeffa Bezosa, wsparcie szefa Amazona na walkę z koronawirusem jest porównywalne z kwotą, którą – zachowując proporcje – amerykańska rodzina daje jako napiwek w restauracji za kolację dla kilku osób.

Mark Zuckerberg, którego firma krytykowana jest w Europie za wieloletnie unikanie opodatkowania, nagrywa z żoną Priscillą Chan filmiki, na których rozmawia z popularnymi politykami i urzędnikami o walce z koronawirusem w Stanach. Można dyskutować o wartości informacyjnej tych nagrań, ale trzeba zwrócić uwagę na potencjalne cele lobbingowe. Zuckerberg i Chan bowiem promują polityków, np. popularnego gubernatora Kalifornii Gavina Newsoma, którzy bezpośrednio wpływają na losy ich własnej firmy. To bowiem w Kalifornii toczy się zacięta walka o opóźnienie z powodu pandemii wejścia w życie nowego prawa o ochronie danych osobowych, wzorowanego na europejskim RODO. Zabiegają o to lobbyści reprezentujący gospodarkę cyfrową.

Walka cyfrowych gigantów z dezinformacją przynosi połowiczny skutek – wiele fałszywek wciąż ma się dobrze.

W arcyciekawym tekście opublikowanym niedawno w „New York Timesie" czytamy, że czas pandemii i lockdownu wzmógł nacisk lobby cyfrowego na poluzowanie ograniczeń albo zawieszenie wprowadzania praw niekorzystnych z punktu widzenia internetowych molochów. Na przykład Uber, operator przewozów samochodowych konkurencyjnych dla taksówek, w obliczu kryzysu walczy o to, aby nie obejmować kierowców prawami przysługującymi innym pracownikom – bo firma cały czas uważa, że nikogo nie zatrudnia, a jedynie „świadczy usługi pośredniczące". Przykłady można mnożyć. Dziś wydatki na lobbing sektora cyfrowego w USA przekroczyły już kwoty wszystkich innych najważniejszych donatorów w Waszyngtonie.

Kwotę, którą szef Amazona wsparł walkę z koronawirusem, można porównać do tego, co amerykańska rodzina daje jako napiwek w restauracji.

Pandemiczny zwrot

Gwoli uczciwości trzeba powiedzieć, że w większości działania nakierowane na pomoc służbom medycznym i promowanie rzetelnych informacji w mediach społecznościowych są słuszne i potrzebne. Problem tkwi w czym innym – towarzysząca im kampania PR-owa ma odwrócić uwagę od wieloletnich zaniedbań lub działań destrukcyjnych społecznie, za które odpowiadają media społecznościowe. Polaryzacja społeczeństwa, radykalizacja, podkopanie rzetelnych mediów i promocja groźnych fake newsów – te zarzuty nie są bezpodstawne. Błędy nie zostały naprawione, a nakierowana na zysk za wszelką cenę i dążąca do uzyskania monopolu polityka wielu korporacji technologicznych nie zmieniła się.

Za to w czasie pandemii ich popularność, siła i – jak się okazuje – zdolność wpływania na opinię publiczną rośnie. Wszystkie dzisiejsze słuszne lub przynajmniej wynikające z pewnej odpowiedzialności społecznej akcje są listkiem figowym – wartym setki milionów dolarów – który ma pomóc ukryć olbrzymie zagrożenia dla rzetelnej debaty i sfery publicznej, spowodowane przez te same firmy.

Po pandemii możemy się obudzić – nawet nie zauważywszy w porę zmiany – w świecie, w którym wszystkie te zagrożenia i problemy tylko napęcznieją, ale ich sprawcy będą już chodzić w glorii wielkich dobroczyńców. Podczas gdy zaledwie spróbowali – promując swój biznes – częściowo złagodzić skutki własnej toksycznej polityki. W sytuacji gdy coraz więcej codziennych czynności – rozrywka, praca, edukacja – odbywa się wyłącznie online, cyfrowi giganci naprawdę rządzą naszym życiem, a od ich woli zależy więcej niż kiedykolwiek. Wiele władzy oddajemy bez dyskusji. Nawet kontrola liczby zakażonych i chorych jest przez wiele rządów postrzegana jako coś, co można oddać sektorowi prywatnemu – a to scenariusz, który niedawno prawie żadnemu politykowi nawet się nie śnił.

Tak rozkręca się największa kampania białego PR w XXI w. – i pandemia jest jej paliwem.

Jakub Dymek

eprasa.pl 2364728ccd

Ukraina – maski włóż!

Jeśli chcesz przeżyć, musisz być VIP-em

Aleksandra Łagowska

W nierównej walce z koronawirusem Ukraina usiłuje naśladować inne kraje europejskie. 25 marca ogłoszono na całym terytorium sytuację nadzwyczajną. W odróżnieniu od stanu nadzwyczajnego nie przewiduje ona ograniczeń swobód obywatelskich, takich jak godzina policyjna, zakaz zebrań, zakaz przemieszczania się czy wykorzystanie własności prywatnej do celów publicznych. Zgodnie z decyzjami rządu kwarantanna potrwa do 11 maja. Od maja planowano poluzowanie obostrzeń w komunikacji, a wcześniej otwarcie parków, muzeów i bibliotek. Jednakże w warunkach pandemii niechlujstwo i bałagan w strukturach zarządzania nabierają szczególnie groteskowego charakteru.

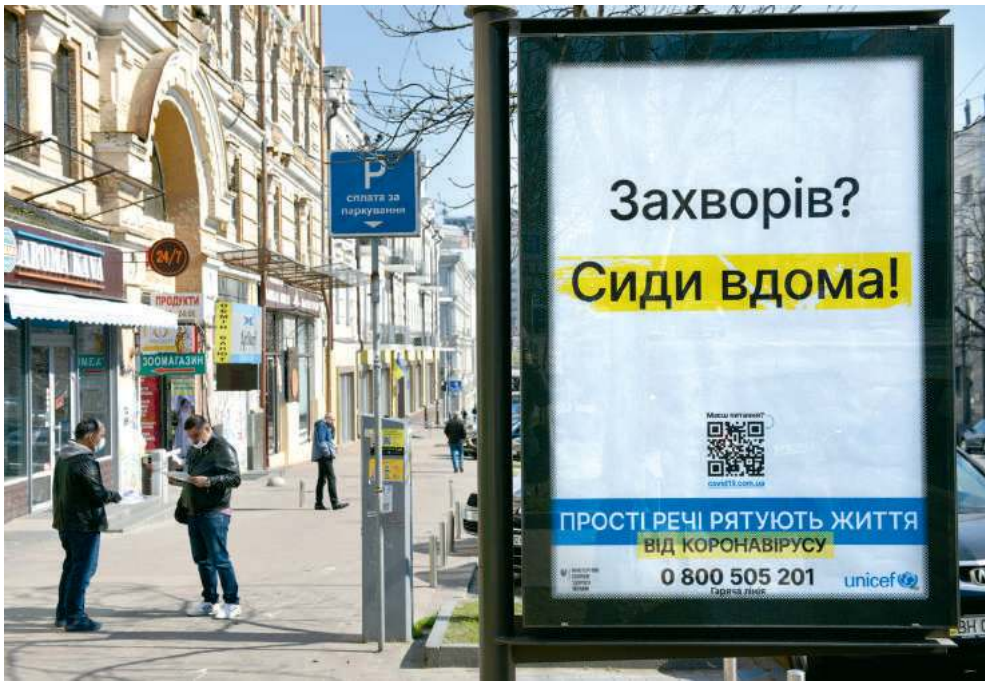

Mieszkańcy Kijowa i innych miast są namawiani do zostania w domach.

13 metrów dla VIP-a

Dotychczas ukraińskie VIP-y w razie poważnych problemów zdrowotnych korzystały z pomocy medycznej za granicą. Dla tych, którym przysługuje ochrona państwowa, m.in. posłów, urzędników wysokiego szczebla Służby Bezpieczeństwa, sądów i policji, w kraju przeznaczono elitarny szpital Feofania. A że Feofania ani szpitale prywatne nie mają odpowiednich warunków do leczenia pacjentów z COVID-19, władze Kijowa z merem Witalijem Kliczką 25 marca wydały nakaz utworzenia specjalnych sal dla VIP-ów w szpitalach publicznych. Własny personel medyczny, osobne sale (w tym operacyjne), specjalne ekipy pogotowia ratunkowego i wiele innych przywilejów zatwierdził dla możnych ukraińskiego świata Departament Zdrowia Kijowskiej Administracji Państwowej. Rozporządzenie o stworzeniu sal dla VIP-ów trafiło do 17 szpitali.

Według tego rozporządzenia szpitale publiczne, finansowane z podatków obywateli, muszą wydzielić osobne sale o minimalnej powierzchni 13 m kw. Obok sali ma się znajdować pokój dla ochrony. Sale dla szczególnych pacjentów przewidziane są również na oddziale pediatrycznym oraz na neurochirurgii dziecięcej. Każdy VIP musi mieć zapewnioną całodobową opiekę medyczną (w tym pielęgniarkę do wyłącznej dyspozycji) oraz operacyjną rezerwę wyposażenia medycznego i zaopatrzenia w leki. Oznacza to, że duża część respiratorów jest zarezerwowana i niedostępna dla zwykłych Ukraińców nawet w przypadku zagrożenia życia. Lekarstwa zastrzeżone dla wybrańców należy przechowywać w oddzielnej, zaplombowanej szafie – pewnie na wypadek podjęcia przez któregoś z chorych bądź członków ich rodzin prób zdobycia niedostępnego leku.

VIP-ów mają obsługiwać specjalne ekipy pogotowia ratunkowego złożone z lekarza, dwóch felczerów i kierowcy. Kompetencje medyków też muszą być na VIP-owskim poziomie: wyższa bądź pierwsza kategoria kwalifikacyjna i co najmniej pięć lat doświadczenia w zakresie udzielania natychmiastowej pomocy medycznej. Zwykłych śmiertelników ratować będą lekarze o niskich kwalifikacjach, początkujący, ewentualnie studenci medycyny.

Upublicznienie rozporządzenia o salach dla VIP-ów wywołało oburzenie. Na Ukrainie brakuje miejsc w szpitalach, środków ochrony (maseczek, rękawic, kombinezonów) i aparatury medycznej. Zresztą nawet zwiększenie liczby respiratorów nie uratowałoby sytuacji, gdyż bardziej niż aparatury brakuje specjalistów do jej obsługi. W ciągu ostatnich kilku lat kraj opuściło 66 tys. lekarzy, prawie jedna trzecia całej kadry medycznej.

Władze próbowały przedstawić wprowadzone regulacje jako szczególnie służące ochronie ogółu, a nie elit. Pierwszy zastępca przewodniczącego Departamentu Zdrowia kijowskiej administracji Mykoła Poworoznyk tak odpierał zarzuty: „Zawiadomimy organy ścigania, by wyjaśniły, skąd się wziął ten nakaz, również jakim sposobem ukazał się w mediach. Ponieważ nakaz ten dotyczy pewnego grona osób. Przeznaczony jest nie dla wszystkich osób należących do szeroko rozumianych

eprasa.pl 2364728ccd

elit finansowych czy politycznych, lecz dla osób objętych ochroną państwową. Chodzi o osoby, które obecnie przebywają w więzieniach". Wynikałoby z tego, że wszystkie wymienione przywileje dotyczą wyłącznie więźniów!

Mer stolicy Witalij Kliczko niby zaprzeczył, że wydał rozporządzenie o stworzeniu sal dla VIP-ów, ale jednocześnie tę informację potwierdził: „Co się tyczy specjalnych sal VIP-owskich, niby dla deputowanych i innych urzędników – rozwiązania takiego nie wprowadzamy ani nawet nie przewidujemy jego wprowadzenia! Teraz badamy informację odnośnie do dokumentu, który opublikowały media. Rzeczywiście zawsze jest tak, że najważniejszym osobom w państwie – prezydentowi, premierowi, przewodniczącemu parlamentu – w przypadku choroby należą się pewne warunki, takie jak oddzielne sale i ochrona państwowa. Tego typu praktyka była stosowana zawsze. I to nie tylko na Ukrainie".

W dokumencie natomiast zaznaczone jest, że przywileje dotyczą wszystkich osób objętych ochroną nadaną przez Urząd Ochrony Państwowej. Są to m.in. posłowie, ministrowie i urzędnicy państwowi wysokiego szczebla. Do tego trzeba dodać zamożnych obywateli o wysokiej pozycji, zdolnych do załatwienia sobie odpowiednich papierów, członków rodzin wszystkich VIP-ów i ich bliższego otoczenia.

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski na swojej stronie internetowej obiecał odwołać rozporządzenie o salach dla VIP-ów, zapewniając, że każdy polityk czy biznesmen w razie choroby będzie miał te same warunki szpitalne co zwykli Ukraińcy. „Nasz kraj to nie *sowok* (pogardliwe slangowe określenie Związku Radzieckiego), nie będzie żadnych luksusowych sal dla »członków KC«", powiedział, grożąc kierownikom placówek medycznych sankcjami na wypadek złamania nakazu.

Oligarchowie mówią stop

Ukraińcy jednak niezbyt ufają obietnicom rządu. Są przekonani, że o zdrowie i bezpieczeństwo muszą zadbać samodzielnie. Żartownisie zalecają dla odstraszenia wirusa zakładanie maseczek ze zdjęciem byłej p.o. minister ochrony zdrowia Ulany Suprun. Warto przypomnieć, że reformując ukraińską służbę zdrowia, za wzór przyjęła ona Stepana Banderę, inspirując się hasłem *What would Bandera do*? Co by zrobił Bandera?

Następczyni Suprun – doktor prawa Zoriana Skałećka (stopień doktora uzyskała na UMCS w Lublinie) – zakończyła urzędowanie wraz z całym gabinetem Ołeksija Honczaruka w marcu tego roku. 4 marca na stanowisko ministra zdrowia powołano światowej sławy kardiochirurga Ilię Jemca, który już sprawował ten urząd w latach 2010-2011 w rządzie Mykoły Azarowa. Jemec jest doktorem medycyny, zarządza założonym przez siebie centrum kardiochirurgii dziecięcej oraz Fundacją Dziecięce Serce działającą na rzecz dzieci z wrodzonymi wadami serca. Jako kardiochirurg pracował w głównych ośrodkach medycznych Australii, Kanady i Francji.

Już w pierwszym tygodniu marca w związku z szybkim szerzeniem się koronawirusa minister wzywał do odwołania imprez masowych, koncertów, konferencji, a także do tymczasowego zamknięcia szkół. Proponował również wprowadzenie stanu nadzwyczajnego. Apel ten spotkał się z dezaprobatą środowisk biznesowych i oligarchów, gdyż stan nadzwyczajny wiąże się z wieloma ograniczeniami, m.in. zakazem eksportu i regulacją cen żywności, co szczególnie odbiłoby się na zyskach.

Reakcją na dążenia Jemca była ośmieszająca nagonka w mediach publicznych. Poseł frakcji Sługa Narodu Aleksandr Dubiński nazwał go Leonidem Breżniewem, ponieważ „potrafi mówić długo i niezrozumiale". Dubińskiego poparło wielu polityków i dziennikarzy.

Mimo stanu epidemii 30 marca Ilia Jemec odszedł ze stanowiska, twierdząc, że został zmuszony do podania się do dymisji. Jak podkreślił, objął je, aby przeprowadzić reformę, której rezultatem miało być powszechne państwowe ubezpieczenie zdrowotne. Chciał też pomóc Ukrainie w walce z koronawirusem. Zdymisjonowano go, gdyż nie popierał reformy Ulany Suprun. Nazywana przez Ukraińców „Doktor Śmierć", Suprun według Jemca przez trzy lata usiłowała zniszczyć stacjonarną pomoc medyczną w kraju. Eksminister zdrowia chciał przesunąć o trzy miesiące zaplanowane na 1 kwietnia zamknięcie wielu szpitali, w tym publicznych zakładów opieki zdrowotnej gruźlicy i psychiatrycznych.

Przewodniczący Stowarzyszenia Psychiatrów Ukrainy Semen Gluzman w liście otwartym do prezydenta zarzucił, że „bestialskie »reformowanie« systemu psychiatrii, które zaczęła Ulana Suprun, trwa. Lekarze główni szpitali psychiatrycznych w te dni dostają ścisłą wskazówkę, by pozbyć się pacjentów, których stan nie wymaga hospitalizacji. Takich pacjentów jest ok. 30%. Wykonanie tego nazkazu czyni z każdego lekarza przestępcę". Skutki tej reformy będą wyglądać następująco: „W najbliższych miesiącach wielu z nich (psychicznie chorych – przyp. red.) będzie umierać na ulicach z głodu i zimna. Czekają nas nie tylko zgony na ulicach i placach, ale także spowodowane natarczywym głodem napady osób psychicznie chorych na bardziej zamożnych Ukraińców w celach rabunkowych".

Sytuacja z chorymi na gruźlicę wygląda podobnie. Na skutek tej choroby na Ukrainie rocznie umiera 4 tys. osób, a kraj przoduje w statystykach zachorowań i zgonów.

Biznes żony ministra zdrowia

W miejsce światowego autorytetu w dziedzinie medycyny na stanowisko ministra zdrowia powołano Maksyma Stepanowa – byłego przewodniczącego odeskiej administracji obwodowej. Ojcem chrzestnym dziecka Stepanowa jest Igor Palica, deputowany ugrupowania Za Przyszłość, partner biznesowy oligarchy Igora Kołomojskiego, który wypromował go na stanowisko gubernatora obwodu odeskiego. Kiedy Stepanow piastował urząd w Odessie, złożył poręczenie majątkowe w postępowaniu karnym wobec byłego przywódcy radykalnego ugrupowania Prawy Sektor, Serhija Sternenki.

Sternenko jest oskarżony o dokonanie motywowanego politycznie

Rozporządzenie o stworzeniu sal dla VIP-ów trafiło do 17 szpitali.

FOT. EAST NEWS (2)

eprasa.pl 2364728ccd

Mer stolicy Witalij Kliczko w trakcie inspekcji szpitala robi *selfie* z personelem.

zabójstwa mieszkańca Czarnomorska Iwana Kuzniecowa oraz spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu Aleksandra Isajkula. Zabójca transmitował na żywo agonię Kuzniecowa. Sternenko był oskarżany o handel narkotykami, porwania, rabunki i wyłudzenia. Dzięki poręczeniu obecnego ministra zdrowia udało mu się uniknąć kary. Wcześniej „aktywista" dostawał wsparcie materialne z funduszu Dla Dobra Odessy, z którego finansowanie otrzymywał także zespół gruzińskich reformatorów z Michaiłem Saakaszwilim na czele.

Partnerzy zachodni (Bank Światowy, kanclerz Niemiec Angela Merkel i inni) zażądali prywatyzacji znacjonalizowanego w 2016 r. w obliczu niewypłacalności PrywatBanku – największego ukraińskiego banku komercyjnego. Prawie połowa akcji banku należała do Kołomojskiego, patrona Zełenskiego w wyborach prezydenckich. Można przypuszczać, że oddając Ministerstwo Zdrowia w ręce wspólnika oligarchy, prezydent odwdzięcza się swojemu promotorowi. W związku z epidemią COVID-19 właśnie opieka zdrowotna miała dostać solidne dofinansowanie od zachodnich partnerów. Nie czekając na sfinalizowanie tej pomocy, żona nowego ministra zdrowia zdążyła już zarejestrować firmę handlującą sprzętem medycznym.

Nie histeryzujcie. Wszystko przeżyjemy

Wprowadzenie sytuacji nadzwyczajnej na Ukrainie wiąże się z tym, że władzę na ulicach obok policji sprawować będą radykalne ugrupowania. Zgodnie z uchwałą administracji Kijowa w czasie kwarantanny porządku w stolicy ma pilnować Straż Municypalna, powstała w 2017 r., w której skład wchodzą członkowie skrajnie nacjonalistycznych ugrupowań C14 i Swoboda. Organizacja jest hojnie finansowana ze środków publicznych. Środki transportu publicznego kontrolować ma ultraprawicowa Warta, o której głośno było z powodu prześladowania mniejszości etnicznych, przede wszystkim Romów. Po zorganizowanym przez nią swoistym polowaniu na Romów na kijowskim dworcu kolejowym policja odmówiła współpracy ze Strażą Municypalną.

Na Ukrainie ograniczenia swobód i wolności obywatelskich w celu walki z koronawirusem są jeszcze większe niż w wielu krajach europejskich. W Kijowie od 23 marca z komunikacji miejskiej korzystać mogą wyłącznie osoby mające specjalne pozwolenie. W wielu miastach transport publiczny w ogóle jest nieczynny do końca kwarantanny. Zawieszone są przewozy międzymiastowe, międzypowiatowe i międzynarodowe. W Kijowie, Dniepropietrowsku (obecnie Dnieprze) i Charkowie nie kursuje metro. Premier Ukrainy Denys Szmyhal obiecał stopniowe poluzowanie ograniczeń transportu, ale dokładnej daty nie podał: „Na pewno nie przed 11 maja". Nie wolno przebywać w miejscach publicznych bez maseczki ochronnej i bez dokumentów potwierdzających tożsamość. Otwarte są sklepy spożywcze i z artykułami budowlanymi (obowiązuje dystans 1,5 m), apteki, poczty, pralnie chemiczne. Działają firmy kurierskie, zakłady zbiórki i przerobu odpadów. Zamknięta jest większość zakładów usługowych, w tym kosmetyczne i fryzjerskie, restauracje (z wyjątkiem wydawania posiłków na wynos), siłownie, przedszkola, szkoły i uniwersytety.

W ciągu ostatnich tygodni do kraju wróciły setki tysięcy Ukraińców, którzy stracili pracę w innych krajach europejskich. Wracając, mieli się poddać domowej kwarantannie, nie jest jednak pewne, czy do tego się zastosowali.

Sytuacja nie napawa optymizmem, w związku z czym mer Dniepra Borys Fiłatow przygotowuje się na najgorszy scenariusz. Na cmentarzach miejskich wykopano 600 grobów dla ewentualnych ofiar śmiertelnych epidemii. Fiłatow zakupił także tysiąc plastikowych worków. Ciała zmarłych z powodu COVID-19 będzie można odebrać tylko w zamkniętej trumnie, zwłoki zaś zostaną zawinięte w hermetyczny, dezynfekowany worek. Jednocześnie w kraju podrożała znacząco żywność, a dostawcy maseczek ochronnych podnieśli ceny przeszło dziesięciokrotnie.

Ukraińcom pozostaje czekać na lepsze czasy i pocieszać się słowami dr. Jewgienija Komarowskiego, lekarza dziecięcego, bardzo popularnego w ukraińskich i rosyjskich mediach: „Mamy dużo szans. Tym bardziej że 80-letnich czy 85-letnich dziadków w naszym kraju praktycznie nie ma. Ci wszyscy, którzy teraz umierają we Włoszech czy w Hiszpanii, umarli u nas 10-15 lat temu. Nie histeryzujcie. Wszystko przeżyjemy".

Aleksandra Łagowska

eprasa.pl 2364728ccd

Amerykańska szkoła w chaosie

Wielu uczniów nie ma dostępu do drogiego internetu, a szkolne posiłki są wydawane na parkingach

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Poniedziałkowe lekcje w szkole online moja 15-letnia córka rozpoczyna w południe. Po miesiącu pobierania nauki w tym systemie wie, że nie musi się śpieszyć, bo nikt nie będzie sprawdzał jej obecności, a nauczyciele, jak to w poniedziałek, ograniczą się raczej do przesłania mejli z wytycznymi na najbliższy tydzień. Nie trzeba nawet się ubierać. Nikt tu przecież nie urządzi żadnej telelekcji przez Zoom czy Google Duo. Ambitniejsi nauczyciele podeślą co najwyżej filmiki z miniwykładami, większość ograniczy się do wrzucenia zadań domowych na platformy Google Classroom lub Blackboard. Nauczycielka francuskiego zaczęła niedawno dyżurować przy telefonie dwa razy w tygodniu po godzinie – wymowy w obcym języku nie można sobie przyswoić z czytanki.

Dowiaduję się od znajomych, że ich dzieci są podobnie zniechęcone jak moja córka i nikt bardziej od nich nie może się doczekać końca eksperymentu, w którym przyszło im uczestniczyć. Eksperymentu, bo nawet w okręgu szkolnym stojącym w rankingach tak wysoko jak nasz, do tego bogatym – już od lat wyposażającym wszystkich swoich gimnazjalistów i licealistów w laptopy do użytkowania w roku szkolnym – zdalna szkoła, *distance learning*, jak nazywają to Amerykanie, jest prowizorką, która bardziej męczy, niż uczy, a nawet dezorientuje, zamiast wskazywać i prowadzić.

Stracony tydzień

Dziś już wiemy, że choć Ameryka mogła do pandemii się przygotować lepiej niż reszta świata, bo miała na to więcej czasu, nie wykorzystała szansy. Pierwsze przypadki zarażenia koronawirusem oficjalnie potwierdzono w moim stanie Kolorado na początku marca. Liczba chorych podwajała się z dnia na dzień, już po tygodniu gubernator zaczął mówić o konieczności wprowadzenia ograniczeń w codziennym życiu, na pewno zaś zamykania szkół. Tradycyjne, tygodniowe ferie wiosenne w naszym okręgu szkolnym, zrzeszającym ponad 50 placówek oświatowych i kształcącym 30 tys. uczniów, zaplanowane były na 16 marca. Zlokalizowany w mieście stanowy Uniwersytet Kolorado zamknął kampus i przeniósł wszystkie zajęcia do sieci już 11 marca. Było jasne, że kuratorium postąpi tak samo. Od początku ferii czekaliśmy więc na informacje, jak dokładnie ma wyglądać po feriach zdalna szkoła.

Szkolne posiłki, darmowe lub za symboliczną kwotę, karmią co dzień w Ameryce 30 mln uczniów w wieku 5-18 lat.

Tydzień ferii obfitował w newsy. Zamknięto ośrodki narciarskie, w najbardziej zaludnionych hrabstwach wprowadzono *lockdown*, ograniczono liczbę pracowników w firmach najpierw do 50, potem do 10 osób, w końcu pojawił się nakaz zamknięcia wszystkich przedsiębiorstw i sklepów, które nie reprezentowały branż „pierwszej potrzeby". Wydawało się więc, że nasza lokalna szkoła dostała w prezencie cały tydzień na przygotowywanie się do zmian. Czy wykorzystała tę szansę? Na to pytanie odpowiem inaczej. Pierwszy, lakoniczny mejl od kuratorium informujący o nauce online przyszedł dopiero w niedzielę wieczorem. Zdalne lekcje miały wystartować w poniedziałek o godz. 9 rano.

O wiele obszerniejszy i jakże znamienny, mówiący o tutejszej szkole i jej problemach więcej niż wszystkie testy razem wzięte, był mejl, który wylądował w rodzicielskich skrzynkach zaraz potem. Szeroko informował o tym, gdzie i w jaki sposób uczniowie objęci programem dożywiania będą mogli dalej z niego korzystać. Ta sfera szkolnego życia wydawała się dużo bardziej przez kuratorium przemyślana i lepiej zorganizowana niż program zdalnych lekcji. Ustalono, że posiłki – suchy prowiant na lunch oraz śniadania na dzień następny – będą dystrybuowane w systemie *drive-thru* na trzech przyszkolnych parkingach w mieście, codziennie w porze obiadowej.

Jak wynika ze statystyk prowadzonych przez federalną agencję National School Lunch Program, szkolne posiłki, darmowe lub za symboliczną kwotę, karmią co dzień w Ameryce 30 mln uczniów w wieku 5-18 lat. To prawie 40% wszystkich uczniów szkół podstawowych i średnich. Jakże przejmujący i smutny dowód, że pomimo całego swojego bogactwa Ameryka pozostaje niesławnym liderem wśród państw rozwiniętych, jeśli chodzi o ubóstwo dzieci. Według ubiegłorocznych danych US Census Bureau w biedzie żyje co szósty nieletni Amerykanin i ten trend nie zmienia się od ponad 20 lat. A co jeszcze bardziej w tej statystyce zatrważające, aż 70% tych dzieci pochodzi z rodzin, w których oboje rodzice pracują. Dlatego ucieszyło mnie, że zamknięcie szkolnych stołówek nie będzie oznaczało odcięcia dzieci od posiłków, dla niektórych zapewne jedynych w ciągu dnia.

Ktoś chyba zwariował

Początki zdalnej szkoły były nerwowe. Po pierwszym dniu córka oświadczyła, że ktoś chyba zwariował, jeśli jej lekcje mają odtąd polegać na klikaniu w przysyłane przez nauczycieli linki do stron w internecie i odrabianiu zadań domowych, których zrobiło się więcej niż normalnie. Przez kilka pierwszych dni odchodziła od komputera dopiero

eprasa.pl 2364728ccd

W Dystrykcie Kolumbii dostęp do zdalnej edukacji jest dość dobry. Znacznie gorzej jest w Arizonie, Ohio czy na Alasce.

przed kolacją, a w nas utwierdzało się przekonanie, że chaos organizacyjny musi być większy, niż nam się wydaje. Nauczyciele albo w ogóle ze sobą się nie komunikują, albo zadają na chybił trafił, skoro potrafią żądać, by góra lekcji ze wszystkich przedmiotów była przerabiana i odsyłana tego samego dnia. Terminy były jeszcze bardziej napięte i bezwzględne niż normalnie. Potrzeba było prawie całego tygodnia, by władzom szkolnym zaświtało, że nie tak powinno to działać. Podejrzewam, że nastąpiło to po alarmie nauczycieli, którzy odnotowali, że mimo upływu kolejnych dni część uczniów nie nawiązała z nimi żadnego kontaktu.

Laptop to jedno. Ale dostęp do internetu w domu to już inna sprawa. Należało się zatrzymać i zastanowić, czy kontynuacja tego trybu nie przełoży się na skrzywdzenie uczniów, którzy nie mają internetu lub warunków, by uczyć się w domu. Zaczęło się równie nerwowe wycofywanie się kuratorium z pierwotnych założeń i planów względem zdalnej szkoły.

Dziś uczniowie wciąż dostają oceny, ale będą one miały wpływ na ocenę semestralną i końcową tylko wtedy, jeśli ją poprawią. W przeciwnym razie na świadectwie pojawi się ocena z trzeciego kwartału, który zakończył się przed feriami wiosennymi. Nikt też nie sprawdza obecności, a dwa tygodnie temu zniesiono wymóg oddawania prac domowych w konkretnym terminie. Co nam pozostało? Podobno nauczyciele dostali od kuratorium pozwolenie na organizowanie wideolekcji, jeśli najpierw upewnią się, że cała klasa może i będzie w nich uczestniczyć. Słyszę od córki, że byłoby to bezcenne urozmaicenie prowizorki, jaką stała się jej edukacja. A od nauczycieli, że nasz okręg szkolny i tak radzi sobie w tych nietypowych warunkach nadzwyczaj dobrze. W zdalnej szkole loguje się regularnie 70% młodszych i ponad 80% starszych uczniów. Na tle reszty USA to imponująca statystyka.

Internet dla wybranych

Większość Amerykanów ma w domu komputery i smartfony podłączone do sieci. Niestety, nie jest to równoznaczne z dostępem do sieci, bo przeszkodą są wysokie koszty. Ceny za przekaz danych mamy w Ameryce najwyższe na świecie. Za 25 MB płacimy po tej stronie oceanu średnio 55 dol. Ekonomista Thomas Philippon, autor książki „Cała wstecz. Jak Ameryka odpuściła sobie wolny rynek", tłumaczy, że stoi za tym karygodny brak konkurencji. Amerykańskie dzieci i nastolatki, w przeciwieństwie do europejskich czy azjatyckich rówieśników, najczęściej więc mają w telefonach i komputerach ostre limity ściągania danych. Uczestniczenie za pośrednictwem smartfona w zdalnej szkole nie wchodzi w grę. Drugi problem to rozmiar kraju. W wielu hrabstwach szybki internet – absolutna podstawa, jeśli uczeń ma pobierać edukację zdalnie – to wciąż marzenie ściętej głowy.

Oba te zjawiska doskonale tłumaczą, dlaczego dostępu do zdalnej szkoły *de facto* nie ma co piąty uczeń w Kalifornii, co trzeci w Arizonie i w Ohio i większość uczniów na Alasce. Dziennik „USA Today" opisał na początku kwietnia przypadek wiejskiego nauczyciela z Alaski, który prowadzi dla uczniów lekcje przez telefon. I to stacjonarny. Kilkanaście dni temu lokalne media w Kalifornii podały, że w największym po Nowym Jorku okręgu szkolnym – w Los Angeles Unified School District – nie skontaktowało się ze szkołą aż 40% uczniów podstawówek. Mnóstwo okręgów szkolnych stara się rozwiązywać problem dostępu do sieci, tworząc własne hotspoty, w które zamieniają się gimbusy zaparkowane przy zamkniętych szkołach. Mankamentem jest niewygoda, bo lekcje trzeba odrabiać dosłownie na kolanie w samochodzie, ale z drugiej strony – czy nie jest to iście amerykańskie podejście do sprawy? Po *drive-thru* posiłkach przyszła teraz pora na *drive-thru* szkołę! Co przywodzi nas nieuchronnie do kolejnego pytania, mianowicie dlaczego kraj, który dał światu i komputer, i internet, i smartfona, nie rozwiąże tego problemu?!

Po drive-thru posiłkach przyszła pora na drive-thru szkołę.

Odpowiedź jest zadziwiająco prosta. W 1996 r. Kongres odrzucił propozycję ustawy, by internet traktować jako świadczenie publiczne, podobnie jak wodę, gaz i prąd. Kolejna decyzja, która złamała amerykańskiemu internetowi kark, przyszła trzy lata później. Federalna Komisja ds. Komunikacji (FCC) zadecydowała, że internet nie będzie też traktowany jak telefonia. FCC wydała co prawda od tej pory miliardy dolarów

FOT. FORUM

eprasa.pl 2364728ccd

na dotacje dla dostawców internetu, by docierali z nim również na najgłębszą prowincję, ale zabrakło jasnych wytycznych, że powinien to być internet o przyzwoitej szybkości, odpowiadający aktualnym zapotrzebowaniom. Efekt jest taki – wedle raportu FCC za rok 2018 – że ponad 20 mln Amerykanów wciąż nie może z domu nawet podłączyć się do sieci, bo w okolicy nie ma potrzebnej infrastruktury i nie zanosi się, że w najbliższym czasie taka się pojawi. Ten sam raport ujawnia, że połowa Amerykanów, 163 mln, wciąż nie ma dostępu do szybkiego internetu.

Stracona generacja COVID-19

Eksperyment o nazwie zdalna szkoła bez litości obnażył cyfrowe nierówności w amerykańskim społeczeństwie, nic zatem dziwnego, że pojawił się ruch głoszący, że znaleźliśmy się we wprost wymarzonym momencie na reformę, która przeniosłaby w końcu amerykańską szkołę w XXI w. Na fali ratowania kraju szybki internet oraz laptopy dla uczniów można by sfinansować z zapomogi kryzysowej, na którą rząd już przeznaczył 1,8 bln dol., a zanosi się, że federalnej pomocy będzie więcej. Szkolnictwu skapnęło z tego 31 mld dol. Czy reforma jest więc tylko kwestią czasu? Bynajmniej. Pomimo apeli Partii Demokratycznej w żadnej z dotychczasowych ustaw pomocowych nie pojawił się zapis, by choć część tej kwoty przeznaczyć na szkolne komputery i internet. Krajowy Związek Edukacji nie ma wątpliwości, że pieniądze pójdą na równoważenie cięć w szkolnych budżetach finansujących sprawy najbardziej podstawowe: pensje dla nauczycieli, opłaty za prąd i wodę czy dożywianie uczniów. Lokalne władze, odpowiedzialne w USA za prowadzenie szkół, już bowiem takie cięcia zapowiedziały.

Chaos dziwi, bo stawianie czoła nieprzewidzianym sytuacjom i edukacja na odległość akurat Ameryce nie powinny być aż tak obce. Niektóre jej rejony, np. Florydę, regularnie nawiedzają klęski żywiołowe i tamtejsze kuratoria mają plany realizowania celów edukacyjnych w nietypowych warunkach. Czy nie można było wprowadzić tych rozwiązań w całym kraju? Wyjaśnienie dał raport opublikowany przez Michigan State University. „Żaden stan nie był przygotowany, żeby szybko i sprawnie przenieść edukację na platformę online oraz wyposażyć uczniów w potrzebne do takiej nauki narzędzia – piszą jego autorzy. – Zamiast tego cały ciężar zmian zrzucono na barki samorządów i kuratoriów. Wytworzył się chaos, a jego ofiarą padły zwłaszcza dzieci młodsze; niektóre stracą w związku z tym nawet cały rok nauki”.

Dostępu do zdalnej szkoły nie ma co piąty uczeń w Kalifornii, co trzeci w Arizonie i w Ohio i większość uczniów na Alasce.

To wyjątkowo niedobre wieści dla kraju, który pomimo wysiłków i największych na świecie nakładów finansowych na edukację publiczną od pół wieku nie odnotował poprawy w wynikach nauki (testy PISA), a wyniki osiągane przez uczniów z biedniejszych rodzin lecą na łeb na szyję. Jeśli już było źle, z czym przyjdzie nam się zmierzyć teraz? „New York Times” wyszedł wręcz z tezą, że po powrocie uczniów do szkolnych ławek będziemy mieli do czynienia ze „straconą generacją COVID-19”.

Podsumowując rozważania o zdalnej szkole *made in America*, warto przytoczyć słowa gubernatora stanu Nowy Jork. Andrew Cuomo powiedział: – Jako państwo jak najbardziej mamy możliwości zapewnić naszym dzieciom dostęp do edukacji w każdych warunkach, zwłaszcza przy dzisiejszych technologiach. Problemem jednak są wybory dokonywane przez nas jako społeczeństwo nie tylko w sferze edukacji, ale przecież i w wielu innych, takich jak dostęp do tańszych mieszkań czy opieki medycznej. Nie stawiamy człowieka i jego potrzeb na pierwszym miejscu. Za ważniejsze uważamy gospodarkę i pieniądz. Płacimy za to tragicznie wysoką cenę. Chciałbym wierzyć, że ta pandemia nas otrzeźwi, ale nie jestem optymistą.

My jednak pozostańmy optymistami i z osądem, ile naprawdę odebrała nam zdalna szkoła, poczekajmy przynajmniej do końca pandemii. A nuż okaże się, że Kasandra jednak się pomyliła? Zbyt wiele stresu naraz nie pomaga nikomu.

Eliza Sarnacka-Mahoney

NAGRODA SAMORZĄDOWA
im. NORBERTA BARLICKIEGO
za rok 2020

Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska informuje, że uruchomiona została edycja Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego w roku 2020.

Nagroda jest przyznawana osobom fizycznym i prawnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce.

Osoby fizyczne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- samorząd miejski,
- samorząd powiatowy,
- samorząd województwa,
- całokształt działań na rzecz samorządu terytorialnego.

Osoby prawne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- jednostka samorządu terytorialnego,
- organizacja pozarządowa,
- firma przyjazna samorządowi terytorialnemu.

Zgłoszenia kandydatur można składać do 30 czerwca 2020 r., pocztą na adres: Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska, ul. Czackiego 7/9, II piętro, 00-043 Warszawa lub elektronicznie na adres: zarzad@stowarzyszeniero.pl.

Nagroda zostanie przyznana przez kapitułę pod przewodnictwem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się pod koniec 2020 r.

Stowarzyszenie Rzeczpospolita Obywatelska

Jan Kazimierz Czubak
Sekretarz Zarządu
Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska

eprasa.pl 2364728ccd

Beata Dżon-Ozimek

Austria wolna od węgla

17 kwietnia 2020 r. skończyła się epoka węglowa w austriackiej energetyce

Elektrociepłownia Mellach (na zdjęciu) przez 34 lata dostarczała ciepło i prąd do stolicy Styrii, Grazu. Gmina Fernitz-Mellach, która wielokrotnie była uznawana za najpiękniejszą „wieś kwiatów" w Europie, teraz kojarzy się z ważnym dla środowiska naturalnego wydarzeniem – ostatecznym rozstaniem z węglem jako źródłem energii. 17 kwietnia 2020 r. zakończyła się epoka węglowa w austriackiej energetyce.

Niespełna dziewięciomilionowe państwo zgodnie z koalicyjnymi zapisami rządu ludowców z ÖVP i Zielonych planuje osiągnąć do 2030 r. całkowitą energetyczną neutralność klimatyczną. Będzie wykorzystywać odnawialne i, co ważne, miejscowe źródła energii. Zgodnie z rezolucją Parlamentu Europejskiego ponad 10 krajów Unii ogłosiło swoje plany odejścia od węgla. Austria jest ósmym, który to zrealizował.

Celem proekologicznej reorganizacji gospodarki jest także niezależność energetyczna kraju. Rocznie Austria na import ropy, gazu i węgla wydawała ok. 10 mld euro. Nowa strategia ma w dłuższej perspektywie przynieść stabilnie niskie ceny, poprawę klimatu i czystsze powietrze.

– Zamknięcie ostatniej elektrowni węglowej jest historycznym momentem. Austria wreszcie odchodzi od węgla jako źródła energii i robi kolejny krok w kierunku odejścia od paliw kopalnych – cieszy się ministra ochrony klimatu z Zielonych, Leonore Gewessler. Sekretarz stanu w Ministerstwie Środowiska, Magnus Brunner z ÖVP, również nie kryje dumy i radości: – Austria robi krok w kierunku neutralności klimatycznej. Gospodarka po raz kolejny okazuje się silnym partnerem w walce ze zmianami klimatu.

Niezależnie od wielkich słów Austria pokazuje, że dążenie do zrównoważonej gospodarki jest realne przy konsekwentnej polityce i zaufaniu. Nie przypadkiem partia Zielonych wróciła do gry politycznej, jej udział w formułowaniu celów klimatycznych jest kluczowy. Elektrociepłownia Mellach w 2016 r. ogłosiła zakończenie korzystania z węgla w 2020 r. i zobowiązanie zrealizowała terminowo, pomimo burz politycznych i zmian rządów. Teraz stanie się centrum innowacji – zbudowano tu pilotażową instalację do elektrolizy wysokotemperaturowej i eksploatacji ogniw paliwowych, w której energia elektryczna jest wykorzystywana do produkcji wodoru, a ten z kolei może być przekształcany w metan. Testowane są również systemy magazynowania akumulatorów o dużej pojemności, np. dla ultraszybkich stacji ładowania w e-mobilności. Może na krótko włączyć się do krajowego wsparcia sieci elektroenergetycznej wspólnie z sąsiadującą z nią elektrownią gazową. Mellach pozostaje ważnym punktem na drodze od „starej do nowej gospodarki".

– Przyszłość należy do odnawialnych źródeł energii, a Verbund będzie nadal znacząco przyczyniał się do osiągnięcia celu 100% zielonej energii elektrycznej w nadchodzących latach – mówi Wolfgang Anzengruber, dyrektor generalny firmy dostarczającej energię na terenie Austrii i Niemiec.

W ciągu ostatnich 15 lat zostały w Austrii zamknięte wszystkie elektrownie węglowe, takie jak Dürnrohr, Voitsberg, Zeltweg lub St. Andrä, a starsze elektrownie na paliwo naftowe, np. Neudorf-Werndorf lub Pernegg, zostały lub zostaną zdemontowane. – Ludzie w naszym kraju mogą odetchnąć z ulgą. Wszyscy skorzystamy na czystszym powietrzu i lepszym zdrowiu. Teraz jest czas, aby bardziej zdecydowanie przechodzić na 100% energii odnawialnej we wszystkich obszarach – podkreśla Johannes Wahlmüller, rzecznik organizacji ekologicznej Global 2000. Christoph Wagner, prezes EEÖ, Erneuerbare Energie Österreich, organizacji zrzeszającej instytucje i firmy zajmujące się zrównoważoną gospodarką energetyczną, uważa, że do ogłoszenia neutralności klimatycznej w 2030 r. droga jeszcze długa. Ale zaznacza, że właśnie w obliczu zbliżającego się kryzysu gospodarczego inwestycje w energię odnawialną są nie tylko gwarancją energii przyjaznej dla klimatu, lecz także miejsc pracy przyszłości.

Austria jest już wolna od węgla. A Polska? ■

FOT. VERBUND

eprasa.pl 2364728ccd

Jak Czesi widzą Polaków

Wizerunek do poprawy

Łukasz Grzesiczak

„Ostrawa – miejsce zbrodni" („Místo zločinu Ostrava"), najnowszy, 13-odcinkowy serial wyprodukowany przez Czeską Telewizję, opowiada o grupie policjantów, którzy mają spory kłopot z tym, że dowodzi nimi kobieta, mjr Ema Grodská. Serial reżyserują Dan Wlodarczyk, Jiří Chlumský i popularny Jan Hřebejk, którego polscy widzowie mogą pamiętać jako twórcę filmów „Czeski błąd", „Do Czech razy sztuka" i „Pod jednym dachem". Ostatni odcinek serii wyemitowano z końcem marca. Przy tworzeniu scenariusza zainspirowano się prawdziwymi śledztwami – twórcy współpracowali z policją kryminalną w Ostrawie – a większość ujęć kręcono w mieście i okolicy. Jeden z odcinków powstał podczas popularnego czeskiego festiwalu muzycznego Colours of Ostrava, inny opowiadał historię czeskiej turystki zamordowanej w Tunezji. Akcja jeszcze innego toczy się w Cieszynie i Czeskim Cieszynie.

Ostrawa znajduje się tuż przy granicy czesko-polskiej, nic więc dziwnego, że w serialu pojawiają się Polacy, w większości jednak w negatywnym kontekście. Co prawda, mężem mjr Grodskiej jest przystojny Polak, który budzi sympatię widzów, także wtedy, kiedy gotuje bigos, ale pozostali polscy bohaterowie wzbudzają mniej ciepłych uczuć. Polacy pojawiają się jako złodzieje samochodów sprzedawanych potem na Ukrainie, polski policjant pracujący pod przykryciem za nic ma kwestie bezpieczeństwa i ponad profesjonalizm stawia swoją słabość do płci przeciwnej. Kiedy ginie w Czeskim Cieszynie, w jego samochodzie policja znajduje oczywiście... różaniec. W korzystniejszym świetle ukazani są bohaterowie z Ukrainy, ci przynajmniej ciężko pracują na budowach.

Negatywny obraz Polaka w Czechach nie występuje jedynie w serialu. Czech Petr (imię zmienione) wynajmuje ostrawskie mieszkanie w serwisie Airbnb. Ma przyjaciół w Polsce, czasem wpadnie do nas na zakupy, bo w przeciwieństwie do wielu rodaków nie jest uprzedzony do polskiego jedzenia, ale sen z powiek spędzają mu nasi turyści. – Co z wami jest? Z turystami z Polski zazwyczaj są problemy. Demolują mieszkanie, po nocy budzą sąsiadów. Ciągle są na nich skargi – opowiada. I zastanawia się, czy w ogłoszeniu na Airbnb nie zastrzec, że oferta nie jest przeznaczona dla Polaków. Na razie w mieszkaniu zostawił wiadomość po polsku: „Zwracam się do naszych sąsiadów z prośbą o porządek, czystość i spokój w naszym domu. Ostatnio musieliśmy sobie poradzić z kilkoma przykrymi zdarzeniami. Problemy powodowane są głównie przez gości z Polski". Podobnej wiadomości w innym języku nie znajdziemy, choć – jak informuje Petr – zatrzymują się tu osoby niemal z całego świata.

Polscy turyści zaszli też za skórę obsłudze Muzeum Tatry w miejscowości Kopřivnice, ok. 30 km od Ostrawy. Wśród eksponatów znaleźć tu można dumę czeskiej motoryzacji – samochód Tatra T87, którym podróżnicy Jiří Hanzelka i Miroslav Zikmund objechali Afrykę i Amerykę Południową, kabriolet T57 czy czarną policyjną T603. W tym samym budynku na gości czeka wystawa poświęcona najsłynniejszemu czeskiemu biegaczowi długodystansowemu, Emilowi Zátopkowi. Na drzwiach muzeum znajduje się informacja tylko po polsku „dla zwiedzających i opiekunów grup wycieczkowych". Muzeum informuje, że nietrzeźwym wstęp surowo wzbroniony, i prosi, by turyści „nie przeszkadzali w zwiedzaniu innym" oraz by „bezwzględnie przestrzegać zakazu dotykania eksponatów". „Audiowizualny sprzęt nie jest do zabawy i próbowania, tylko do przekazywania wam informacji o eksponatach – jeżeli macie z nim problem, chętnie wam doradzą nasi pracownicy w recepcji", czytamy.

Dziś stereotyp pijaka polskich turystów w Ostrawie i jej okolicach nie dotyka, bo w dobie koronawirusa o turystyce nikt nie myśli. Za to na cenzurowanym znaleźli się pracownicy transgraniczni. O ich problemach pisaliśmy w PRZEGLĄDZIE (17/2020). Sprawą zajął się również portal Novinky.cz w tekście „Polscy pracownicy transgraniczni chorują w domu za czeskie pieniądze". Autor

eprasa.pl 2364728ccd

Polskie wyznanie nad Olzą i czeska odpowiedź łamią stereotypy.

zwraca uwagę, że większość zatrudnionych w czeskich firmach polskich pracowników, którzy wrócili do kraju przed groźbą kwarantanny, obecnie przebywa na zwolnieniach lekarskich. Opłacanych, dodajmy, przez ich pracodawców, a po 14 dniach – przez ČSSZ, czyli czeski ZUS. Sprawdzenie, czy warunki zwolnienia lekarskiego są przestrzegane, przy zamkniętych granicach nie jest możliwe.

Czesi zwracają uwagę, że Polacy zdecydowali się na zwolnienia lekarskie, mając do wyboru również usprawiedliwioną nieobecność w pracy z winy pracodawcy, kiedy to mają prawo do co najmniej 60% wypłaty brutto. Na zwolnieniu lekarskim otrzymują tyle samo. „Przerwa w pracy nie nastąpiła z winy pracodawcy, lecz z winy Polski. Proponowaliśmy im pracę, a oni odmówili", komentuje dla Novinky.cz Jiří Hlavatý, dyrektor i właściciel firmy Juta, produkującej materiały tekstylne. Czeski portal podkreśla, że odejście z pracy Polaków, którym Juta gwarantowała bezpłatne zakwaterowanie, ma ogromny wpływ na możliwości produkcyjne – z dnia na dzień produkcja spadła o 70%. Wybierając wcześniejszy wyjazd i zwolnienie lekarskie, Polacy uniemożliwili też pracodawcy ubieganie się o zasiłek od państwa. „Gdyby choć wrócili do Polski w momencie, kiedy podlegali już obowiązkowi kwarantanny, Juta dotowałaby ich pobyt na kwarantannie w Polsce i mogłaby dostać na to wsparcie od państwa", dodaje kierowniczka działu kadr, Soňa Darvašová.

– To nic nie mówi o stereotypie Polaka w Czechach. To po prostu doświadczenia pojedynczych właścicieli mieszkań na wynajem w Ostrawie, pracowników jednego muzeum i kilku zakładów pracy. Nie można też doszukiwać się w nich reminiscencji historycznych – mówi prof. Dušan Janak, mieszkający w Ostrawie historyk z Uniwersytetu Śląskiego w Opawie. Jego zdaniem w opisywanych zdarzeniach nie ma sensu dopatrywać się konsekwencji wojny polsko-czechosłowackiej sprzed stu lat, udziału polskich żołnierzy w inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w 1968 r. czy echa antypolskiej propagandy komunistycznej w Czechosłowacji. – Warto pamiętać, że serial jest inspirowany prawdziwymi wydarzeniami. W Ostrawie działały gangi, które kradły samochody i wywoziły je do Polski – przypomina. Dušan Janak zwraca uwagę, że twórcami serialu są przede wszystkim mieszkańcy Pragi. – Równie dobrze mógłbym się skarżyć jako mieszkaniec Ostrawy, że moje miasto pokazywane jest przez pryzmat zbrodni i zniszczonych fabryk. Dlatego za obraz Polaków w serialu odpowiadają przede wszystkim prażanie, a nie ostrawianie – zaznacza. I dodaje, że w Ostrawie jest świadkiem sympatii Czechów wobec Polaków. – W ostatnich latach wzrosła w Ostrawie liczba turystów z Polski. Widać ich na ulicach, w zoo, w okolicznych muzeach. Przy takiej liczbie odwiedzających zawsze znajdą się czarne owce.

Co z wami jest? Z turystami z Polski zazwyczaj są problemy. Ciągle są na nich skargi.

Profesor wskazuje poza tym, że za pośrednictwem serwisu Airbnb mieszkania w centrum miasta wynajmują osoby, które przyjeżdżają się napić na pełnej knajp ulicy Stodolní. Trudno, by goście po całonocnej imprezie byli potulni jak baranki. – Polacy piją? A Czesi nie? – pyta.

Historyk broni jednak czeskich pracodawców, których z dnia na dzień zostawili polscy pracownicy. – Trudno uwierzyć, że nagle tylu się rozchorowało. Tekst w portalu Novinky.cz napisał dziennikarz lewicowej gazety „Pravo". To realny problem, z jakim spotkali się właściciele zakładów przy polskiej granicy, a nie prawicowy ekstremizm – wyjaśnia. Jego zdaniem nie zaważy to w znaczący sposób na przyszłości polskich pracowników transgranicznych w Czechach. – Polacy chodzą za pracą do Karviny czy Trzyńca już 130 lat. Są tam potrzebni i nadal będą. Choć ta sytuacja może zniechęcić czeskich pracodawców do pracowników z Polski.

Prof. Janak przypomina także dowody obustronnej sympatii już po wybuchu epidemii. W Cieszynie na polskim brzegu Olzy zawisł transparent: „Stýská se mi po Tobě Čechu" („Tęsknię za Tobą, Czechu"). „Ruch przygraniczny odbywający się bez przeszkód i kontroli nagle został ucięty. Chcemy wyrazić tęsknotę za niespodziewanie ograniczoną możliwością kontaktu z czeskimi przyjaciółmi", komentowali pomysłodawcy akcji. Czesi szybko odpowiedzieli – po drugiej stronie Olzy pojawił się napis: „I ja za tobą, Polaku".

– To prawda, że Czesi często skarżą się na głośne zachowanie Polaków. Jednak nasze badania na temat stosunku do sąsiadów pokazały, że wytykają to wszystkim, w tym Niemcom czy Austriakom, którzy stereotypowo nie kojarzą się z takim zachowaniem – mówi dr Alicja Leix, psycholożka z Brna, badająca stosunki polsko-czeskie. – Warto pamiętać, że ocena jest źródłem informacji nie tylko o ocenianym, ale i oceniającym. Nie twierdzę jednak, że polscy goście w Ostrawie zachowują się zawsze przyzwoicie i są

eprasa.pl 2364728ccd

„Ostrawa – miejsce zbrodni". Serialowy mąż mjr Emy Grodskiej, przystojny Polak, budzi sympatię widzów.

zawsze trzeźwi. Zresztą stereotyp Polaka jako osoby nietrzeźwej jest mocno zakorzeniony w Czechach i pewnie żył będzie jeszcze długo – uzupełnia.

Psycholożka zwraca uwagę, że Ostrawa leży blisko polskiej granicy. – Tutaj turystów z Polski jest po prostu bardzo wielu, zapewne tym można, przynajmniej częściowo, tłumaczyć apele kierowane do Polaków. Moi znajomi z Brna, którzy działają w branży turystycznej, a szczególnie ci, którzy wynajmują mieszkania w serwisie Airbnb, narzekają na zachowanie turystów z Wielkiej Brytanii. Ci stolicę Moraw, obok Pragi, upatrzyli sobie na miejsce weekendowych wypadów alkoholowych i to oni są tu na cenzurowanym jako wyjątkowo widoczni.

Alicja Leix jest przekonana, że wspomniane gesty sympatii mogą się przyczynić do poprawy relacji polsko-czeskich: – Nawet jeżeli za inicjatywą stoi grupka aktywistów, może ona wpłynąć na przekonania zwykłych mieszkańców, którym druga strona często jest obojętna. Jeżeli obserwuje się coś, o czym wszyscy dookoła mówią pozytywnie, nie zostaje to bez wpływu na nasze przekonania.

Zdaniem dr Leix ważne jest, że czeskie media, które często pisały o Polsce negatywnie, tym razem przedstawiły akcję w pozytywnym świetle. Dotyczy to zarówno zachowania Polaków, jak i odpowiedzi Czechów. A to spora zmiana.

Psycholożka tłumaczy też, skąd – być może – biorą się negatywne głosy niektórych Czechów na temat polskich pracowników transgranicznych. – W obliczu walki z koronawirusem każdy kraj ma swoje najważniejsze tematy dyskusji. W Czechach dużo się mówi o wsparciu w wysokości 25 tys. koron czeskich (ok. 4250 zł) dla przedsiębiorców i osób samozatrudnionych. Jest ono uzależnione od wielu czynników. Kiedy w grę wchodzą pieniądze, często sentymenty idą na bok. To dlatego część Czechów może dziś patrzeć podejrzliwie na polskich pracowników: jeżeli mnie nie udało się otrzymać wsparcia, dlaczego dostali je Polacy?

Stereotyp Polaka w Czechach może słabnąć pod wpływem konfrontacji z własnymi doświadczeniami.

Nawet utrwalone stereotypy topnieją pod wpływem osobistych doświadczeń z wymian studenckich.

– W ostatnich latach Polska staje się dla Czechów coraz atrakcyjniejsza, w tym pod względem turystycznym. W Polsce poznają różnych ludzi, a ich wyobrażenie o kraju i jego mieszkańcach zmienia się dzięki temu na bardziej realistyczne – twierdzi psycholożka. Zgadza się, że istnieje niebezpieczeństwo utwierdzania stereotypów np. przez seriale, ale bezpośrednie kontakty mogą dużo zdziałać. – Widzowie porównują to, co obejrzeli w telewizji, ze swoimi wspomnieniami ze spływu kajakowego na Mazurach. Badania pokazują, jak nawet głęboko zakorzenione stereotypy na temat Polaków topnieją pod wpływem osobistych doświadczeń z wymian studenckich – uważa dr Leix.

– Może jestem szczęściarzem, ale przez niemal 15 lat mieszkania w Cieszynie nie spotkałem się z bardziej znaczącymi negatywnymi opiniami na temat Polaków. Nie oznacza to jednak, że one nie istnieją – mówi Stefan Mańka, który zajmuje się polsko-czeską współpracą transgraniczną i jest pomysłodawcą baneru „Tęsknię za Tobą, Czechu". – Na co dzień pracuję w biurze z Czeszką, która sama nauczyła się polskiego, i muszę przyznać, że efekty są imponujące. Ja w podobny sposób nauczyłem się czeskiego. Śmiejemy się, że ona nie jest stereotypową Czeszką, a ja stereotypowym Polakiem. Zamiast karmić stereotypy o nas samych, po prostu je weryfikujemy i prostujemy.

Stefan Mańka zaznacza, że wśród jego znajomych są zarówno rodowici mieszkańcy Cieszyna i Czeskiego Cieszyna, jak i osoby z Pragi, Brna czy Ołomuńca. – Jak już się z nimi spotkam, szczególnie z tymi z głębi Czech, często rozmawiamy o tym, czym się różnimy, i – co ciekawe – częściej każdy z nas mówi o wadach swoich rodaków. Wiele osób pewnie miało kiedyś średnio przyjemne odczucie, kiedy patrzyło na zachowanie turystów z Polski i wstydziło się za nich. Podobnie mają moi znajomi z Czech ze swoimi rodakami – tłumaczy. I dodaje: – Od kilku lat jeździmy na wakacje polsko-czeską grupą. Najpierw były to wyjazdy do Chorwacji, z czasem jednak zaczęliśmy jeździć nieco dalej. Dlaczego? Bo Chorwacja stała się kierunkiem wakacyjnych podróży i dla Polaków. W skrajnych przypadkach ja wstydziłem się za swoich rodaków, a Czesi za swoich.

•

Kiedy znajomemu z Ostrawy przesłałem zdjęcie informacji, którą dla polskich gości zostawił właściciel mieszkania wynajmowanego na Airbnb, szybko dostałem odpowiedź: „Kiedyś moi znajomi z Czech zobaczyli w norweskich górach kartkę po norwesku, angielsku i czesku. Byli z tego bardzo dumni, dopóki jakiś Norweg nie wytłumaczył im, że to właśnie Czesi najczęściej nie przestrzegają zasad bezpieczeństwa w norweskich górach".

Łukasz Grzesiczak

FOT. PAP/CTK (2), PROFIMEDIA

eprasa.pl 2364728ccd

Oko w oko

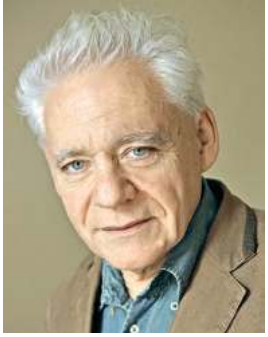

Tomasz Jastrun

Czy leci z nami pilot?

Dzisiaj w naszym ogrodzie obserwowałem, jak synogarlica z pobliskiego drzewa obrywała suche gałązki i fruwała z nimi, by budować gniazdo. Krążyła wytrwale tam i z powrotem. Robiła to w milczeniu, jakże jednak było ono wymowne. I po raz pierwszy od czasów dzieciństwa pomyślałem, że może jednak Bóg istnieje. W dzieciństwie był on cielesny, więc naiwny, teraz poczułem istnienie rozumnej kosmicznej siły. Ale to była tylko chwila. Ptak już się nie pojawił, pewnie skończył budować gniazdo, i mój Bóg też odleciał.

Ale nawet gdybym uwierzył, straciłbym wiarę po lekturze książki, którą sobie wybrałem. Autorem jest Michel Onfray. „Dekadencja. Życie i śmierć judeochrześcijaństwa", książka potężna, też objętościowo. I fascynująca. Ogromna wiedza autora, przenikliwość, błyskotliwy styl. Dekonstrukcja mitu religii, „religia jest zawsze zbiorową halucynacją". Właśnie czytam o wpływie pokraczności i impotencji św. Pawła na naszą obyczajowość, na stosunek chrześcijaństwa, a więc naszej cywilizacji, do seksu i do kobiet. To wszystko rzucone w puencie na tło islamu, który wedle autora ma większą duchową moc niż nasza dogorywająca cywilizacja, zdominuje nas zatem.

Skończyłem też czytać nową biografię Leonarda da Vinci. Wiedziałem o nim sporo, ale jestem oszołomiony. Połączenie ścisłego umysłu z geniuszem artystycznym. Nie był jednak doskonały, nikt nie jest, nawet Bóg, jeśli stworzył ułomnego człowieka. Nie miał specjalnie głowy do matematyki, nie był również poetą. A muzykiem już tak. Genialny malarz, architekt, rzeźbiarz, inżynier, anatom, astronom, wizjoner. Mimo to zdarzyło mu się palnąć zabawne głupstwo. Zanotował: „Mężczyzna odbywający stosunek w sposób agresywny i nie dość łagodny, spłodzi dzieci skore do gniewu i niegodne zaufania. Jeśli jednak stosunkowi między kobietą i mężczyzną towarzyszyć będą obopólna miłość i pożądanie, to poczęty potomek będzie nad wyraz inteligentny, dowcipny, żywy i pełen uroku". Był więc człowiekiem, czasami się mylił. A ówczesna Florencja, Mediolan, Rzym – jakby Bóg dotknął tych miejsc złotym palcem.

•

W siedzibie Halo Radia na Marszałkowskiej, tuż obok placu Unii Lubelskiej. To internetowe radio założono pół roku temu jako odpowiedź na zawłaszczanie mediów przez PiS. Wymyślił je Kuba Wątły, cały w tatuażach, duch niepokorny, niewyparzona gęba, przez wiele lat co środa byłem gościem jego programu w Superstacji. Stacja jednak, podobnie jak Polsat, do którego należy, została spacyfikowana przez PiS. I Kubę wylano. Tak powstało Halo Radio. Stałem więc z Wątłym na balkonie z widokiem na plac Unii Lubelskiej i nagle wielkie wzruszenie. Kraina mojego dzieciństwa była niedaleko, a ten plac był ważnym miejscem na mapie mego dziecięcego świata. Drży pajęczyna wspomnień, tkana od lat 50. Naprzeciw widzę budynek straży pożarnej, pamiętam niegdysiejszą ekscytację tym pożarowym miejscem. Tuż obok na Marszałkowskiej brama z czarnego marmuru, tu chodziłem do dentystki, pani Polakowej. To bardzo wczesne i groźne wspomnienie (miałem kiedyś jej powiedzieć: „A babcia mówi, że pani jest bardzo złą dentystką"). Bieleje wysoki, elegancki biurowiec z centrum handlowym, wzniesiony w miejscu Supersamu (z tym pierwszym sklepem samoobsługowym w Polsce, jaka to była sensacja, też mam wiele wspomnień). Pamiętam, jak Stefan Kuryłowicz mówił mi, że właśnie zaprojektował ten nowy budynek. Nie doczekał jego realizacji, zginął, lecąc swoim samolotem nad Hiszpanią (a opowiadał mi, że latać bezpieczniej, niż jeździć samochodem).

Prezes postanowił, że jego marionetka musi wygrać wybory za wszelką cenę. A tu bieda, bo Gowin się zbiesił.

•

Prezes postanowił, że jego marionetka musi wygrać wybory prezydenckie za wszelką cenę. A tu bieda, bo Gowin się zbiesił, ciekawe, co z tego wyniknie. Nic lub bardzo wiele. Na Onecie zaś dobry tekst Łukasza Warzechy, cytuję, bo on był do niedawna pisowiec. Pyta: „Czy leci z nami pilot? Wątpię. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy w sytuacji, która rządzących przerosła pod wieloma względami. Nie radząc sobie, coraz częściej są w stanie jedynie reagować na najbardziej bieżące polityczne potrzeby własnej partii, na każdym kroku gwałcąc logikę, zdrowy rozsądek i prawa obywateli, a pod względem prawnym nie stosują już nawet drogi na skróty, lecz działają najzwyczajniej poza obowiązującym prawem. Idziemy na dno". Ale nic z tego nie rozumie Polska parafialna, przecież przystojny ten Duda, jak na niego nie głosować, a prezes też śliczny jak z obrazka. Pięknością wygrają.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2364728ccd

Szwecja dopasowała się do sytuacji

Szwedzi nie byli przygotowani do walki z wirusem, a nie chciano siać paniki, stąd strategia małych ograniczeń

DR N. MED. ANNA BARAN
– psychiatra z Poradni Psychiatrii Dorosłych w Szpitalu Blekinge w Karlshamn w Szwecji

Rozmawia Barbara Jagas

Widziałam w internecie filmiki ze Szwecji – ludzie siedzą na kocach w parkach i na skwerach. To wolność w epoce koronawirusa w porównaniu z resztą świata.

– U nas rzeczywiście wszystko od początku było otwarte, działały bary, kawiarnie i wspomniane zieleńce.

Jakie zmiany są teraz?

– Zgromadzenia ograniczone są do 50 osób i prosi się ludzi, aby utrzymywali między sobą odstęp 1,5-2 m. Przypominają o tym tabliczki informacyjne w sklepach. Poza tym wszystko jest czynne: teatry, kina, baseny itp.

Dlaczego Szwecja się wyłamała z ogólnoświatowych obostrzeń?

– Szwedzi nie byli przygotowani do walki z wirusem, a nie chciano siać paniki, opracowano więc strategię niewielkich ograniczeń w kontaktach międzyludzkich. Zaobserwowano także, że większość umierających z powodu wirusa to ludzie po osiemdziesiątce, zazwyczaj bardzo schorowani. Szwecja dopasowała się po prostu do sytuacji. Duża w tym zasługa ekspertów. Epidemiolodzy z Urzędu Zdrowia Publicznego zdecydowali, że drobne ograniczenia dadzą lepszy efekt długoterminowy. Czy mieli rację, pokaże przyszłość.

Szwedzi potrafią wyciągać wnioski z tego, co widzą, i na nich budować własne sposoby reagowania.

– To prawda.

A może skoro tu ludzie prędzej zapadają na depresję ze względu na krótkie dni, władze uznały, że izolacja byłaby dodatkowym obciążeniem? Zimą powszechne są lampy przeciwdepresyjne, pełno ich w oknach.

– Mają swoją tradycję. W dawnych czasach takie lampy wskazywały drogę podróżnym w czasie nocy polarnych. Do dziś umieszcza się je w oknach, co jest zabiegiem nie tylko obyczajowym, ale i terapeutycznym.

Strach przed wirusem nie zamknął ludzi w domach. A przecież mogliby po prostu przestać się widywać choćby z lęku przed zakażeniem.

– Może być też odwrotnie – jeśli ludzie odczuwają niepokój, a jest on wszechobecny, bardziej garną się do siebie, szukają towarzystwa.

Częściej się spotykają, by rozładować lęk?

– Tak właśnie jest, ludzie zaczęli szukać towarzystwa, bo to im daje poczucie bezpieczeństwa. Wielu moich kolegów zauważyło ten paradoksalny efekt epidemii. Po prostu społecznie więcej się komunikujemy w czasach koronawirusa. Owszem, staramy się przestrzegać pewnych zasad izolacji, zalecanych przez epidemiologów osobom w starszym wieku, pilnujemy tych odstępów. Ale chcemy częstszych kontaktów i dążymy do nich.

Może stają się one nawet bardziej pogłębione?

– Tak, bo gdy człowiek się boi, chce być z kimś, a nie sam. Jednak podkreślam, Szwedzi spotykają się w gronie do 50 osób. Wszelkie święta będą więc teraz mniej huczne, tak jak 30 kwietnia, czyli Noc Walpurgii, gdy Szwedzi zwykle rozpalali wielkie ogniska i tańczyli wokół nich, świętując koniec zimy i nadejście wiosny.

Według danych w Szwecji jest więcej zakażonych wirusem i więcej zgonów z tego powodu niż np. w Polsce. W Szwecji 18 177 zakażonych i 2192 zgony, w Polsce – 11 273 zakażonych, zmarły 524 osoby.

– Szwedzi ujmują w statystykach zgonów z powodu COVID-19 wszystkie osoby, które były zakażone koronawirusem, łącznie z tymi, które zmarły z innego powodu, np. zawału serca, udaru itp. W Polsce jest inaczej, tutaj, jak i w innych krajach europejskich, postępuje się zgodnie z zaleceniami WHO, która uważa, że należy rejestrować zgony z powodu koronawirusa tylko wtedy, gdy są one nim wywołane.

Czy wzrosła liczba osób potrzebujących pomocy psychologicznej i psychiatrycznej?

– Zgłasza się do nas mniej osób, ale prawdopodobnie jest to związane z lękiem przed wizytami w przychodni.

Dlatego ludzie przenoszą się do internetu, gdzie można znaleźć pomoc i zachować anonimowość. Pani jest współtwórczynią platformy www.e-llipse, której zadaniem jest zapobieganie samobójstwom. Miała służyć studentom, ale teraz może z niej korzystać każdy.

– Stworzyliśmy tam specjalne miejsce, gdzie mogą pisać osoby, które czują jakikolwiek niepokój związany z COVID-19 i chciałyby tym podzielić się z innymi. Bardzo wiele osób nie tylko boi się samego wirusa, ale także przeżywa trudne chwile związane z tym, że np. nagle zostały bez środków do życia – tracą pracę lub same muszą kogoś zwolnić, innym padają

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 2364728ccd

26 kwietnia br. Codzienne życie w Sztokholmie wygląda właściwie tak samo jak przed pandemią.

firmy. To wywołuje burzę emocji, z którymi nie wszyscy umiemy sobie poradzić, a nieraz doprowadza to do poważnych zaburzeń psychicznych, depresji itp. Poprzez naszą platformę umożliwiamy takim osobom podzielenie się swoimi historiami i przeżyciami. Działa to w dwie strony – opowiadający o sobie mogą dać upust emocjom, a ci, którzy to później czytają lub oglądają, poprzez utożsamienie się poczują ulgę, że nie są sami. Mogą też skorzystać z podpowiedzi konkretnego działania, które komuś pomogło.

Dzieląc się tym, co trudne, pomagamy sobie i dajemy wsparcie innym, którzy będą to czytali.

– Temu służy właśnie to specjalne miejsce pod nazwą Koronawirusowe Wyzwanie Kryzysowe, które uruchomiliśmy dwa tygodnie temu (platforma działa w różnych językach, po angielsku to Coronavirus Crisis Challenge). Nie trzeba się rejestrować na stronie. Wszystko jest tam anonimowe, w formularzu, który należy wypełnić, podajemy tylko ogólne informacje: z jakiego jesteśmy kraju i miasta, ile mamy lat, kim jesteśmy z zawodu. Ale to jedynie na użytek przyszłych badań – europejskiego programu zapobiegania samobójstwom i poradnika, który ma zostać stworzony na podstawie doświadczeń osób, które opisały swoje historie.

Czemu ma posłużyć platforma w przyszłości?

– Docelowo ma odpowiadać na potrzeby i trudności psychologiczne studentów. W tej chwili, dostosowując się do sytuacji, zaproponowaliśmy korzystanie z platformy wszystkim chętnym i potrzebującym. Można pisać o tym, jak się czujemy w czasach zarazy, co przeżywamy w związku z izolacją i innymi problemami – z utratą pracy lub z jej brakiem albo z tym, że żona odeszła, albo że obawiamy się o nasze zdrowie i zdrowie osoby bliskiej czy boimy konsekwencji jakiegoś naszego działania lub jego braku. Nierzadko źle się z tym czujemy, ale wstydzimy się o tym mówić. Jedni ludzie uwalniają się od przykrych uczuć, dzieląc się nimi, drudzy utożsamiają się z tymi historiami, co też pomaga.

Jak to działa? Byłam w szpitalu w odwiedzinach u 80-letniej osoby po udarze mózgu. Mówiła: „Chce mi się pić, pić". Pacjentka nie była w stanie sięgnąć po stojącą obok szklankę wody, chociaż była sprawna fizycznie. Po prostu nie wpadła na to. Z kolei mój tata niedawno w szpitalu miał silne duszności. Ale powiedział o tym lekarzowi, dopiero gdy mama poradziła mu to przez telefon. Sam później się sobie dziwił, że o tym nie pomyślał, chociaż to oczywiste. Podobnie jest z osobami w kryzysach samobójczych. W najczarniejszym momencie nie widzą możliwości, które są naturalne dla innych. Dlatego tak ważna jest nasza podpowiedź, historia, doświadczenie wskazujące, że można postąpić inaczej. I tej strategii samopomocowej trzymamy się w Ellipse.

Poszerzamy w ten sposób świadomość, mówiąc językiem psychologicznym, która w depresji czy lęku jest przecież zawężona?

– Tak, podajemy takiej osobie szklankę z wodą. Ten drobny gest wystarcza, aby wyprowadzić ją ze stanu „chwilowej bezradności" i często nawet uratować jej życie. ■

eprasa.pl 2364728ccd

Piotr Dobry

Baryton na balkonie

Uziemieni w domach artyści robią to, co potrafią najlepiej – śpiewają

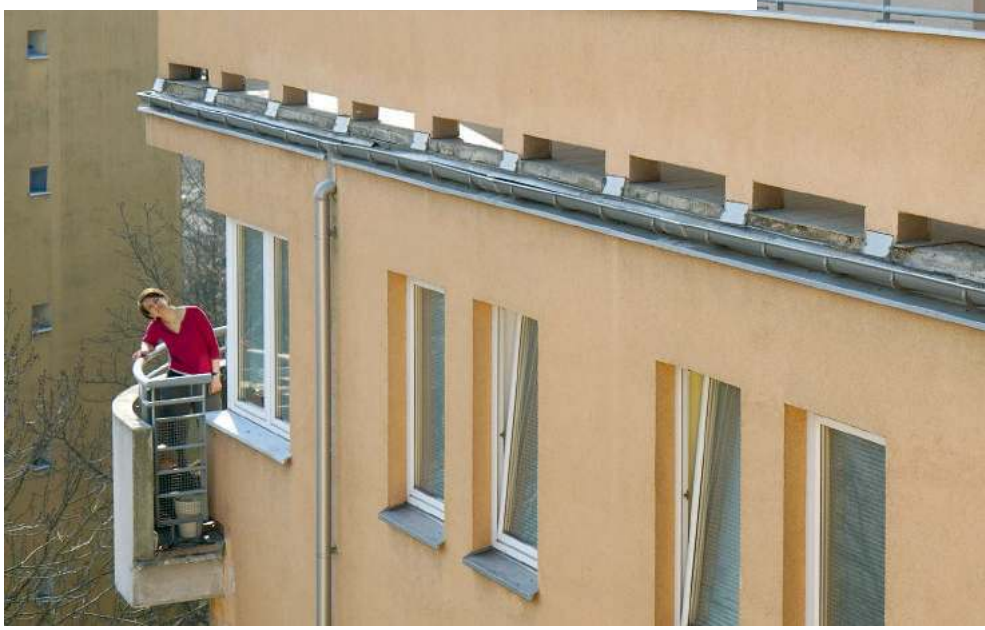

Ośmiogodzinny koncert „One World: Together at Home" przejdzie do historii. I to paradoksalnie dzięki temu, z czym żaden szanujący się show muzyczny nie powinien się kojarzyć, czyli partyzanckim warunkom realizacji, brakowi profesjonalnego nagłośnienia, chałupniczej (dosłownie!) scenografii. Nie chodziło bowiem o walory artystyczne.

Bezprecedensowe przedsięwzięcie *online*, w które zaangażowały się dziesiątki gwiazd, głównie pierwszej wielkości, nie miało na celu wyłącznie pomocy charytatywnej. Owszem, realne pieniądze dla służby zdrowia także się liczyły, ale inicjatywa pod auspicjami WHO i Global Citizen miała być symbolicznym okazaniem wsparcia i wdzięczności medykom na pierwszej linii frontu w walce z epidemią.

Uziemieni w domach artyści robili to, co potrafią najlepiej – śpiewali. I dodawali otuchy sobie nawzajem oraz fanom przed monitorami pod każdą szerokością geograficzną. „Jestem taka szczęśliwa, że stanowimy jeden świat. Myślę o nich każdego dnia, modlę się za nich każdego dnia", mówiła ambasadorka wydarzenia Lady Gaga o personelu medycznym. Paul McCartney przypominał, że jego matka była pielęgniarką. „Powiedzmy naszym liderom, że potrzebujemy ich w celu wzmocnienia systemów opieki zdrowotnej na całym świecie, aby taki kryzys nigdy się nie powtórzył", apelował. Z kolei w jednym z występów Jimmy'ego Fallona i grupy The Roots pojawiły się filmiki z tańczącymi pracownikami służby zdrowia. To widowisko internetowe było najbardziej spektakularne, choć niejedyne podobne w dobie kryzysu.

Wcześniej taką akcję, tyle że o zasięgu lokalnym, zorganizowała Fundacja TVN Nie Jesteś Sam. W ramach wydarzenia #koncertdlabohaterów ze swoich domów zaśpiewali Maryla Rodowicz, Beata Kozidrak czy Paweł Domagała. Fanom nie przeszkadzały problemy techniczne, fatalny dźwięk ani rozpikslowany obraz. Zebrano 4 mln zł na zakup sprzętu medycznego.

Artyści występują w szczytnym celu także indywidualnie. Włoski tenor Andrea Bocelli zbierał na szpitale podczas wielkanocnego recitalu w pustej katedrze w Mediolanie. Koncertowi towarzyszyły zdjęcia z wyludnionych miast, od Wenecji po Nowy Jork. W Polsce w ramach akcji „Kwarantanna na na" Facebook nadaje na żywo cykliczne koncerty takich artystów jak Krzysztof Zalewski czy Mery Spolsky. Podczas występów trwa zbiórka datków na Szlachetną Paczkę.

– Koncerty w domach artystów to sytuacja unikatowa. Kiedy cały świat się zatrzymał, a ludzie z dnia na dzień tracą pracę i środki do życia, to sposób na przetrwanie i oderwanie się od przykrej codzienności. Na pewno nie zastąpią imprez na żywo, ale w takim momencie jednoczą i dają siłę, bo niezależnie od statusu społecznego, wieku i miejsca wszyscy przeżywamy to samo. Z kolei dla artystów to doskonała droga dzielenia się muzyką w wersjach, które zapewne nigdy by nie powstały – zauważa piosenkarka Pola Rise.

I faktycznie – do sieci sukcesywnie trafiają piosenki inspirowane wirusem albo izolacją. Uczciwie rzecz biorąc, większości nie da się słuchać, ale zdarzają się perełki, takie jak nowy utwór Florence and the Machine „Light of Love", który powstał już podczas sesji do płyty „High as Hope", jednak nie trafił na album. „Stwierdziłam, że miło byłoby podzielić się tą piosenką w czasach niepewności, a także okazać w ten sposób moją miłość, szacunek i podziw dla wszystkich pracujących na pierwszej linii frontu podczas kryzysu", opowiadała Florence Welch prosto z domu w Londynie.

Do sieci trafiają piosenki inspirowane wirusem albo izolacją. Większości nie da się słuchać, ale są i perełki.

Są też tacy, którzy nie tylko szukają pocieszenia w muzyce ulubionych wykonawców, ale i sami chwytają za mikrofon. W ostatnich tygodniach serwisy społecznościowe puchną od amatorskich nagrań.

– Muzyka pomaga nam teraz wyrazić te najtrudniejsze, negatywne emocje. Lęk, strach, żal. Jesteśmy skoszarowani w domach, a frustracja narasta. Dlatego, jak pokazują badania ARC Rynek i Opinia, więcej teraz jemy, krzyczymy, pijemy. Jeżeli potrafimy sublimować emocje w procesie tworzenia, według koncepcji Freuda,

eprasa.pl 2364728ccd

Baryton Michał Janicki do występu przygotowywał się około tygodnia. Kilkadziesiąt osób słuchało w oknach i na chodniku.

znajdujemy dla nich jakiś wentyl. Każdy z nas może być teraz artystą, tak jak Paterson, tytułowy bohater głośnego filmu Jarmuscha. I nawet lepiej znaleźć ukojenie w muzyce niż w piciu, nadmiernym jedzeniu czy kłótniach z rodziną. Przeżywamy wiele trudnych emocji, a nikt nie nauczył nas ich nazywać, rozumieć ani wyrażać – tłumaczy psycholożka Martyna Harland.

Pogląd ten podziela dziennikarz muzyczny Marcin Flint. – Lepiej, żeby odbiorcy wpatrywali się godzinami w twórców, którzy poza śmiesznymi groszami ze streamingów nie mają alternatywy, niż monitorowali jałową dyskusję, nakręcali paranoję, moralizowali – mówi. Zarazem ma wątpliwości, czy ten cyfrowy erzac działa jak należy. – Obejrzałem Lilu grającą na ukulele i to nie zadziałało ku pokrzepieniu mojego serca, przeciwnie. Zrobiło mi się smutno od zacinającego się streamu, od wielości uwag, że artystka nie ma co do lodówki włożyć – wyznaje Flint. Po chwili się reflektuje: – Z drugiej strony pamiętam, jak ekscytujące dla mnie jako dziecka były koncerty na VHS. David Bowie z wielkim szklanym pająkiem, Billy Joel w Moskwie, uroczystości MTV. Magia. A że czekają nas czasy jak wtedy – zaciskania pasa, koncertowej deglobalizacji, to może ułamek tej magii wróci.

Domowy koncert ma prawo się kojarzyć z epoką kaset wideo, natomiast sceną czasów zarazy stał się balkon lub taras. Wszyscy kojarzymy te symboliczne obrazki: Amerykanie śpiewający z balkonów „Ain't No Sunshine" czy „Lean on Me" zmarłego w kwietniu Billa Withersa, legendy soulu, Włosi odśpiewujący hymny i przeboje narodowe całymi osiedlami...

– Nie musimy tej muzyki tworzyć – przyznaje Martyna Harland. – Ten, kto chociaż raz był na jakimś koncercie, wie, w jaki sposób muzyka łączy ludzi tu i teraz. Ale także pomaga nam się oderwać i daje nadzieję. Włosi wyszli na balkony w chwilach największego lęku, gdy zaczęli dostrzegać, że wirus dotyka ich bliskich. Okazało się, że ich kultura, jak hymn z „Boskiej komedii" Dantego, ma im wiele do zaoferowania. Pytanie, co mielibyśmy śpiewać teraz my, Polacy, w jakich dziełach kultury szukalibyśmy wsparcia? – zastanawia się psycholożka.

Okazuje się, że w Polsce też całkiem nieźle sprawdza się włoska klasyka. Na przykład „O sole mio" w wykonaniu barytona Michała Janickiego. Z desek Polskiej Opery Królewskiej śpiewak przeniósł się na posadzkę balkonową, aby dodać otuchy starszym sąsiadom.

– Na początku wywiesiłem kartki o dyspozycyjności dla seniorów, gdyby potrzebowali pomocy przy zakupach czy pójściu na pocztę. Kiedy przyszedł do mnie 98-letni sąsiad i powiedział, jak źle znosi tę izolację, poczułem, że trzeba zrobić coś więcej niż kartki – wspominał Janicki w TVN 24. Muzyk poważnie potraktował wyzwanie. Do pierwszego występu przygotowywał się około tygodnia. – Powtarzałem materiał, który znałem, ale także uczyłem się nowego. Trzeba było wydrukować programy i zostawić je sąsiadom na wycieraczkach – opowiadał.

Było warto. Na nagraniach w mediach społecznościowych słychać entuzjastyczną reakcję publiki. – Kilkadziesiąt osób słuchało na balkonach i w oknach ośmiopiętrowego budynku. Do tego kilkanaście osób stało na patio i chodniku przy bloku – wyliczał Janicki, którego balkonowych koncertów można dziś słuchać nie tylko po sąsiedzku, ale i za pośrednictwem Facebooka.

Od początku kwarantanny czas umila sąsiadom wokalista Michał Sołtan znany z talent show „Must Be the Music. Tylko muzyka". – Akcja nazywała się „Cała Polska wychodzi na balkony". Polegała na tym, żeby się zsolidaryzować i podziękować służbie zdrowia za to, jak się nami opiekują (…), wyjść na balkon i bić brawo – mówił w rozmowie z serwisem musiclife.pl. Sołtan włączył się do akcji z narzeczoną: – Patrzymy, że z boku stoi gitara. Pomyślałem, że może coś zaśpiewam sąsiadom, bo też wyszli. Sąsiadów za bardzo nie znaliśmy, to warszawska kamienica, troszeczkę każdy żyje swoim życiem. Niesamowite, że mój występ się spodobał.

Podobnie spontanicznie zaczęła koncertować 18-letnia Wiktoria Marciniak. Dziewczyna śpiewa od dziecka, od lat wygrywa międzynarodowe festiwale i poważnie myśli o karierze wokalnej. – Pierwszy koncert odbył się na totalnym spontanie – opowiadała „Gazecie Wrocławskiej". – Po prostu wyszłam na balkon i zaczęłam śpiewać. Zaśpiewałam własną piosenkę pierwszy raz publicznie. Potem były utwory Dawida Podsiadły, Sylwii Grzeszczak, Ewy Farny. Po tym koncercie na osiedlowej grupie na Facebooku sąsiedzi prosili, żeby jeszcze zaśpiewać – dodaje. I tak to poszło.

Kto wie, może kultura balkonowa wykreuje nowe gwiazdy? Tym bardziej że na szybki powrót profesjonalnych koncertów i festiwali się nie zanosi. A nawet gdy znów się pojawią, nie od razu będzie jak dawniej.

– Wiadomo, że jak już państwo pozwoli grać dla ludzi, to jest jeszcze bariera psychologiczna u odbiorców przed zabawą ze sobą. Roztrenowani niczym piłkarze muzycy, którzy będą czerpać od ułamka fanów ułamek dawnej energii, to dość bolesny, słabo przyciągający obrazek – wzdycha Marcin Flint.

Możliwe zatem, że będziemy pocieszać się muzyką w sieci znacznie dłużej, niż przypuszczamy. Niewykluczone, że niektórym z nas do tego stopnia wejdzie ona w krew, że zostanie w krwiobiegu już na stałe. ■

FOT. JANEK SKARŻYŃSKI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2364728ccd

FABUŁA

NIC NIE GINIE

reż. Kalina Alabrudzińska, prod. Polska, dostępne na VOD+

Tytuł okazał się proroczy. Premierę i dystrybucję kinową powstrzymała pandemia, ale nic nie ginie. Oglądanie filmu teraz może zadziałać jak terapia. Ta zresztą jest tematem debiutu Kaliny Alabrudzińskiej, której wyczulenie na to, co dzieje się w społeczeństwie, warto tu podkreślić. Na ekranie traumy przepracowują próżny celebryta, narodowiec,

rozwódka szukająca szczęścia na Tinderze czy chłopak z obsesją ratowania przyrody. Polska na jednym obrazku. Alabrudzińska wygrywa, bo nie interesuje jej ocenianie postaw ani wyborów życiowych bohaterów. Skupia się na pogłębieniu postaci i udaje się jej nakreślić ciekawe portrety, w czym pomagają aktorzy – studenci Filmówki (to ich film dyplomowy). Nastrój powagi przełamywany jest naturalnym humorem. Scenariusz nie został mu podporządkowany, bierze się on z sytuacji, czasem z bezsilności. Morał, że to, co straszne, bywa też bardzo śmieszne, dobrze nam wszystkim zrobi.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

PŁEĆ I POLITYKA

Po dwóch spektaklach nagranych roboczo i wpuszczonych do sieci przez Teatr Wybrzeże mamy profesjonalną realizację telewizyjną, z dobrą pracą kamer i czytelnym dźwiękiem. Perypetie mężczyzny, który marzył, by jego syn powiedział kiedyś do niego: mamo, wstawione zostały w lata przełomu ustrojowego. Jak na ironię sztuka „Ciała obce", pokazująca zwycięstwo Solidarności i wkroczenie w czasy wolności i tolerancji, emitowana jest w momencie kompletnego pogwałcenia tych wartości. Język Julii Holewińskiej, nierzadko brutalny, bluźnierczy, z sarkazmem odnoszący się do naszego katolicyzmu, staje się niezamierzoną gorzką recenzją „dobrej zmiany". Zwłaszcza w kulturze i obyczaju.

Bronisław Tumiłowicz

Julia Holewińska, „Ciała obce", reżyseria Kuba Kowalski, Teatr Wybrzeże

KULTURALNE DZIECI

DZIECI URATUJĄ KLIMAT?

Połamane drzewa, smród, góry plastikowych śmieci, ginące zwierzęta i ogólna pogarda dla przyrody – tak przedstawia się scena w spektaklu „Ziemianie", który *online* zaprezentował Wrocławski Teatr Lalek. Przedstawienie o wyraźnie pedagogicznym wydźwięku najbardziej przekonuje w zakończeniu, gdy aktorzy odgrywający główne role zapraszają widzów do porządkowania i naprawy zniszczeń, ustawienia przewróconych drzew, wyniesienia za kulisy toreb ze śmieciami. Wtedy każdy się przekonuje, że nie taki straszny Smog Podwawelski ani Minister Bull, że warto pomóc Ostatniej Pszczole.

Bronisław Tumiłowicz

Jarosław Murawski, „Ziemianie", reżyseria Lena Frankiewicz, Wrocławski Teatr Lalek

MIĘDZY OKŁADKAMI

Mira Marcinów
Bezmatek
Czarne, Wołowiec 2020

Po mowie noblowskiej Olgi Tokarczuk słowo czułość jest nadużywane. Jednak ono jako pierwsze przychodzi na myśl przy czytaniu książki Miry Marcinów. To niezwykle intymna opowieść o relacji córka-matka, o stracie ukochanej, najbliższej osoby (matki zawsze są tymi najbliższymi) i tęsknocie. Mamy tu i ciekawy język, i bogatą wyobraźnię, ale także czarny humor. Można powiedzieć, że to kobieca odpowiedź na synowskie opowieści Bieńczyka i Wichy.

Niektórzy piszą książki, bo lubią opowiadać, inni, bo mają wiedzę i chcą się nią podzielić, jeszcze inni z potrzeby. Wtedy książka jest spowiedzią, wymazem duszy. Jeżeli jeszcze robią to z talentem i starannością, powstają takie pozycje jak ta.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2364728ccd

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Polisa na zużycie

Syndrom pandemiczny weryfikuje związki, zwłaszcza te „zdalne", w których małżonków wiązał już tylko dach nad głową. Nagle okazuje się, że zaprogramowani ewentualnie na wspólne śniadania (szybka kawa i wepchanie w dziecko owsianki) i kolacje („robimy coś czy zamawiamy?") oraz incydentalne podtrzymywanie pożycia (chyłkiem, bo dzieci śpią, i od wielkiego dzwonu, bo jednak rutyna wykańcza libido), stają przed sobą na nowo. W całodobowej okazałości, bez możliwości ucieczki, wpadają na siebie i nijak wyminąć się nie mogą, oboje w tę samą stronę robią krok, nieuniknione jest czołowe zderzenie.

Wchodzą po sobie do toalety i czują cudze niezapaszki, słyszą swoje ciamkanie i chrupanie podczas posiłków, rozmawiają nie tylko o rachunkach (wyszli z wprawy, więc od razu przechodzą do kłótni), odpakowują wreszcie do końca pakiet ślubny, z którego przed laty snadnie skonsumowali najatrakcyjniejszą część, a reszta zalegała w kartonie. I nagle: ojojoj, co my tu mamy? Niezgodność charakterów, rozbieżność światopoglądowa, niedbałość językowa, dysproporcja finansowa oraz intelektualna. W pakiecie ślubnym drzemał przez lata gotowy zestaw rozwodowy, polisa na zużycie. Najlepiej od razu mieć to z głowy – ustalić warunki, a jeśli to niemożliwe, złożyć dwa pozwy, każdy swój.

I tu się zaczyna tzw. wolta weryfikacyjna. Sądy w czasie pandemii i tak nie pracują pełną parą. Dodatkowo, zawalone wnioskami rozwodowymi w iście epidemicznej liczbie, nie mogą zagwarantować sprawnego rozstrzygnięcia. Zewsząd sączy się mantra „zostań w domu!", więc jakoś dalej trzeba razem przetrwać, w tych warunkach o eksmisję naprawdę trzeba ostro się wystarać. Jeśli zatem nie mamy do czynienia z przypadkiem tragicznym, jakim jest realna przemoc domowa – następuje faza wzlotu. Małżonkowie i tak już sobie poprzysięgli, że się rozstaną, mogą się ponapawać tą perspektywą, mogą nawet mówić do siebie *per* były/była, przeczekawszy dni milczące.

I nagle wszystko się zmienia jak za dotknięciem różdżki magicznej. Wygrywa instynkt przetrwania – rozczarowanie zostało już nazwane, jest legitymizowane i będzie uprawomocnione, a skoro i tak jesteśmy na siebie skazani do odwołania, lepiej, byśmy życie sobie ułatwiali. Nagle okazuje się, że na pytanie: „Nie wiesz może, gdzie jest moje…", to drugie zawsze odpowiada: „Wiem" – w drugą stronę to też działa. Jedno nie umie w internety, drugie w kotlety, następuje domowa wymiana zdolności, działa samopomoc bez wzywania specjalistów (wtedy wychodzi na jaw, ile forsy zmarnowało się na hydraulików, elektryków czy sąsiadów złotorączkowców). Chrupanie ludzka rzecz, niezapaszki toaletowe jakoś też już spowszedniały, możliwości kłótni wyczerpały się na rzecz dialogu, charaktery upodabniają się na skutek wspólnoty doświadczeń kwarantannowych, światopoglądy również się zbliżają, od kiedy szeregowy poseł z Żoliborza jedzie na czołowe z tymi koronawyborami, intelekty wobec potrzeby lektur odprężających na czas totalnego naprężenia także się uśredniają (np. przy komediach romantycznych), a i spontaniczne bara-bara z byłym ma delikatnie perwersyjny smaczek, wszakże jest to już seks pozamałżeński *in spe*.

Znużone żony, zmitrężeni mężowie, zróbcie sobie rozwód pandemiczny, nic was tak nie rozżwawi w czasie zarazy.

Harmonia i sielanka, cisza dobrze zasiana, bo niewymuszona (zakłóca ją tylko objazdowa szczekaczka antyaborcyjna z ulicy), dzieci nie mogą się nadziwić, pies zazdrośnie skomle pod łóżkiem, z którego został wyprowadzony na podłogę, a nad tym wszystkim unosi się kojące widmo wolności (wnioski stosowne czekają, „aż to wszystko się skończy"). Tak to właśnie rozwód pandemiczny weryfikuje zaniedbane małżeństwa, to jest rzeczona weryfikacja – albo sąd, albo rejestracja noworodka pod koniec roku, przyroda tak to obmyśliła, żeby uniknąć demograficznych turbulencji. Znużone żony, zmitrężeni mężowie, zróbcie sobie rozwód pandemiczny, nic was tak nie rozżwawi w czasie zarazy.

www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku i Twitterze

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2364728ccd

Rozmawia Paweł Drąg

Na oceanie śpiewam, ryby nie protestują

Aleksander Doba nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Planuje kolejną daleką wyprawę

Co jest najgorsze? Głód, żar lejący się z nieba czy monotonia i samotność?

– Palące słońce. Przepływałem Atlantyk trzy razy, z czego dwa razy w okresie polskiej zimy. Tęskniłem za rodziną, myślałem o Wigilii i chciałem zobaczyć śnieg. Pragnąłem chłodu. Nie będę oryginalny. Chyba zawsze najbardziej brakuje nam tego, co akurat nieosiągalne. Tymczasem wokół mnie było tak gorąco, że stawało się to prawie nie do zniesienia. Nie miałem jak od tego uciec.

Kiedy był pan najbardziej spragniony ludzkiej obecności i rozmowy?

– Moja druga wyprawa trwała najdłużej. Łącznie przebywałem na wodzie ponad pół roku. Wtedy też przez 138 dni nie miałem fizycznego kontaktu z innym człowiekiem. To było na trasie od Lizbony do Bermudów. Rzadko rozmawiałem przez satelitę. Ceny za tę przyjemność są kolosalne. Miałem problemy techniczne i kiedy się dowiedziałem, że płyną do mnie ludzie, czułem się, jakby zaraz miały być święta. Wykąpałem się, wypucowałem kajak, posprzątałem pokład. Jak ja się cieszyłem zwykłą rozmową! Te trzy godziny to jeden z najlepszych momentów na oceanie.

Jak doszło do tak długiego odosobnienia?

– Pomiędzy kontynentem europejskim a północnoamerykańskim jest najszersze miejsce Atlantyku. Od początku zakładałem, że o kontakt z ludźmi będzie wyjątkowo trudno. Wszystko utrudniła walka w Trójkącie Bermudzkim, gdzie utkwiłem na 40 dni. Urwał mi się tam ster i musiałem go naprawić na lądzie, więc zostałem zmuszony do zmiany planów. Musiałem płynąć do najbliższego lądu. Były to Bermudy. Miałem do nich ok. 400 km, ale w połowie trasy spotkałem się z ludźmi, którzy po mnie wypłynęli.

Można być samemu, a jednocześnie nie być samotnym?

– Wiele osób pyta, jak znosiłem samotność. To pojęcie oznacza dla mnie coś innego. Proszę sobie wyobrazić kilkunastopiętrowy blok, który ma wielu mieszkańców. Wśród nich na pewno znajdzie się chociaż jeden człowiek prawdziwie samotny. Taki, który nie ma bliskich i wszystkie dni spędza w pojedynkę. Co z tego, że może codziennie mijać przypadkowe osoby, skoro wszyscy są zajęci sobą i swoim życiem? O takich ludziach przypominamy sobie, gdy widzimy ich nekrologi. To jest prawdziwa samotność. Gdy byłem na oceanie, zawsze kibicowało mi bardzo wiele osób. Ich wsparcie dodawało energii. Mogłem być wiele kilometrów od jakiegokolwiek człowieka, więc sam. Jednak nie czułem się samotny.

W jaki sposób radził pan sobie ze słabościami?

– Sam do siebie nie mówiłem, nie trafia to do mnie. Za to ćwiczyłem głos, odzywając się do ryb i ptaków. To byli moi towarzysze. Nie jestem muzykalny, ale mogłem swobodnie śpiewać i nikomu to nie przeszkadzało. Chyba że tym rybom, ale nie oponowały. Zdarzały się także sytuacje, że ptaki siadały mi na ramieniu lub wpadały do kajuty, jakby też łaknęły mojej obecności.

> Żyję, więc nie ma co roztrząsać.

To była próba nie tylko dla pana, ale i dla bliskich. Dużo mają jeszcze cierpliwości?

– Gdybym miał podsumować trzy wyprawy oceaniczne, wyszłoby, że spędziłem na wodzie ponad rok. Z żoną były największe problemy. Żadna moja wyprawa jej się nie podobała i zniechęcała mnie do nich, jak tylko potrafiła. Kiedy coś mi nie wychodziło w przygotowaniach, od razu humor jej się poprawiał. Starszy syn również traktował je z rezerwą. Martwili się. Zazwyczaj najbardziej cieszył się najmłodszy potomek. Na Amazonce przeżyłem dwa napady bandyckie. Mierzono do mnie z broni. Czesiek skwitował to wtedy: „Ojciec, spokojnie! Indiana Jones też miał przygody!”. Bardzo mi się to spodobało. Było, minęło, lufa przy skroni to nie najgorsza rzecz na świecie, kiedy nie kończy się konsekwencjami. Żyję, więc nie ma co roztrząsać.

Dopuszczają do siebie myśl, że jeszcze wywinie im pan numer z kolejną daleką wyprawą?

– Moją ostatnią odbytą podróż po Atlantyku traktuję jak zbliżenie się do granicy ludzkich możliwości. Przeżyłem zmagania z wiatrem o mocy 10 w sali Beauforta i 10-metrowe fale. Nikt jeszcze nie przetrwał tego w tak małej jednostce pływającej jak moja. Polak potrafi. Wtedy uznałem, że plan został zrealizowany. Powiedziałem, że więcej wypraw oceanicznych kajakiem nie mam w planie. Kilka miesięcy temu oznajmiłem jednak rodzinie, że za dwa lata znów zamierzam być na oceanie. Chcę przepłynąć Atlantyk ze wschodu na zachód, tym razem nie kajakiem, ale łodzią wiosłową.

Chyba w związku z pandemią może to być szczególnie trudne?

– Koronawirus niestety bardzo wpływa na moje plany. Nie mam jak się przygotowywać. Trudno mi też o sponsorów, kiedy gospodarka tak ucierpiała. Pewnie będę musiał przesunąć start o co najmniej rok, może przedłuży się to o dwa-trzy lata. Czas nie jest moim sprzymierzeńcem, ale pozostaję optymistą. Wirusa zamierzam przeżyć i dalej działać zgodnie z planem. Tęskno mi do oceanu. Zacząłem już żyć tą wyprawą. Zakładam, że podróż życia jest nadal przede mną. Jak wszystko pójdzie dobrze, wyruszę w grudniu któregoś roku z Wysp Kanaryjskich.

Samotność jest jedną z najgroźniejszych chorób cywilizacyjnych. Tymczasem miliony osób są zamknięte w mieszkaniach. Jak w tych okolicznościach mają sobie poradzić?

eprasa.pl 2364728ccd

Aleksander Doba – ur. w 1946 r. Podróżnik, kajakarz, zdobywca tytułu Podróżnika Roku 2015 National Geographic. Pierwszy człowiek, który wyłącznie dzięki sile mięśni przepłynął kajakiem Ocean Atlantycki z kontynentu na kontynent – z Afryki do Ameryki Południowej, a także pierwszy kajakarz, który przepłynął Atlantyk w najszerszej części – z Lizbony na Florydę. Trzecia wyprawa, z Ameryki Północnej do Europy, zakończyła się 3 września 2017 r.

– Ja dobrowolnie zgodziłem się na tę samotność, ale mój kajak to maleństwo w porównaniu z większością mieszkań. Ma tylko 4 m kw. Tymczasem ludzie mogą oglądać telewizję, czytać książki, korzystać z internetu, rozwijać się. Z reguły mają bliskich, więc dochodzą takie przyjemności jak rozmowa i przytulenie. Jak można to porównywać z podróżą przez ocean? W mieszkaniu jest luksus, to żadne cierpienie! Mam mnóstwo pomysłów i zaległych spraw, więc o stagnacji mogę zapomnieć. Nie potrafię zrozumieć, jak można nudzić się w domu.

Trzykrotnie przepłynął pan kajakiem Ocean Atlantycki, a także opłynął Morze Bałtyckie i Bajkał. Po co to panu?

– Turystyka kajakowa jest moją pasją. Dzięki kajakowi zwiedzam i poznaję świat. Najbardziej lubię pływać po rzekach. Najlepiej tych, których nie znam. Najwspanialsza wyprawa tym środkiem transportu była za północne koło podbiegunowe. Zajęło mi to 101 dni. Wiele osób mówiło, że nie dam rady, tym bardziej że kończyłem wyprawę na początku października, kiedy jest już bardzo zimno. Co to była za frajda! Przygody dodają mi sił i sprawiają, że jestem szczęśliwy. Gdybym siedział w domu przed telewizorem, nie miałbym tak szerokich horyzontów. Ciągnie mnie w świat, chcę go poznawać. Jestem nim nadal nienasycony.

Co z tego, że jeden z drugim był na Kanarach, skoro nie ma pojęcia, jak urocze są Mazury?

Ściga się pan ze swoimi osiągnięciami? Jest w tym głód, by udowadniać coś sobie i pokonywać kolejne bariery?

– Kiedyś często stawiałem sobie ambitne cele. W 1989 r. przepłynąłem kajakiem ze Świnoujścia do Przemyśla. Postanowiłem, że każdej doby będę bił swój rekord kilometrów przepłyniętych jednego dnia. Ale nie o kilometr czy dwa, tylko codziennie o 30% więcej. Miało to trwać dwa tygodnie. Czy to nie wariackie postanowienie? Chciałem dać sobie w kość i dałem radę. Udało mi się wygrać z samym sobą. Podobnie ambitnie podchodziłem do wyboru partnerów przeróżnych wypraw. Zawsze miałem duże oczekiwania. Chciałem, by ktoś był w jakiejś dziedzinie ode mnie lepszy, by uzupełniać się na kajaku. Testowałem wielu kolegów, ale nikt nie sprostał, a ja nie chciałem robić za niańkę. W końcu postanowiłem podróżować samotnie. Tak było najlepiej.

Czy podczas którejś z wypraw był pan bliski rezygnacji?

– Nigdy. Wszystkie przygody dużo mnie kosztowały. Nie tylko pod względem ekonomicznym, ale i z powodu wszechstronnego przygotowania merytoryczno-sprawnościowego. Nie lubię, jak ktoś mi gratuluje, że udało mi się przepłynąć ocean. Przede wszystkim zrealizowałem dobrze przygotowaną wyprawę. Jestem realistą, a nie szaleńcem. Wiem, co dla mnie groźne i co może sprawić mi trudność nie do przebycia. Omijam to szerokim łukiem i dzięki temu możemy dziś rozmawiać, a ja mam za sobą moc wspaniałych doświadczeń. Wiele razy słyszałem, że w końcu zginę. Jakoś na razie udaje mi się robić te psikusy i nadal stąpam po świecie. Ocean Atlantycki został przepłynięty przez kajakarzy sześć razy, z czego ja zrobiłem to trzy razy. Znam się na tym i nie polegam na opiniach innych. Bazuję na doświadczeniu i wyciągam wnioski.

Koledzy jeszcze chcą się z panem zadawać, skoro byli poddani tak ostrej selekcji?

– Cóż, lata lecą, ale zdrowie, umysł i kondycja nadal mi dopisują. Z rówieśnikami często nie mam o czym rozmawiać, bo kończy się licytowaniem, kto jest bardziej chory. Wolę rozmawiać z młodymi. Po co ze starszymi? Żeby mnie dołowali, kto ile wycierpiał? Młodzi nie są tak toksyczni i mam poczucie, że nadążam za nimi. Życie trzeba brać na wesoło i nie udawać starego i niedołężnego.

Podróże mają element magii. Najlepiej wspominam te momenty, kiedy działo się coś, co trudno wytłumaczyć. Pamięta pan takie zdarzenia?

– Nabrałem kiedyś do szklanki wody z oceanu i zacząłem się jej

FOT. ALEKSANDER DOBA

eprasa.pl 2364728ccd

przyglądać. Były tam małe żyjątka, rodzaj planktonu. Niezwykła obserwacja, gdy coś tak małego, prawie niedostrzegalnego, porusza się w swoim rytmie. Życie jest bogate i trzeba szanować zarówno małych, jak i dużych. Widziałem plankton, który pobudzony mechanicznie wydzielał seledynową poświatę. Coś pięknego! Nocą zanurzałem wiosła w bardzo ciemną wodę. Po każdym takim ruchu pojawiał się zielonkawy kolor. Niezwykłe. Jakoś tak raźniej było wtedy.

Boi się pan czasem?

– Mam różne obawy, ale staram się je dusić w zarodku. Najlepiej poprzez merytorykę, czyli analizę potencjalnego ryzyka. Jestem ambitny i nie lubię się poddawać. Często słyszałem, że ktoś nie chce być zamieszany w moją śmierć, że jestem ryzykantem. Kompletnie z tym się nie zgadzam. Teraz czekam na koniec pandemii i ruszam dalej.

Napisał pan testament?

– Nie. Pewnie powinienem, ale jeszcze nie zdążyłem. Nie mam dużo, więc może dlatego tak zwlekam!

Wszyscy wspominają o pana wieku. Irytuje to pana?

– Nie mam z tym problemu. Pewnie są tacy, którzy mi zazdroszczą doświadczeń i formy. Niech gadają. Nie lubię udawać starego.

Ma pan medale otwartych akademickich mistrzostw Polski w kajakarstwie górskim, srebrną odznakę szybowcową z jednym diamentem, złotą odznakę turystyki kolarskiej i uzyskał pan trzecią klasę skoczka spadochronowego. Kto rozbudził w panu tak różnorodne zainteresowania?

– Rodzice zaszczepili we mnie ciekawość świata. Dzięki nim zapragnąłem jak najlepiej go poznać. To nie musi być wcale inny kraj. Polska jest przepiękna. Mam wrażenie, że wielu rodaków nie zna rodzimych terenów. Co z tego, że jeden z drugim był gdzieś na Kanarach, skoro nie ma pojęcia, jak urocze są Mazury? Zacznijmy od tego, co nam najbliższe. Jak tylko będzie już można, wyruszę w Bieszczady.

Czekam na koniec pandemii i ruszam dalej.

O czym pan marzył, mając kilka lat?

– O podróżach. To zawsze było najważniejsze i tym zarażałem później swoją rodzinę.

Ucieka pan od tematu dzieciństwa. Było szczęśliwe?

– Tak, oczywiście! Od zawsze byłem bardzo samodzielny. Tato był ślusarzem mechanikiem. Często mu pomagałem, choćby z instalacjami gazowymi czy wodociągowymi. Sporo przy nim się nauczyłem. Wychowałem się w Swarzędzu koło Poznania. Jako 15-latek wyruszyłem w podróż rowerową do Świnoujścia, a następnie do Krynicy Morskiej. Wróciłem po miesiącu. Telefonu w domu nie było, więc jedyny kontakt ze mną stanowiły kartki, które co jakiś czas wysyłałem z poczty. Byłem dzieciakiem, ale dałem radę. Liberalne podejście rodziców otworzyło mnie na świat.

Ile miał pan lat, gdy nauczył się pan pływać?

– Kilkanaście. Paradoks, prawda?

Jeśli już się przepływa morza i oceany, to daje jeszcze przyjemność przepłynięcie małego jeziora?

– To pasja, więc oczywiście, że tak. Najciekawsze wody to te obce, których nie znam. W tym roku zdążyłem być tylko dwa razy na zimowym spływie kajakowym. Uwielbiam Brdę w Borach Tucholskich. Piękna rzeka. Kiedyś w Polsce można było przewozić kajaki pociągami. Teraz to w zasadzie niemożliwe. Utrudnienia są przeróżne, ale czego się nie robi dla miłości?

Na gali National Geographic w Waszyngtonie odbierał pan prestiżową nagrodę Traveler of the Year. Powiedział pan: „Niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają". Jest pan dumny z bycia Polakiem?

– Z nikim nie uzgadniałem tych słów, wiedziałem, że nie pozwolą mi tego powiedzieć. Wszystko było zaplanowane co do sekundy, więc jak zacząłem mówić, patrzyli na mnie mało przyjaźnie. Byli wkurzeni, ale doceniali to, co zrobiłem. Po co miałem kaleczyć angielski? Podczas każdej podróży z dumą podkreślałem, skąd pochodzę. Drugą wyprawę kończyłem na Florydzie. Przywitałem ją symbolicznym pocałunkiem ziemi. Miałem wtedy na sobie koszulkę z napisem „Polska" na plecach i z orłem na piersi.

Czy jest jakiś dzień, który chciałby pan przeżyć jeszcze raz?

– Trzecią wyprawę zakończyłem we Francji. Jechałem z synem przez Pola Elizejskie. Ściskałem polską flagę i darłem się: „*Vive la Pologne*!". Policja dała mi spokój, bo oni *police*, a ja z Polic. Czułem się wtedy przeszczęśliwy. To była wielka, autentyczna radość. Każdemu tego życzę.

Paweł Drąg

eprasa.pl 2364728ccd

Z czym dzwonią ludzie na 112

Telefony na numer alarmowy dzielą się na zasadne i niezasadne. Pierwsze są oczywiste, drugie to kopalnia głupoty i braku odpowiedzialności

Roman Klasa

Najważniejsze zadanie Centrum Powiadamiania Ratunkowego jest jasne – udzielać pomocy w nagłych sytuacjach zagrażających życiu i zdrowiu bądź – jak niektórzy lubią to upraszczać – w sytuacjach alarmowych. Ludzie jednak różnie rozumieją stwierdzenie „sytuacja alarmowa", przez co niejednokrotnie operatorzy muszą się mierzyć z problemami, o których nawet nie powinni wiedzieć. (…) W każdym przypadku bez wyjątku zgłaszający realnie oczekiwał przyjazdu bądź interwencji służb i opisywał swoją sytuację w sposób szczególnie emocjonalny.

Porno problem

Był taki czas, kilka miesięcy, gdy w Polsce nasiliły się próby wyłudzenia pieniędzy z wykorzystaniem, delikatnie mówiąc, mniej popularnych stron pornograficznych. Schemat był dość prosty: ktoś, kto zabłądził w internecie i oglądał materiały porno na podejrzanych stronach, był atakowany komunikatem – opatrzonym logo polskiej policji lub Interpolu – mówiącym o obowiązku zapłaty grzywny w wysokości 500 zł. Zdarzało się też, że dodatkowo komputer odmawiał współpracy. Komunikat był dość agresywny i przemyślany. (…) Część osób zapewne pieniądze wpłaciła, bo wolała mieć święty spokój. Część zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest to oszustwo. Niektórzy uparcie twierdzili, że nie oglądali żadnego porno, a komunikat „wyskoczył im nagle". Byli jednak tacy, którzy przyznawali się od razu. (…) Jedna z takich rozmów była wyjątkowa:

– Operator 112. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, dodzwoniłam się na policję?

– Nie, proszę pani. W jakiej sprawie pani dzwoni?

– Boże, proszę pana, ja mam taki problem! Ale to jest… bo wie pan co…. bo ja oglądałam… bo jestem zdrowa, wolna i w ogóle… Oglądałam po… porno, tak?

– I co się stało?

– I teraz Interpol zablokował mi przeglądarkę. Bo ja ogólnie wszystko oglądałam, oczywiście żadnej pedofilii i tych rzeczy nie…

– A więc twierdzi pani, że Interpol zablokował przeglądarkę, bo oglądała pani filmy pornograficzne, tak?

– Nooo…

– I teraz pani płacze i panikuje mi przez telefon w tej sprawie?

– Tak, bo ja nie wiem, o co chodzi… bo tu jest napisane, że… Boże!

– No co jest napisane?

– Oskarżona jestem… yyy… że ja rozpowszechniam jakieś materiały…

– Ale proszę pani, pani nie rozpowszechniała, tylko oglądała, tak?

– No tak, oglądałam, oglądałam… Tylko że oglądałam wszystko po kolei.

– To było jakieś specyficzne porno…?

– Powiem tak, niektóre są specyficzne, ale mnie nie jarają. Przeglądałam sobie po kolei wszystko, łącznie z gejami, lesbijkami, zoofilią, no wszystko. Po prostu…

– Z zoofilią też?

– Tak, ale…

– Proszę pani, radzę się udać w tej sprawie do informatyka, ponieważ ma pani zawirusowany komputer.

– Bo tutaj pisze: „policja, uwaga, twoja przeglądarka została zablokowana"…

– Policja nie kontaktuje się taką drogą z obywatelami.

– I że 500 zł grzywny mam zapłacić, i że grozi mi od pięciu do jedenastu lat więzienia.

– Od pięciu do jedenastu lat za oglądanie porno? Proszę pani, czy my tak na poważnie?

– No ale jest zablokowana przeglądarka cała!

– Właśnie dlatego radzę się udać do informatyka, który ją odblokuje.

– No ale nie możecie tego jakoś sprawdzić? Bo tu pisze „Interpol" i artykuły jakieś różne tu mam…

– Proszę pani, ile razy muszę powtórzyć, żeby udała się pani w tej sprawie do informatyka. Swoją

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 2364728ccd

drogą radzę nie zdradzać mu szczegółów, które pani mi zdradziła.

– No dobra… Skoro to nie jest prawda…

Zgłaszająca była spanikowana i chwilami zupełnie nie słuchała, co się do niej mówi. Taki wirus może napędzić stracha, lecz oglądanie filmów pornograficznych nie jest w żaden sposób zakazane, oczywiście o ile nie zawierają niedozwolonych treści. (…) Podobnych zgłoszeń było w swoim czasie naprawdę dużo. Wniosek? Nie wierzmy we wszystko, co znajdziemy w internecie, i nie bójmy się wątpić. Wątpliwości pojawiają się u ludzi inteligentnych.

Karetka z lokówką

– Operator 112. W czym mogę pomóc?

– Możesz mi pomóc, bo… ja jadę teraz erką w kierunku Janowa, nie? I pewna pani mi powiedziała, że ja przeklinam, co nie? I ten… mówi, że od tych przekleństw loki jej się wyprostowały.

– Co jej się wyprostowało?

– No loki. Ona miała trwałą ondulację… i teraz co zrobić z tym?

– No, proszę pana, ja jej tych wałków nie nałożę.

– Ale przyślij karetkę tutaj.

– Żeby jej wałki nawinąć?

– No, z lokówką.

– Wie pan, że możemy pana znaleźć po numerze i ukarać grzywną albo nawet więzieniem za takie jaja?

– Wodzu, ja codziennie zmieniam numer telefonu.

– To radzę wyrzucić ten numer po rozmowie i zastanowić się nad swoim zachowaniem.

Czasami już po pierwszym zdaniu słychać, że mimo poważnego tonu dzwoniący robi sobie żarty. Tego typu telefony to prawdziwa plaga. Ludzie proszą o karetkę do najdurniejszych przypadków. (…) Bardzo łatwo takie sytuacje poznać – prawie zawsze w tle słychać cichy śmiech osób trzecich. To skrajnie niebezpieczna zabawa. Jeśli taka osoba przekona operatora, a potem dyspozytora, karetka zostanie zadysponowana niepotrzebnie. W tym czasie może dojść do tragedii w innym miejscu i pomoc nie przyjedzie na czas. (…)

Mamo, ale o co ci chodzi?

Któż z nas, mając 15 czy 16 lat, nie czuł się panem świata? Odcinamy się wtedy od rodziców, myśląc, że ze wszystkim poradzimy sobie sami. Zapominamy, że to oni w dalszym ciągu sprawują nad nami opiekę i mamy obowiązek ich słuchać. Dochodzi przez to do konfliktów, które trudno rozwiązać. Z jednej strony mamy samodzielnego chłopaka bądź dziewczynę, a z drugiej – zatroskanych rodziców, którzy chcą jedynie zadbać o bezpieczeństwo dziecka.

– Operator 112. W czym mogę pomóc?

– No nie wiem, dzwonił do mnie ten numer.

– Momencik, proszę się nie rozłączać. Muszę tylko coś sprawdzić. (Pół minuty później) Dobrze, czy rozmawiam z panem Mariuszem?

– Mhm.

– Panie Mariuszu, Centrum Powiadamiania Ratunkowego z tej strony. Sprawa wygląda tak, że matka pana poszukuje.

– Matka? Proszę pana, jest lato, ja jestem na grillu u kolegi i mama mi dzwoni. Wie pan, jak to jest.

– Wie pan, jak to jest, nie jest pan jeszcze pełnoletni.

– Ale ja mówiłem mamie, gdzie jestem. Oni wiedzą, gdzie siedzę.

– Więc pan pozostanie teraz na linii, ja pana połączę z matką i macie sobie to wytłumaczyć. Powie pan dokładnie, kiedy pan wróci i gdzie pan się znajduje, bo inaczej służby będą pana poszukiwać.

– No dobra, no…

Operator wybiera numer mamy chłopaka, lecz z wyciszonym mikrofonem pozostaje na linii, aby się upewnić, że pomoc służb nie jest potrzebna.

– Mariusz, ty wrócisz w tej chwili do domu?

– Przecież mówiłem, gdzie jestem. O co ci chodzi?

– O co mi chodzi? Ile ty masz lat?

– Mamo, ale co ty w ogóle…

– Powiedziałam: w tej chwili do domu masz wracać.

– O co ci chodzi… na służby dzwonisz, co ty w ogóle robisz? Niepoważna jesteś.

– O co mi chodzi? Na działkę mam po nocy jechać?

– Dobra, idę już. Weź ty się lepiej rozłącz.

W tej sytuacji operator zrobił o wiele więcej, niż musiał. (…) Wyczuł, że problem da się rozwiązać w sposób ugodowy, bez potrzeby interwencji policji. (…)

Sklejone psy

– Operator 112. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, chciałem się zapytać, gdzie mogę zadzwonić o jakąś pomoc dla zwierząt, bo tutaj, we Wrzeszczu, stoimy i są dwa psy. Nie wiem, czy sczepione, czy ktoś je skleił po prostu dla żartu. No i nie wiemy w sumie, co z nimi zrobić. Czy to gdzieś zgłosić, czy co?

– Proszę pana, domyślam się, że może to wyglądać dosyć dziwnie, natomiast czasem tak się dzieje, gdy psy ze sobą kopulują. Nie wiem, czy ktoś by na to wpadł, żeby dwa psy specjalnie ze sobą czymś skleić. I to w środku miasta. One sobie poradzą same.

– No, skoro tak…

– Tak uważam. Ale dziękuję za telefon.

Telefony dotyczące zwierząt, zwłaszcza rannych lub martwych, są dla operatora kłopotliwe. O ile na terenie większych miast system działa sprawnie i do takich interwencji powołana jest odpowiednia służba lub osoba, o tyle w mniejszych miejscowościach pojawia się ogromny problem. W teorii za sprzątanie i pomoc takim zwierzętom odpowiada urząd gminy lub urząd miasta. W praktyce panuje chaos i bardzo często np. potrąconym psem nie ma kto się zająć. Na Wybrzeżu występują do tego problemy ze zwierzętami morskimi. Jedna pani zadzwoniła, by powiedzieć, że foka na plaży jest smutna i na pewno coś jej dolega. Ktoś inny stwierdził, że kormoran jest chory, bo stoi na jednej nodze. Wyobrażacie sobie, że wysyłamy służby do smutnej foki? Przyjeżdża umięśniony facet z butelką wódki, polewa i pyta: „Chcesz o tym pogadać?”. Niestety, wielokrotnie przekonałem się, że pies, kot czy nawet jeleń jest dla ludzi o wiele

Pani zadzwoniła, by powiedzieć, że foka na plaży jest smutna. Ktoś inny stwierdził, że kormoran jest chory, bo stoi na jednej nodze.

eprasa.pl 2364728ccd

ważniejszy niż drugi człowiek. Obok osoby leżącej na chodniku potrafimy przejść obojętnie, ale w sprawie kulejącego bezpańskiego psa telefony się urywają. To piękne i smutne jednocześnie.

Naleśniki niezgody

Interwencje domowe to w Centrum Powiadamiania Ratunkowego chleb powszedni. Często wiążą się z libacją alkoholową i wieloletnimi konfliktami. Stwierdzenie „konkubent" lub „konkubina" urosło wśród operatorów do rangi legendy. Gdy tylko rozmowa zaczynała się od słów: „mam problem z konkubentem/konkubiną", stawało się jasne, z jakim typem zgłoszenia się zetknęliśmy.

– Operator 112. W czym mogę pomóc?

– Gdzie moje naleśniki są? No patrz, kurwa, ręce ma jeszcze tłuste, dopiero zjadł! W tle: No przecież ja cię zabiję, ty kurwo! Ty śmieciu… że naleśniki zjadłem. No dopiero zjadł… ale widziałam, że jadł!

– Halo?

– No dzień dobry. Proszę pana, ja mam tutaj problem z moim konkubinem.

– Jaki problem? Bo jak na razie to same przekleństwa słyszałem.

– No bo tu do mnie się rzuca, tutaj mi jedzenie ukradł, do mnie się do bicia rzuca. Proszę pana, jest niemeldowany i ja sobie jego nie życzę tutaj.

– Nie słyszałem, żeby ktoś się do bicia rzucał, słyszałem tylko, jak pani przeklina.

– Proszę pana, ja dopiero usmażyłam naleśniki, a on mi je wszystkie zje. No daj pan spokój, ja tak nie mogę! Jedzenia nie daje, nic nie daje… ja nie mogę wytrzymać.

Powodem wybrania numeru alarmowego 112 może być też krzywe spojrzenie partnera/partnerki, skakanie po programach telewizyjnych, umyślne mlaskanie przy obiedzie, a nawet głośne chrapanie. Takie właśnie telefony odbierali operatorzy, mając nadzieję, że to jedynie głupi żart. Niestety, zgłaszający mówili całkowicie poważnie.

(Nie)wspólne libacje

Pierwsze tego typu zgłoszenie naprawdę mnie zszokowało. Nie przypuszczałem, że komukolwiek może przyjść do głowy tak dziwny pomysł. (…) Szybko okazało się jednak, że to nie pojedynczy wymysł upojonej kobiety, ale sytuacje notoryczne.

Zwykle było tak: osoba dzwoniąca spędzała ze znajomymi wieczór mocno zakrapiany alkoholem, najczęściej w swoim mieszkaniu. Gdy jednak okazywało się, że mimo później godziny goście nie myślą nawet o zakończeniu spotkania i rozejściu się do swoich domów, pojawiał się problem. Rozmowy trwały w najlepsze, miła atmosfera, dużo śmiechu. Tyle że właścicielka miała ochotę iść już spać. Prośby o wyjście nie przynosiły specjalnego efektu, bo przecież wszyscy dobrze się bawili i było jeszcze sporo alkoholu do wypicia. Wtedy właśnie gospodyni wpadała na pomysł zatelefonowania pod 112 i zgłoszenia, że w jej domu przebywają niepożądane osoby. Dalej wyglądało to mniej więcej tak:

– Czy te osoby awanturują się?

– Nie.

– Czy weszły do mieszkania siłą?

– Nie.

– A kto je zaprosił?

– No ja.

Zgłoszenie jest po części zasadne, bo mieszkanie jest własnością zgłaszającej i to ona decyduje, kto może w nim przebywać, a kogo sobie nie życzy. Jeżeli wyraźne prośby o opuszczenie lokalu nie przynoszą skutku, policja ma podstawy do interwencji, chociaż do takich zgłoszeń jeździ bardzo niechętnie. (…)

Kusząca bielizna i skórka od banana

Coś, co dla nas może być zupełnie zwyczajnym zachowaniem, innym wyda się wykroczeniem, a nawet przestępstwem. Schemat działania jest stały: jeżeli obywatel uzna coś za nieodpowiednie, dzwoni na 112 i prosi o interwencję. (…) Niestety, ludzie bez zastanowienia dzwonią ze wszystkim, co popadnie. Bywa, że zgłoszenie, choć błahe, jest zasadne i wtedy operator nie ma wyjścia – musi poinformować odpowiednie służby. W niektórych przypadkach można się wdać w polemikę ze zgłaszającym, próbować go przekonać, doradzać inne sposoby rozwiązania problemu, ale gdy operator za długo zwleka z przyjęciem zgłoszenia, naraża się na duże ryzyko. (…)

Jedno z takich zgłoszeń dotyczyło rozwieszonego na balkonie prania. Kobieta dzwoni i mówi, że sąsiadka wywiesiła tak pruderyjną bieliznę, że to ją obraża. A najgorsze, że po podwórku biegają dzieci i na to patrzą. Mówiła to z ogromną zawziętością i zupełnie nie miała świadomości, że nie jest to temat odpowiedni dla policji. (…)

Kobieta dzwoni i mówi, że sąsiadka wywiesiła tak pruderyjną bieliznę, że to ją obraża. A po podwórku biegają dzieci i na to patrzą.

Inna kobieta zadzwoniła, żeby zgłosić, że na chodniku leży skórka od banana. Uznała, że stwarza niebezpieczeństwo i trzeba znaleźć na miejskim monitoringu osobę, która ją wyrzuciła. Co do faktu zaśmiecania przestrzeni publicznej, chyba wszyscy jesteśmy zgodni – to prawdziwa plaga. Nawet najpiękniejsze miasto, po którym walają się śmieci, traci swój urok. Sam jestem na tym punkcie przeczulony. Jednak bardziej od znalezienia właściciela pechowej skórki kobietę interesowało, kto to teraz posprząta. Rozmowa trwała kilka minut. W tym czasie, zamiast wdawać się w czcze dyskusje, mogłaby ją kilkanaście razy podnieść i wrzucić do śmietnika. Ale kiedy zasugerowałem jej takie rozwiązanie, oburzyła się.

Zdarzało się, że do Centrum Powiadamiania Ratunkowego zgłaszano zapchane publiczne toalety. W jednym przypadku nie było to nawet nic dziwnego, ponieważ na drzwiach kabiny została wywieszona informacja, aby w razie awarii dzwonić na 112. Próby zamówienia taksówki czy pizzy u operatora to też nic nadzwyczajnego, zwłaszcza na weekendowych nockach. W pewnym momencie niektóre rzeczy przestały mnie już dziwić.

Fragmenty książki Romana Klasy *Operator 112. Relacja z centrum ratowania życia,* Wydawnictwo Kobiece, Białystok 2020

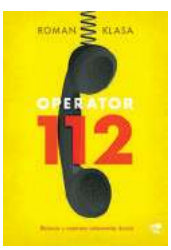

eprasa.pl 2364728ccd

Wojciech Ganczarek
Korespondencja z Argentyny

Argentyna zmienia język

Dla dziewczyn z ubogich dzielnic ważne są nie nowe litery na końcu wyrazu, tylko gwałty i przemoc w rodzinie

– Mówili: a teraz wszyscy uczniowie zrobią to czy tamto – wspomina psycholożka Ana. – I już wówczas brzmiało mi to jakoś dziwnie. Przecież ja nie jestem uczniem, jestem uczennicą.

Dziś Argentyna szuka języka, który nie umacniałby dominacji mężczyzn nad resztą społeczeństwa. Zaczęło się w pierwszych miesiącach 2015 r., gdy w argentyńskich mediach zawrzało z powodu powtarzających się przypadków zabójstw kobiet. 16 marca znaleziono ciało nastolatki, ofiary brutalnego gwałtu, ukryte w worku na śmieci. 10 dni później w Buenos Aires zorganizowano pierwszą masową manifestację w obronie życia kobiet. Od tego momentu ruch feministyczny w Argentynie rósł jak kula śniegowa, włączając do dyskusji kolejne elementy życia społecznego. W tym język. Cztery lata później, w październiku 2019 r., zwycięstwo w wyborach prezydenckich i parlamentarnych zapewniło sobie ugrupowanie Frente de Todos, Todas y Todes, czyli front, w którego skład mieliby wschodzić wszyscy (*todos*), wszystkie (*todas*) i – no właśnie, co znaczy *todes*?

Todes, czyli wszystko

W języku hiszpańskim tak jak w polskim przeważa użycie męskich form tytułów czy zawodów. Słyszymy więc o profesorach podpisujących list otwarty czy o lekarzach walczących z pandemią, tak jakby w skład obu grup wchodzili jedynie mężczyźni. Specjaliści od gramatyki powiedzą, że z definicji grupy mieszane kobiet i mężczyzn określa się formą męskoosobową. A co w przypadku liczby pojedynczej?

W Ameryce Południowej fakt dominacji mężczyzn w języku wypłynął wraz z dojściem do władzy partii lewicowych. W legendarnych wielogodzinnych przemówieniach Hugo Chávez (zmarły w 2013 r.) zwracał się do „obywatelek i obywateli", do „profesorek i profesorów". Drwiono więc, przedrzeźniając prezydenta: witamy wszystkich i wszystkie, którzy jechali do nas autobusem i autobusą przez całą dobę i cały dób.

Uwaga krytyków była o tyle słuszna, że wymienianie podwójnie wszystkich grup społecznych to męcząca nadmiarowość w mowie i w piśmie. Co więcej, jak zauważa socjolożka Sol Minoldo, jedna z głównych aktywistek na rzecz zmiany języka w Argentynie, taki sposób wypowiadania się zakłada, że różnorodność płciową człowieka można zredukować do mężczyzny albo kobiety. A co z osobami transpłciowymi lub tymi, które nie identyfikują się z żadną płcią?

> Do zmiany mentalności nie wystarczą odgórne zmiany w języku.

W przypadku pisowni rozwiązanie okazało się stosunkowo łatwe. W języku hiszpańskim przeważająca część rzeczowników rodzaju męskiego kończy się na o (jak *carpintero* – stolarz czy *ministro* – minister). Odpowiednie określenia dla rodzaju żeńskiego różnią się jedynie ostatnią literą, o zamienia się więc na a (jak *carpintera* – stolarka i *ministra* – ministra, pani minister). Aby zaoszczędzić sobie powtarzania, a jednocześnie uwzględnić inne tożsamości płciowe, najpierw zamieniono *ministros y ministras* na *ministr@s*. Wkrótce symbol @ jako dyskusyjny zastąpiono x *ministrxs*, *médicxs* i *carpinterxs*.

Termin ministrxs moglibyśmy odnieść do rady ministrów, bez względu na to, czy zasiadają w niej mężczyźni, kobiety czy osoby nieidentyfikujące się z żadną z dwóch płci. No dobrze, tylko jak to wymówić? Pytanie jest zasadne, a propozycja rozwiązania zaczęła się rozpowszechniać w argentyńskich środowiskach akademickich

eprasa.pl 2364728ccd

Zmiany w języku nie rozwiązują realnych problemów społecznych. Buenos Aires, tegoroczny marsz z okazji Dnia Kobiet.

w 2018 r. Hiszpański, w przeciwieństwie do polskiego, nie posługuje się rodzajem nijakim. A gdyby tak zaczął się posługiwać, wykorzystując nijakie e? Tak powstało *todes*, które w odróżnieniu od męskiego *todos* (wszyscy) i żeńskiego *todas* (wszystkie) ma uwzględniać każdy możliwy rodzaj płciowy.

Ale czy tak głęboka rewolucja językowa jest rzeczywiście potrzebna? Chodziłoby przede wszystkim o to, aby szerokie grupy społeczne nie czuły się usunięte w cień i zmarginalizowane przez język. Z tego względu określanie wszystkich jako *todes* nazywa się językiem włączającym.

Język tworzony jest na potrzeby rzeczywistości, w której funkcjonuje. To dlatego w języku prekolumbijskich Guarani mamy tyle słów nazywających zieleń w amazońskiej dżungli. Ale nie tylko rzeczywistość kształtuje język, bo i nasze postrzeganie rzeczywistości okazuje się warunkowane językiem. Lera Boroditsky z Uniwersytetu Stanforda wyselekcjonowała grupę rzeczowników o przeciwnych rodzajach gramatycznych w niemieckim i hiszpańskim. Następnie poprosiła osoby, dla których były to języki ojczyste, o przypisanie cech wybranym rzeczownikom. Otóż cechy podawane przez respondentów miały silny związek z cechami typowymi dla określonych płci. Most, który w języku niemieckim jest rodzaju żeńskiego (*die Brücke*) opisywano jako piękny, elegancki, smukły i delikatny. W języku hiszpańskim (*el puente*, rodzaj męski) określono go jako wielki, mocny i trwały.

Redaktoro i czytelniko

Wspomniane *ministres*, *carpinteres* czy *todes* po hiszpańsku nie brzmią zbyt dobrze, podobnie jak po polsku nie brzmiałyby dobrze niemęskie i niedamskie redaktoro bądź czytelniko. Użycie obojętnych płciowo form ogranicza się więc właściwie do kręgów akademickich największych miast – studentów i wykładowców nauk humanistycznych z Buenos Aires, Tucumánu albo Rosario. W języku włączającym nadaje się niektóre programy w uniwersyteckim radiu w Córdobie, a Uniwersytet Patagoński w Comodoro Rivadavia umożliwia pisanie zadań praktycznych, egzaminów i prac magisterskich z zastosowaniem form bezpłciowych. Tymczasem przeważająca większość Argentyńczyków patrzy na to jak na ciekawostkę i uznaje za wydziwianie. Dla dziewczyn z ubogich dzielnic problemem nie jest litera o czy e na końcu wyrazu, ich świat to gwałty na ulicy i przemoc w rodzinie. – Język włączający paradoksalnie okazuje się językiem ekskluzywnym, językiem elity – zauważa José María Gil z Uniwersytetu w Mar del Plata.

Język włączający paradoksalnie okazuje się językiem ekskluzywnym, językiem elity.

Hiszpańska Akademia Królewska (Real Academia Española, RAE), czyli instytucja zajmująca się regulacją języka hiszpańskiego i tworzeniem popularnego słownika online, również wypowiada się negatywnie. Ale dla Sol Minoldo zdanie akademii w tej sprawie nie ma znaczenia. Socjolożka tłumaczy, że rolą RAE jest nie tyle wyznaczanie reguł i określanie, w jaki sposób należy mówić, ile opisywanie, w jaki sposób mówi się w rzeczywistości. Bo język ewoluuje i gdy pewna grupa osób zaczyna używać jakiegoś wyrażenia, i to użycie się utrzymuje, RAE musi dołączyć nowe określenie do słownika.

– Ale to nie jest inicjatywa oddolna – przekonuje José Luis Moure, przewodniczący Argentyńskiej Akademii Literatury, w oficjalnym komentarzu w sprawie języka włączającego. – Mamy do czynienia nie z rozwijającą się powoli i stopniowo potrzebą ekspresji ze strony dużej społeczności, ale z odgórną propozycją stosunkowo niewielkiej grupy przedstawicieli klasy średniej, która chce narzucić swój pomysł zmian społecznych i uwidocznić to w języku.

Moure dodaje, że co prawda chodzi o jak najbardziej słuszne propozycje zmian społecznych – równouprawnienie kobiet, mężczyzn i innych tożsamości płciowych – ale tego typu modyfikacje języka nie są najlepszą drogą do celu. Według José Maríi Gila do zmiany mentalności nie wystarczą odgórne zmiany w języku, bo jeśli ktoś nie szanuje drugiego człowieka, nie będzie go szanował bez względu na ostatnią samogłoskę w *todxs*. Niemniej jednak Gil dodaje: – Wierzę, że tego typu dyskusje świadczą o tym, że żyjemy w społeczeństwie coraz bardziej wolnym i różnorodnym, i że któregoś dnia nie trzeba już będzie uciekać się do eksperymentów gramatycznych, by promować takie wartości jak równouprawnienie czy demokracja.

Prezydentka ze sprzątaczką

A dyskusji nie brakuje: że kłuje w uszy, że to kwestia przyzwyczajenia, że to niepotrzebne, a że komu to przeszkadza. Wśród mniej rewolucyjnych propozycji jest wymienne stosowanie form męskiej i żeńskiej, zależnie od sytuacji – jeśli w klasie mamy więcej dziewczynek niż chłopców, dlaczego by nie zwracać się do wszystkich *per* uczennice?

Gdy w grudniu 2007 r. Cristina Fernández de Kirchner wygrywała prezydenturę w Argentynie, była pierwszą kobietą w historii kraju wybraną na ten urząd w wyborach powszechnych. Pojawiła się wówczas wątpliwość językowa, czy Fernández została prezydentem czy prezydentką. Na łamach argentyńskiego dziennika „Clarín" Patricia Kolesnicov przytacza jedną z dyskusji na ten temat z udziałem pisarki Claudii Piñeiro. Pewien mężczyzna upierał się, że prezydentka jest tworem niepoprawnym, a słowo prezydent z definicji może się odnosić i do mężczyzny, i do kobiety. Piñeiro miała odpowiedzieć: „Sprzątaczka też jest niepoprawne? A może prezydentka – nie, a sprzątaczka – i owszem?". ■

W Ameryce Południowej fakt dominacji mężczyzn w języku wypłynął wraz z dojściem do władzy partii lewicowych.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 2364728ccd

Tomasz Borejza

Minimalizm – filozofia na XXI wiek

Rezygnując z czegoś, co nie ma wartości, zyskujemy to, co jest ważne

„W każdym kolejnym roku jest więcej bodźców, większy nacisk, więcej opcji, więcej mediów, więcej nieustającego hałasu. Uproszczenie życia i poinformowanie ludzi, że jest inna możliwość, to jak zagranie dla nich pobudki. To niezwykle cenne", mówi reżyser i fotograf Yarrow Kraner w dokumencie „Minimalizm. Film dokumentalny o ważnych rzeczach". Wskazuje w ten sposób największą siłę tej praktycznej filozofii, którą jest bardzo prosta i doskonale opisująca świat idea.

Minimalizm zyskuje bowiem coraz większą popularność. Zapewnia odtrutkę na potrzebę posiadania. Robi to z pomocą kilku celnych pytań, ułatwiających poruszanie się w świecie zdominowanym przez kulturę konsumpcji. Najprostsze brzmi: Po co to robisz? Minimaliści pytają: Czy na pewno chcesz oddać czas i uwagę, czego już nigdy nie odzyskasz, za rzeczy, których być może w ogóle nie potrzebujesz? A chcesz je mieć dlatego, że komuś innemu bardzo zależy, żebyś je kupił, i korzysta ze wszystkich dostępnych narzędzi, zachęt i kanałów komunikacji, by nauczyć cię chcieć tego, co sprzedaje.

Wyrzuć z życia to, co zbędne

Wśród apostołów tego stylu życia wyróżniają się autorzy bloga Minimaliści, kilku książek oraz internetowego podcastu Joshua Millburn i Ryan Nicodemus. Obaj zrezygnowali z dobrze płatnych prac w korporacjach, sprawiających, że byli nieszczęśliwi, by poszukać w życiu wartości. Odnaleźli je dzięki wyrzuceniu zbędnych przedmiotów oraz ograniczeniu zakupów, za które płacili czasem i uwagą. Dziś opowiadają innym o tym, co przywróciło im poczucie wolności.

Proponują, by zacząć od posprzątania domu lub mieszkania. Jednak nie chodzi o typowe porządki, ale o zrobienie tego w sposób, który pozwoli nam zorientować się, jak wielu rzeczy nie potrzebujemy, i od razu ich się pozbyć. Pierwsze minimalistyczne porządki zaczyna się od zapakowania wszystkich posiadanych rzeczy. Następnie wyznacza się jakiś okres, np. miesiąc. I jeżeli przez ten miesiąc będziemy czegokolwiek potrzebować, rozpakowujemy to i zostawiamy. A kiedy wyznaczony okres dobiega końca, wszystko, co wciąż jest zapakowane, wyrzucamy lub oddajemy. Dzięki temu pozbywamy się wszystkiego, co tylko zagraca nasze życie, i zachowujemy rzeczy potrzebne.

W minimalizmie nie chodzi bowiem o to, żeby niczego nie mieć. Miejmy jednak tylko to, co jest potrzebne lub dodaje wartości życiu. Jeżeli więc twojemu życiu wartości doda nowy rower, kup nowy rower. Ale porządny, żeby dobrze na nim się jeździło i nie trzeba było go za szybko wymieniać. Po co zaśmiecać umysł i środowisko kupowaniem tego samego dwa lub trzy razy, skoro można to zrobić raz? Nie warto natomiast kupować go na kredyt, który później trzeba spłacać. To każe o sobie pamiętać i robić rzeczy, których nie chcemy robić. Czyli np. sprzedawać nasz czas i uwagę ludziom, którzy ich nie szanują. Co zatem zrobić, jeżeli chcemy kupić – to jeden z przykładów – nowy samochód, ale musimy wziąć kredyt? „Nie kupuj samochodu na kredyt. Jeżeli musisz pożyczać pieniądze, żeby kupić samochód, to znaczy, że nie stać cię na niego. Kup taki samochód, na który cię stać", radzą Minimaliści w podcaście.

Po co zaśmiecać umysł i środowisko kupowaniem tego samego dwa lub trzy razy, skoro można to zrobić raz.

Czy to dodaje wartości twojemu życiu?

W nawigowaniu po świecie rozpasanego konsumpcjonizmu kluczowe jest pytanie: Czy to dodaje wartości twojemu życiu? Jeżeli tylko wydaje ci się, że czegoś chcesz – może to być nowy telewizor, dom, wycieczka do Egiptu, aplikacja w telefonie, samochód – zapytaj sam siebie, czy zakup doda wartości twojemu życiu. Jeżeli odpowiesz, że doda, odczekaj miesiąc. Jeżeli nadal będziesz chciał tej rzeczy, kup ją. Tylko koniecznie porządną. Porządne i dające się naprawić – zwracają uwagę minimaliści – jest lepsze dla ciebie i środowiska.

Minimalistów szybko przybywa. Jednocześnie mnożą się dobre rady, jak wyczyścić dom i głowę. Niektórzy podpowiadają, by porzucić kupione na kredyt metry kwadratowe i znaleźć rozwiązanie, które nie uzależnia człowieka od banku. Zdarzają się tacy, którzy zamieniają dom na mieszkanie, ale i tacy, którzy na mieszkanie wybiorą kampera, przerobiony

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 2364728ccd

autobus lub własnoręcznie odremontowany garaż. Inni podpowiadają, by w szafie zostawić 33 rzeczy – wliczając w to buty, biżuterię i bieliznę – i przez trzy miesiące sprawdzać, czy potrzebujemy czegoś więcej. A kiedy już przekonamy się, że to wystarcza, resztę rozdać. Większość ludzi uzna takie podpowiedzi za przesadę, ale skupienie się na każdej z osobna nie ma większego sensu, bo odwraca uwagę od sedna sprawy.

A dla minimalistów sposobem na zapewnienie sobie możliwie dużego zakresu wolności w życiu jest nie dorobienie się dużych pieniędzy, ale ograniczenie tego, ile pieniędzy potrzebujemy. Im mniej, tym mniej jest rzeczy, które musimy robić.

Stoicka pochwała prostoty

To nie są nowe idee. Pochwała prostoty i prostego życia myślącym ludziom towarzyszy od zawsze i w każdej kulturze. Gdyby poszukać w Azji, na pierwszym planie pojawia się Dalajlama, który – jak prawdziwy minimalista – mówił: „Jeżeli czyjeś życie jest proste, przyjdzie zadowolenie. Prostota jest niezwykle ważna dla szczęścia". Jeżeli ktoś woli przykłady z zachodniego kręgu kulturowego, bo czuje się w nim lepiej, to szukając pierwszych minimalistów, trzeba wrócić do początków. Pomysł na życie, który przeżywa właśnie renesans, jest tym, do czego przekonywali helleńscy i rzymscy stoicy. Uczyli oni, że szczęście można odnaleźć w umiarze, wyzbyciu się zbędnych potrzeb, prostocie i umiejętności docenienia tego, co się ma i co człowieka spotyka. Rzeczy – radzili – należy używać i korzystać z nich w miarę potrzeb, ale nie można do nich się przywiązywać. Ich gromadzenie nie może być celem, bo to odbiera szczęście. Seneka uczył, że „nikt nie ma takiej władzy, by mieć wszystko, co zechce mieć". Każdy ma jednak wystarczającą władzę – pisał – by nie chcieć tego, czego nie ma, i cieszyć się tym, co do niego przychodzi.

Stoicy większy nacisk kładli wprawdzie na los niż na dobra materialne, ale były to inne czasy. Półki nie uginały się od taniego importu z Azji, a nadmiar mógł być problemem jedynie dla najbogatszych. Dziś niemal każdy może pozwolić sobie na udział w orgii konsumpcji i gromadzić niepotrzebne przedmioty, zaśmiecając nie tylko świat, ale i swój umysł. I płacąc za to tym, co ma najcenniejszego: czasem oraz uwagą. Pewnie gdyby helleńscy i rzymscy stoicy nauczali dzisiaj, byliby minimalistami. Amerykanie głoszą bowiem te same idee, które głosili Zenon z Kition, Seneka, Epiktet i Marek Aureliusz. Z tą różnicą, że 2 tys. lat temu nie trzeba było nagrywać podcastów i filmików na YouTubie, by trafiać do ludzi.

Społeczeństwo, które żyje, by mieć

Yuval Noah Harari tak charakteryzuje istotę współczesnej kultury: „Konsumpcjonizm ciężko się napracował, ręka w rękę z popularną psychologią (»Rób to, na co masz ochotę!«), by przekonać ludzi, że folgowanie przyjemnościom dobrze im robi, podczas gdy oszczędność jest samoumartwianiem. I dopiął swego. Wszyscy jesteśmy porządnymi konsumentami. Kupujemy nieprzeliczone mnóstwo produktów, których tak naprawdę nie potrzebujemy i o których do niedawna nie wiedzieliśmy, że w ogóle istnieją. Producenci celowo wprowadzają na rynek produkty o krótkim cyklu życia i wymyślają coraz nowsze i całkowicie niepotrzebne modele zastępujące zupełnie zadowalające nas produkty, które musimy kupować, żeby »nie zostać w tyle«". Mierzenia wartości życia dobrami materialnymi uczono nas od lat. I udało się to zrobić na tyle, że jesteśmy gotowi poświęcać czas i całą uwagę, by kupować rzeczy, bez których moglibyśmy się obejść.

Przy tym wszystkiego jest ostatnio za dużo. Nie tylko rzeczy. Także bezwartościowych informacji i idei, płytkich relacji oraz pozbawionej znaczenia komunikacji, kradnących czas i uwagę. Minimalizm uczy, że w takim świecie bardzo często mniej znaczy więcej. A kluczem do szczęścia jest życiowy umiar, bo rezygnując z czegoś, co nie ma wartości, zyskujemy to, co jest ważne. ■

Pierwsze minimalistyczne porządki zaczyna się od spakowania wszystkich posiadanych rzeczy.

WYDAWNICTWO STUDIO EMKA POLECA

Gretchen Rubin
Projekt szczęście
Przekład Małgorzata Małecka

Pewnego deszczowego popołudnia Gretchen Rubin doznała prawdziwego objawienia w najmniej spodziewanym miejscu: autobusie komunikacji miejskiej. W owej chwili postanowiła poświęcić rok, aby zrealizować projekt szczęście. Rubin opisuje swoje przygody z 12 miesięcy, w trakcie których sprawdzała na sobie teorie dawnych mędrców, wyniki najnowszych badań oraz popularne porady, jak stać się szczęśliwym.

David Bach, John David Mann
Efekt latte
Dlaczego nie trzeba być bogatym, by mieć bogate życie
Przekład Adam Bukowski, Jacek Środa

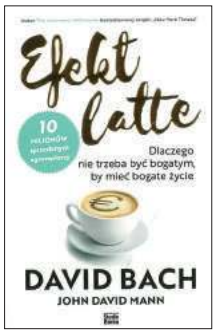

A gdyby tak, bez większego ryzyka i drastycznych zmian, osiągnąć wolność finansową i podążyć za marzeniami? Poznaj efekt *latte*. Jesteś bogatszy, niż ci się wydaje. Efekt *latte* może pomóc każdemu – starszym przedstawicielom wyżu demograficznego, niepewnym, czy odłożyli wystarczające środki na emeryturę, a także milenialsom ze studenckimi kredytami. Każdy może osiągnąć niezależność finansową. Książka wciąga i krzepi od pierwszej strony, można ją poznać w niecałą godzinę, ale jej wpływ pozostanie z nami na zawsze.

eprasa.pl 2364728ccd

Kwarantanna po francusku

Już kilka dni po przyjeździe – tak jak 3 mld ludzi – zmienialiśmy plany. 17 marca we Francji wprowadzono kwarantannę

Halina Zielińska
Korespondencja z Francji

Jak mawiał Stefan Kisielewski, „zaczęliśmy się urządzać". Byłoby głęboką niewdzięcznością narzekanie na los i niedocenianie komfortowych warunków, w jakich przyszło nam spędzać przymusową izolację.

Mamy przestrzeń, której brakuje milionom ludzi zamkniętych w czterech ścianach mieszkań, a te z pewnością wraz z upływem czasu wydają się im coraz ciaśniejsze. Przeprowadzony w BFM TV wywiad z mężczyzną uwięzionym na całe życie w inwalidzkim wózku musi uczyć pokory. W przeciwieństwie do niego większość z nas może liczyć na ułaskawienie i odzyskanie wolności.

Co dzień na wieczornej konferencji prasowej minister zdrowia zdaje drobiazgowe sprawozdanie z rozprzestrzeniania się epidemii i podaje szczegółową statystykę: ile przeprowadzono testów, ile odnotowano zachorowań i zgonów, jakie departamenty koronawirus szczególnie sobie upodobał.

Paryż i jego najbiedniejsze dzielnice, takie jak St. Denis, zajmują mało zaszczytne pierwsze miejsce. Nie dziwi więc, że na nasz samochód z paryską rejestracją tu, na wsi, ludzie patrzą z niechęcią, jakbyśmy nim rozwozili koronawirusa.

•

Ćwiczymy udoskonalanie sposobów niegrania sobie na nerwach. Unikanie siebie i konfliktów ułatwia fakt, że nie jesteśmy skazani na mieszkanie pod jednym dachem. K. – jak zwykle – mieszka w głównym domu. Zanim ta wiejska posiadłość, odległa o 100 km od Paryża, stała się *maison secondaire,* weekendowym domem, mieszkała tam z dziećmi i wtedy jej, a teraz moim, mężem. Taki układ wielu może się wydać szczególnie konfliktogenny, ale właściwie nigdy nie dochodziło na tym tle do zatargów. Wręcz przeciwnie, nasi patchworkowi synowie żartują, że M. ryzykuje życie i ponosi karę, mieszkając z dwiema żonami, byłą i obecną.

My zajmujemy domek mniejszy, co nie znaczy mały, a ogromny, otoczony murem ogród chroni nas przed atakami koronawirusa. Spacer do końca ogrodu to 500 kroków w jedną stronę, 30 kroków – do K. Gdyby ten dystans przemnożyć przez odrobinę dyscypliny, okazałoby się, że spacerujemy tu więcej niż w Warszawie.

Odpuszczamy przesadne utrzymywanie porządku. Zwykle od lat pomagała nam zaprzyjaźniona *femme de ménage*, ale oczywiście nie ma mowy o wychodzeniu z domu. Dostajemy od niej numer koleżanki, odważniejszej, ale nie na tyle odważnej, żeby ryzykować dla dodatkowego zarobku.

•

W pierwszych dniach po wygłoszonym przez prezydenta Macrona orędziu Francuzi ulegli panice. Ze sklepów natychmiast zniknęły papier toaletowy i niektóre gatunki kawy, alkohol był wywożony wózkami, wyładowanymi butelkami wina, whisky i pastisu.

W jednym z departamentów szybko wprowadzono zakaz sprzedaży alkoholu, argumentując go rosnącą przemocą domową. Po trzech tygodniach wiadomo, że sześć na dziesięć interwencji policji dotyczy domowych konfliktów nieograniczających się do ostrej wymiany poglądów. Więcej zrozumienia dla ludzkich słabości miał rząd Kanady, gdzie alkohol uznano za produkt pierwszej potrzeby.

W trosce o nasze dobre samopoczucie sąsiad – od lat bliski przyjaciel – zaproponował bezdotykową wymianę barterową. On nam przed bramą swojego domu postawi butelkę samogonu, my jemu polską żubrówkę. Nawiasem mówiąc, prawo pędzenia bimbru kiedyś przysługiwało weteranom wojny algierskiej. Jak może z niego korzystać S., za młody na uczestnika wojny algierskiej i z dziada pradziada przywiązany do rodzinnej wioski? Nigdy nie dociekaliśmy prawdy, szczególnie że jego calvados pędzony z własnych jabłek należy do najlepszych w okolicy.

Sześć na dziesięć interwencji policji dotyczy domowych konfliktów nieograniczających się do ostrej wymiany poglądów.

•

Francuzi masowo uczą się piec chleb, więc już w pierwszych dniach wprowadzenia kwarantanny zniknęły mąka i drożdże.

Francuzi uczą się robić konserwy, więc już w pierwszych dniach zniknęły weki.

Po tygodniu wszystko wraca do normy, a po dwóch zaczyna się or-

eprasa.pl 2364728ccd

Zajmujemy domek mniejszy, co nie znaczy mały, a ogromny ogród chroni nas przed atakami koronawirusa.

ganizować obwoźny handel. W naszym miasteczku codziennie oprócz wtorków o godz. 13.30 pojawia się ciężarówka, której właściciel sprzedaje artykuły spożywcze pierwszej potrzeby: chleb, owoce i jarzyny z własnych upraw. Od razu wyrasta konkurencja – piekarz przywozi bagietki, croissanty i *viennoiseries*, czyli słodkie tarty, ciasta i ciasteczka. W sąsiednim miasteczku ryby są dowożone na zamówienie i zostawiane na schodach domu z dołączonym do paczki rachunkiem.

Jak wiadomo, Francuzi już przy śniadaniu omawiają menu na kolację... następnego dnia. W radiu France Inter, którego słuchamy często, rezygnując z pogłębiającej koronawirusowy stres telewizji, znany kucharz Grégory Cohen codziennie o godz. 11 podaje swoje przepisy, zostawiając godzinę czy dwie tym, którzy chcieliby je natychmiast wypróbować. Czasem wzbogaca je równie smacznymi informacjami na temat pochodzenia różnych produktów, dzięki czemu tak prymitywne zajęcie jak gotowanie ziemniaków zyskuje aspekt naukowy.

Kuchnia staje się laboratorium, gdzie zabija się nudę, eksperymentując z coraz wymyślniejszymi potrawami. Ogołocone w pierwszych dniach sklepowe półki zapełniają się artykułami niewiele – przynajmniej dla Polaków – mającymi wspólnego z pierwszą potrzebą. Tyle że codziennie brakuje na nich chleba, więc chyba trzeba posłuchać rady królowej Marii Antoniny i jeść ciastka.

Francuzi masowo uczą się piec chleb, więc już w pierwszych dniach kwarantanny zniknęły mąka i drożdże.

W telewizji znany filozof twierdzi, że jedzenie bez ograniczeń ulubionych potraw skutecznie chroni przed depresją.

•

Zaczęliśmy tęsknić do Polski, z której przecież wyjeżdżaliśmy z radością i perspektywą spędzenia kilku tygodni w świętym spokoju. Ale nawet luksusowe więzienie nadal jest więzieniem, a zakaz wywołuje w człowieku dziecięcy odruch sprzeciwu i zrobienia czegoś na odwrót.

Tymczasem internet w roamingu pożera kolejne mega i giga z chorobliwym wręcz apetytem, nie licząc się z kosztami, jakie będziemy musieli ponieść za dokupywanie kolejnych bajtów. Z drugiej strony czy to, czego się dowiemy z polskiej telewizji, warte jest naszych nerwów i bezsilności?

We francuskiej telewizji sytuacja w Polsce pomijana jest tak, jakby ten kraj w ogóle przestał istnieć na mapie Europy. Mówi się o małych i malutkich państewkach, takich jak Czechy i Słowacja, ale nasz koronawirus nie wydaje się godny zauważenia.

Widzimy jednak, że wpisy na Facebooku są coraz ostrzejsze, coraz bardziej dosadne. Że ludzie przestają przebierać w słowach, ale nawet te wydają się za bardzo eleganckie i kulturalne. Czytamy, że stajemy się jak stalinowska Rosja czy Rumunia Ceauşescu. A przecież już dawno wiadomo było, że powinno się posłuchać rady Katona Starszego, który każde swoje wystąpienie w rzymskim senacie kończył słowami: „A poza tym uważam, że Kartaginę trzeba zniszczyć".

•

Jakby mało było restrykcji, rodzina, specjalnie dla mnie, wprowadza dodatkowe ograniczenia. Jako nałogowy palacz palić papierosy mogę wyłącznie w miejscach odludnych. Stosują cały arsenał nękania, zastraszania, wyśmiewania, obrzydzania, gróźb finansowych, rozwodowych i fizycznych. W tę perfidną grę została wciągnięta Paszczak, nasza kochana suczka, która ostentacyjnie nie toleruje papierosowego dymu.

Tymczasem paczka marlboro w – niestety, oddalonej od nas, ale ciągle działającej – *tabac* kosztuje 10 euro, sumę przeliczaną przez mojego męża na butelkę whisky albo trzy wina.

•

29 marca obchodzę urodziny i od tego dnia należę do grupy szczególnie narażonej na COVID-19. Tyle że z tej przynależności do szacownego grona nie wynikają żadne przywileje ani względy ze strony służb medycznych. Wręcz przeciwnie, krążą plotki, że te w przepełnionych szpitalach starym i niedołężnym ludziom ułatwiają przeniesienie się na lepszy świat, gdzie – mam nadzieję – nie istnieje żadna forma segregacji.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2364728ccd

Przypominam sobie powiedzenie Juliusza Cezara, że w nowych okolicznościach plotka wyprzedza fakty.

Z ostatnich informacji skrupulatnie podawanych przez ministra zdrowia na jego codziennej konferencji prasowej wynika, że liczba zgonów w wyniku zarażenia koronawirusem w tzw. EHPAD-ach, domach opieki społecznej, wzrosła do 3237 osób. To jedna trzecia wszystkich zgonów odnotowanych we Francji od początku epidemii.

•

Już w pierwszych dniach kwarantanny rząd wprowadził obowiązek noszenia ze sobą papierowej wersji *attestation de déplacement dérogatoire*, w której oprócz imienia, nazwiska, daty urodzenia i miejsca zamieszkania wpisywać trzeba godzinę wyjścia poza dom. Wzór tego zezwolenia, natychmiast przechrzczonego przez nas na *ausweis*, rozsyłany był internetem do wydrukowania sobie w domu.

W sklepach najpierw podskoczyły ceny drukarek, które to urządzenia szybko stały się towarem nieosiągalnym.

Kilka dni temu minister spraw wewnętrznych dostrzegł rynkowe braki i zalety cyfryzacji, udostępniając aplikację na telefony komórkowe i rezygnując z konieczności noszenia wersji papierowej. Było to podyktowane nie ratowaniem przed produkcją makulatury, ale „szukaniem metod monitorowania osób łamiących zasady kwarantanny". Francuzom, szczególnie czułym na punkcie wolności obywatelskich, może akurat nie najszczęśliwiej wskazano przykład Polski, gdzie już wprowadzono taki sposób inwigilowania obywateli.

•

Jak łagodzić, zaostrzając? Żeby zdyscyplinować niesfornych Francuzów, po miesiącu zmęczonych *confinement*, uwięzieniem, i coraz częściej ignorujących zakazy, wprowadzane są jeszcze ostrzejsze reguły i jeszcze wyższe kary za ich łamanie. Intensywne życie towarzyskie prowadzone na balkonach i parapetach przestaje wystarczać. W ciepłą niedzielę na ulicach Paryża pojawiły się tysiące ludzi ostentacyjnie spacerujących bez maseczek i rękawiczek. W poniedziałek więc mer informuje, że liczba osób zakażonych koronawirusem wzrosła o kilkaset.

W Nicei władze miasta chcą wprowadzić zaciemnienie po godz. 19.

W Paryżu wprowadzono zakaz uprawiania sportu między godz. 10 a 18.

W miejscowościach nadmorskich lokalne służby porządkowe demontują ławki na deptakach.

Coraz więcej miast wprowadza zakaz poruszania się po ulicach bez maseczek, wiedząc, że maseczki są nieosiągalne.

Łagodzenie zaś polega na bezowocnych i czysto teoretycznych dyskusjach, jak wprowadzać *déconfinement*, czyli likwidowanie kwarantanny. Razem czy osobno? Kolejnymi departamentami czy naraz w całym kraju? Pójść za przykładem Austrii i zezwolić na otwieranie małych sklepów i restauracji? Ale – zapytał ktoś przytomny – jak jeść z maseczką na ustach?

Halina Zielińska

eprasa.pl 2364728ccd

Mistrzowie świata – tylko w czym?

Zacznijmy od informacji, która przeszła przez media. To opinia Biura Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka OBWE. Czytamy w niej, że „wybory prezydenckie w Polsce w obecnej formie nie spełniają wymogów OBWE, by zostać uznane za demokratyczne".

„W naszej ocenie projekt ustawy (o wyborach pocztowych – przyp. A) wymaga znaczących poprawek, by być w zgodzie ze zobowiązaniami wynikającymi z członkostwa w OBWE i innych międzynarodowych standardów dotyczących demokratycznych wyborów", piszą autorzy opinii. I nie jest to opinia dyletantów – obserwowanie i ocena wyborów pod kątem zachowania standardów demokratycznych to jedno z głównych zadań Biura, które wysyłało obserwatorów prawie 200 razy.

Dodajmy jeszcze jedno: takich opinii z instytucji międzynarodowych będzie więcej, przyjaciele Polski będą je pisać z troską, wrogowie – z radością, że wypychają Warszawę na margines. Takie są realia polityki międzynarodowej. I albo umie się je wykorzystać, albo nie.

Co warte przypomnienia, były czasy, kiedy Polska wykorzystywała te realia znakomicie, co zresztą przypomina samo Biuro.

Mieści się ono w Warszawie, przy ul. Miodowej. Samo zainstalowanie go w naszej stolicy nastąpiło w wyniku wielu starań. Decyzja została podjęta podczas tzw. drugiego szczytu KBWE, w Paryżu, w listopadzie 1990 r. Ten szczyt odbywał się w doniosłej atmosferze, rok po jesieni ludów. Podpisano wówczas Paryską Kartę Nowej Europy, składającą się z trzech części.

W pierwszej, zatytułowanej „Nowa era demokracji, pokoju i jedności", m.in. wypisano idee, które powinny służyć trwałej demokratyzacji. Są to: katalog praw człowieka i system gwarancji ich przestrzegania, rządy prawa, zasada wolnych i demokratycznych wyborów, pluralizm polityczny, niezależne i apolityczne sądownictwo.

Druga część nosi tytuł „Wytyczne na przyszłość". A trzecia – „Nowe struktury i instytucje procesu KBWE". Jedną z tych struktur było Biuro Wolnych Wyborów, które później przemianowano na Biuro Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka. I ustalono, że jego siedzibą będzie Warszawa.

To oczywiście nie stało się samo z siebie, o to należało powalczyć. Za te starania należą się ukłony trójce dyplomatów: wiceministrowi Jerzemu Makarczykowi oraz Jerzemu Nowakowi i Andrzejowi Towpikowi. Okazali się nad wyraz skuteczni, przez kilka tygodni przekonując zachodnich dyplomatów do tej lokalizacji. Nie miejmy złudzeń, wtedy, w roku 1990, Warszawa nie należała do miast, które zachodni Europejczycy oceniają jako przyjazne do życia.

Ale udało się, mieliśmy zresztą w tym czasie znakomitą prasę, więc mogliśmy grać na wyrost. Tak zresztą było w innej rozgrywanej w tamtym czasie partii – chodzi o zjednoczenie Niemiec i przymuszenie kanclerza Kohla do szybkiego uznania nienaruszalności granicy polsko-niemieckiej. Kohl próbował to przeciągać, miał mocne argumenty, ale nie przeciągnął. Jest zapis jego słów z tamtych lat. Otóż gdy tak się upierał, przyszedł do niego szef niemieckiego MSZ (i koalicyjnej FDP) Hans-Dietrich Genscher z prośbą, by wreszcie sobie odpuścił. Na co Kohl tylko jęknął: „Polacy są mistrzami świata w zdobywaniu sympatii!".

A w czym dziś jesteśmy mistrzami?

Attaché

Park Muru w Berlinie, mural z prezydentami USA i Chin. Klasyka fotografii inspiruje.

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 2364728ccd

JOLKA

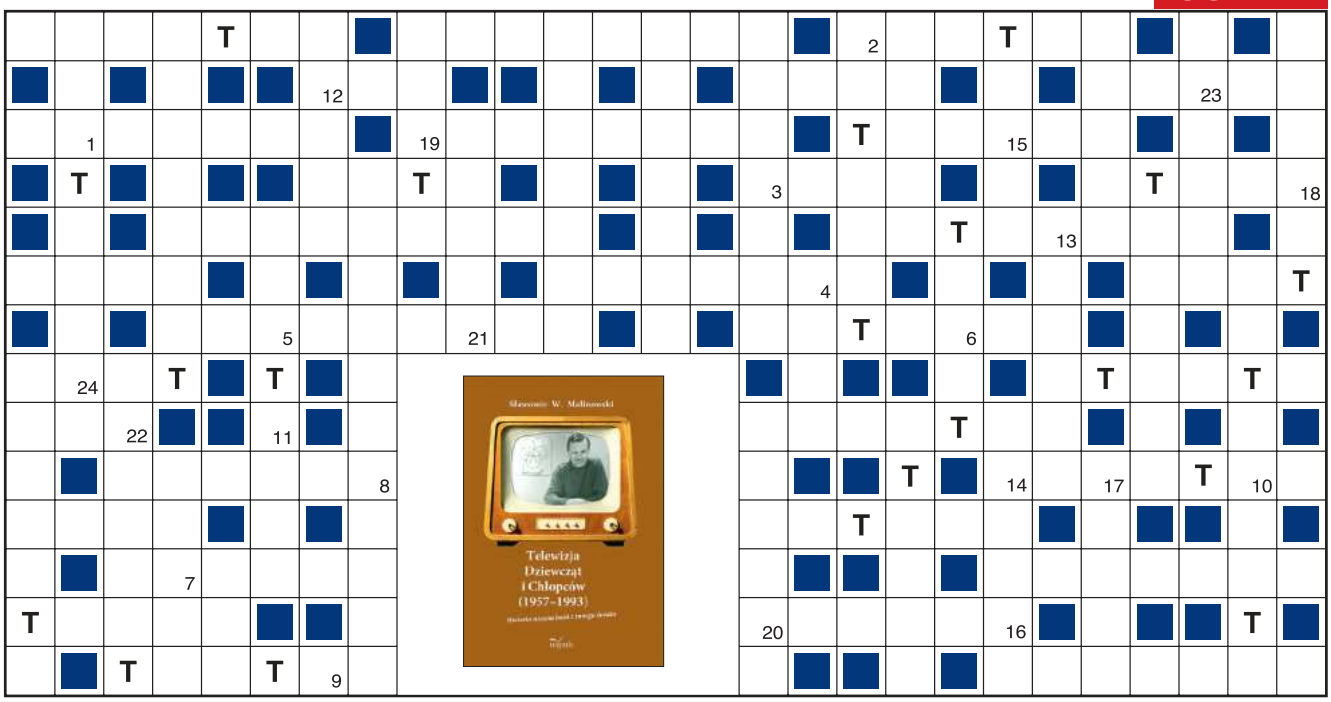

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- protoplasta i patriarcha narodu izraelskiego
- gaz w palniku spawacza
- „…i róże” – komedia Szaniawskiego
- propagandowa ulotka lub mówka
- płaska teczka bez rączki
- przerwa w spektaklu
- ważki w dyskusji
- Tatarzyn na nim jeńca prowadził
- Edwin Hubble lub Aleksander Wolszczan
- koszowy na Siczy Zaporoskiej
- ojciec Hesperyd
- kłamie, by wywrzeć wrażenie
- coś tam za nim klaszcze, jak cholera u Gałczyńskiego
- francuski ser z białą pleśnią
- i ciastko, i suwak
- pośpieszna przesyłka pocztowa
- szklista powłoka do zdobienia
- nienaturalnie wysoki, piskliwy głos
- firma motoryzacyjna Agnellego
- żaglowiec taki jak „Dar Pomorza”
- urwis, ziółko
- paraduje w stroju Adama
- i piorun, i polska jednostka specjalna
- bryłka
- z nią – energicznie
- …z Czarnkowa – kronikarz
- próg skalny w rzece
- albo przemysłowy, leśny, albo niższości
- rzut rożny z angielska
- wysokie buty zimowe
- ani jej – wcale
- harcerski symbol
- na własnym lepiej nie wyhodować żmii
- o wybitnym kompozytorze, dyrygencie
- nieelegancki odgłos jedzenia
- rezerwa, sceptycyzm, podejrzliwość
- inny tytuł „Domu lalki” Ibsena
- lniany na stole
- na oczach Temidy
- zawierany z diabłem
- radiowa to np. „W Jezioranach”
- nazwany od promienia po łacinie
- gdy przesilenie letnie, Słońce w zenicie nad jego zwrotnikiem
- bezlistna gałązka
- strój maluszka na niepogodę
- w połciach
- stos, góra czegoś
- z dezaprobatą lub uznaniem o spryciarzu
- przecinek pod kropką
- czerwone znaczy stop
- strateg
- głos Andrei Bocellego
- widnieje w godle Watykanu
- …węgla – czad
- dla co śmielszych plażowiczek
- smar wprost i wspak
- co rozpływa się w nich, jest pyszne
- budżetowa lub zasadnicza
- instrument dęty blaszany, inaczej róg
- mieć go – brać pod uwagę
- fenomen
- dręczący sen

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-959”. Do rozlosowania książki „Telewizja Dziewcząt i Chłopców” ufundowane przez Impuls. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 maja 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-956” z 19 kwietnia: *Siłę wolno odpierać siłą.* Nagrody otrzymują: Karolina Klimczak ze Zgorzelca, Cecylia Patyk z Lipska, Ireneusz Wanecki z Bielan Wrocławskich.

eprasa.pl 2364728ccd

PENETRACJE

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM BONIECKI,

Mówi się, że człowiek umiera w samotności. Ale nie tylko w umieraniu jesteśmy samotni. Przez całe życie uczymy się jednocześnie bycia z innymi i samotności. Są progi naszego wnętrza, których innym ludziom niełatwo przekroczyć. Granice, za które nie wpuszczamy nikogo. Ostatecznie w najważniejszych momentach, nawet przy bliskości tych, które kochamy, jesteśmy samotni. Od tego nikt nie ucieknie.

odra

PIOTR GAJDZIŃSKI,
PUBLICYSTA

Andrzej Wszystko Może Duda – to ten Duda z kampanii 2015 r. – po pięciu latach jest wypalony, upokorzony i sponiewierany. Nie przez opozycję, ale przez własny obóz polityczny. Na dodatek nie sprzyjają mu okoliczności. Przez lata starał się budować obraz „brata łaty", postaci rodem z prowincjonalnego (bo na prowincji ma najwięcej zwolenników) show-biznesu. Ale wybuchła epidemia i Polacy chcą nie showmana, tylko przywódcy. Czy przywódcą może być człowiek, który zamiast spotykać się z głowami innych państw, spędza prezydenturę wśród kół gospodyń wiejskich, a jeśli już spotyka się z prezydentem USA, to nawet dokumenty musi podpisywać na stojąco, w rogu biurka?

zwierciadło

PIOTR BECZAŁA,
TENOR LIRYCZNY

Dyrektor wiedeńskiego Theater an der Wien chciał, bym u nich zaśpiewał, i dał mi możliwość wyboru spektaklu. Nie mogliśmy się dogadać co do repertuaru i już na odchodnym półżartem rzuciłem, że jak zdecyduje się wystawić „Halkę", to kontrakt możemy podpisać od razu. Cztery dni później zadzwonił, że jest zainteresowany. To było siedem lat temu, ale pamiętajmy, że wystawienie opery to wielkie przedsięwzięcie, a największe teatry świata planują wszystko z ogromnym wyprzedzeniem. Mój kalendarz na 2035 r. jest już niemal całkowicie zamknięty.

TYGODNIK ANGORA

OLGA KELM,
MISTRZYNI POLSKI
W FITNESS MASTERS NPC

Najważniejsze są proporcje ciała, czyli rzecz, za którą w dużej mierze odpowiada genetyka. Trzeba dołożyć swoje na siłowni, ale te osoby, które mają w genach zapisaną odpowiednią budowę ciała, są w o wiele lepszej sytuacji. Sama zmagam się z problemem zbyt szerokiej talii, co jest moją wadą sylwetkową. Ponadto mam bardzo wąskie biodra, więc musiałam „dorobić" boki ćwiczeniami. Na szczęście nadrabiam barkami, plecami i nogami. Z nich jestem szczerze zadowolona. Jestem po dwóch ciążach, więc mój brzuch nigdy nie będzie wyglądał jak kiedyś, ale ćwiczeniami można zdziałać bardzo wiele.

Warszawski Mariensztat, planowany punkt wyborczy na wybory prezydenckie.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Aby język giętki…

WOJCIECH MANN O WYBORACH

Przestańmy wreszcie jak barany słuchać oszołomów. *Fuck them all*.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ O ANDRZEJU DUDZIE

Nie wykluczam i takiego scenariusza, w którym będzie musiał uciekać z Pałacu Prezydenckiego. Niech sobie przypomni historię Janukowycza.

OLGA TOKARCZUK O PRZYSZŁOŚCI

Staniemy się bardziej radykalni i będziemy szukać bardziej radykalnych rozwiązań.

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA O WYBORACH

W PiS się zorientowali, że uczciwie nie wygrają. To strach przed utratą władzy i wyraz desperacji.

STANISŁAW TYM O JACKU SASINIE

Oglądam wiceoszusta rządu, który mówi o zaletach korespondencyjnych wyborów prezydenckich jak o piłowaniu paznokcia.

ABELARD GIZA W LIŚCIE DO JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO

Panie Jarku, pozwalam sobie na ten familijny ton, bo widuję pana ostatnio częściej niż własnych rodziców. Naczelniku brzmiałoby jakoś oschle, a Panie Boże zajęte jeszcze.

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI O PIOTRZE GLIŃSKIM

Minister przeznaczył na ratowanie polskiej kultury (320 tys. zatrudnionych) 20 mln zł, czyli 1% rocznej dotacji, jaką dostała TVP.

JOANNA KULIG O PAWLE PAWLIKOWSKIM

Na planie ma aktorów polskich, francuskich, amerykańskich i każdego reżyseruje w ojczystym języku.

JERZY PILCH O NOTESIKACH

Porządkuję notesiki, które zapisuję i zbieram. Mam ich kilkaset, 200 na pewno. Zapisuję tam pomysły, zdania.

KATARZYNA NOSOWSKA O KREMACH

Weszłam do łazienki i zobaczyłam, ile mam kremów na noc. Przecież nie ma tylu nocy.

AGATA KULESZA O BUDZIKACH

Skoro nie mam nad sobą musu, pędu, nastawiam sobie budzik dla przyjemności, ot tak, żeby zadzwonił.

eprasa.pl 2364728ccd

Wiązanie i przecinanie online

Pandemia COVID-19 wymusza niecodzienne funkcjonowanie instytucji publicznych. W stanie Nowy Jork jedynym sposobem na związanie się węzłem małżeńskim jest obecnie wideokonferencja. Oblubieńcy i świadkowie spotykają się z urzędnikami online, a po ceremonii przesyłają niezbędne dokumenty mejlem lub faksem. „Teraz nie będzie wymówek, jeśli pojawi się pytanie o ślub", zażartował gubernator stanu, Andrew Cuomo. Zdalny charakter miała również uroczystość oddania do użytku tunelu Ryfast w Norwegii. Tamtejszy minister transportu, Knut Arild Hareide, przeciął wstęgę, siedząc przed komputerem w swoim oddalonym o 450 km biurze w Oslo, na tle balonów w kolorach norweskiej flagi.

Płaćcie i poćcie się

W większości krajów siłownie i kluby fitness są zamknięte, utrudniona jest także aktywność fizyczna na świeżym powietrzu. Dla tych, którzy w trosce o sylwetkę są gotowi gimnastykować się w domu, marka Louis Vuitton przygotowała specjalną ofertę. W ekskluzywnej kolekcji przyrządów do ćwiczeń znalazły się m.in. hantle za ponad 2,7 tys. dol. oraz luksusowa skakanka. Nabywcy nie mają gwarancji schudnięcia, za to mogą mieć pewność, że ich portfele staną się znacznie lżejsze.

Pomysł, że muchówka nie siada

Trwają prace nad uczynieniem słynnych belgijskich gofrów zdrowszymi i bardziej ekologicznymi. Spece z Uniwersytetu w Gandawie eksperymentują z tłuszczem z larw muchówek, w celu zastąpienia nim części masła dodawanego do wspomnianego przysmaku. Okazało się, że

nawet podmienienie połowy masła nie zmienia smaku gofrów. Tłuszcz z owadów jest lepiej trawiony niż mleczny, ma właściwości antybakteryjne i przeciwgrzybiczne, a jego produkcja jest pod wieloma względami mniej uciążliwa dla środowiska.

Zwiedzanie palcem po ekranie

Podróżowanie po świecie stało się niemal niemożliwe, ale od czego jest internet. Przykładowo na stronie remote-tourism.com można zarezerwować udział w wirtualnym zwiedzaniu Wysp Owczych. Pomysłodawcy porównują to do gry komputerowej, w której jeden z miejscowych staje się naszym awatarem. Wyposażony w kamerkę nadaje relację z wycieczki, a my na żywo decydujemy, gdzie ma pójść, pobiec czy wspiąć się. Projekt umożliwia także podziwianie wspaniałych krajobrazów z lotu ptaka, ponieważ nasi lokalni pełnomocnicy mogą latać helikopterami. Wycieczki po wyspach odbywają się o określonych godzinach, a każdy z wirtualnych turystów ma wyznaczony czas sterowania awatarem.

Gdy oczy się kleją...

Co robić, gdy liczba długich i nudnych wideospotkań służbowych przekracza naszą wytrzymałość? Praktycy radzą zainteresować się naklejkami na powieki, przedstawiającymi otwarte oczy. Produkt firmy Roylco daje szansę na dyskretną drzemkę przy symulowaniu stanu wytężonej uwagi. Cena nie jest zaporowa (150 nalepek kosztuje ok. 100 zł), ale widzimy inny problem. Jak, w razie czego, wytłumaczyć się z chrapania?

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 2364728ccd

Uratowane zwierzęta – sowa uszata z ośrodka rehabilitacji zwierząt chronionych i mały gibon z agencji ochrony przyrody w Banda Aceh.

Wygrany przegrany

Sąd Apelacyjny Quebecu ostatecznie rozstrzygnął kwestię długów niejakiego Edmunda Marka Hoopera, wynoszących równowartość 1,5 mln zł, których narobił sobie, grając w… papier, nożyce, kamień. Prawo obowiązujące w tej kanadyjskiej prowincji stanowi, że w zakładach wzajemnych stawka nie może być zbyt wysoka. W 2017 r. sąd uznał, że w omawianym przypadku ta zasada została złamana, co skutkuje nieważnością zakładu. Sąd apelacyjny podtrzymał decyzję, co można ująć bardziej poetycko: kamienne serce wierzyciela przegrało z papierami prawników dłużnika.

Na łonie zapomnij o smartfonie

Z polsko-słowackich badań, których główną autorką jest Martyna Frątczak z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, wynika, że pole elektromagnetyczne niczym magnes przyciąga kleszcze, zwłaszcza osobniki będące nosicielami groźnych patogenów. „To z pewnością zła wiadomość dla osób nierozstających się z telefonem nawet na łonie natury. Ale dobra dla tych, którzy twierdzą, że dla pełnego wypoczynku warto pozostawić telefon w domu czy samochodzie, a w lesie cieszyć się szumem drzew i śpiewem ptaków, nie zaś dźwiękiem przychodzących wiadomości”, podsumowują naukowcy na łamach specjalistycznego pisma na temat kleszczy i chorób odkleszczowych.

FOT. A-MEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA, TVPIKOREA,

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 2364728ccd

Christopher Williams – TecTake Luxus Strandkorb grau/weiß

Paul Mpagi Sepuya – Mirror Study

MoMA

Nowojorskie Museum of Modern Art online

Władze MoMA, czyli nowojorskiego muzeum sztuki nowoczesnej, udostępniły swoje zasoby w internecie za darmo na stronie www.moma.org. Do wirtualnego archiwum trafił cyfrowy zbiór dokumentacji fotograficznej z przeróżnych wystaw. Najstarsza sięga wielkiego debiutu muzeum w 1929 r. Archiwum zawiera ponad 70 tys. zdjęć. Podczas przeglądania go każda wystawa pojawi się w formie nie tylko zdjęć, ale również cyfrowych reprodukcji katalogów (w tym rzadkich publikacji), informacji prasowych oraz list katalogowych. Oprócz tego każdą wystawę bez problemu można znaleźć za pomocą specjalnej wyszukiwarki, bazującej na słowach kluczowych oraz dacie.

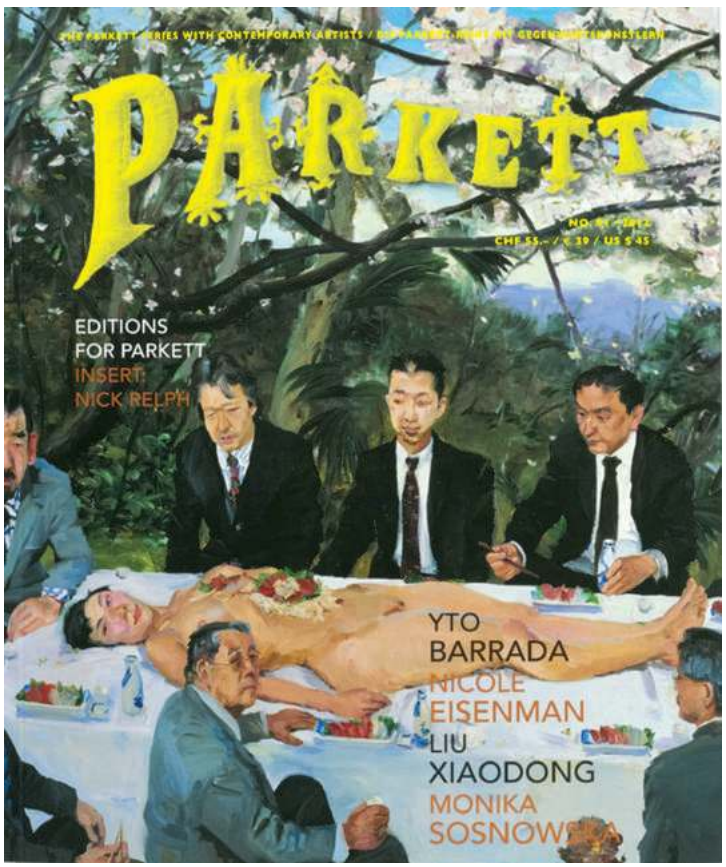

Yto Barrada, Ernst Caramelle, Nicole Eisenman, Nick Relph, Monika Sosnowska, Liu Xiaodong

Marilyn Minter – Absinthe

FOT. MATERIAŁY PRASOWE MOMA

eprasa.pl 2364728ccd

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL

RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ, WPŁAĆ NA KONTO PCK

16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

eprasa.pl 2364728ccd

epressa.pl 2364728ccd